

**MAY KAROL**

# **KOZAK**

**PRZEŁOŻYŁA: GRAŻYNA PIETRUSZEWSKA**

**SCAN-DAL**

## Na jarmarku w Wierchnieudinsku

W syberyjskim mieście powiatowym Wierchnieudinsku odbywają się regularnie dwa słynne jarmarki; jeden przypadał właśnie na wiosnę. Przybywali na niego myśliwi, aby sprzedać skóry zwierząt, które upolowali zimą w pokrytych śniegiem lasach lub w pustej, wyludnionej tundrze. Na jarmarku jesiennym zaopatrywali się natomiast w zapasy, potrzebne podczas zimowych polowań na futra.

Na tamtych niezmiernych równinach określanych mianem tundry można było polować jedynie zimą, kiedy ziemia była zamrznięta, kiedy bowiem wiosną tajała, zamieniała się w ogromne, bezdenne bagna, w których wszystko grzęzło.

Ale skoro tylko nastąpiła zima i grunt znów był twardy, zwoływali się łowcy soboli, aby w grupach od dziesięciu do dwudziestu polować na zwierzęta, których cenne futro tak bardzo było poszukiwane na rosyjskich i chińskich rynkach.

W czasach, w jakich rozgrywa się ta opowieść, myśliwymi w tych stronach byli albo tubylcy, którzy musieli polować, ponieważ wolno

im było oddawać carowi daninę w futrach, albo zesłańcy zmuszani do dostarczania co roku określonej ilości tych poszukiwanych futer, jeśli nie chcieli się narazić na ciężkie kary.

Dla samotnych myśliwych okolice te były bardzo niebezpieczne. W tundrze temperatura spada nierzadko do minus 55 - 60 stopni Celsjusza; nad Syberią szaleją straszliwe burze śniegowe, przykrywające drzewa ciężkimi zwałami śniegu, a te łamią i zgniatają całe mile lasu. W cieplejsze dni tworzą się mgły zalegające na równinach całymi tygodniami, przez których gęstą, niemal namacalną masę nie widać dalej, niż na dwa kroki, co uniemożliwia myśliwym wykonywanie ich trudnego rzemiosła. Dlatego też sobolnicy łączą się w grupy, tak aby w razie niebezpieczeństwa jeden drugiemu mógł pospieszyć z pomocą.

Czasem słyszało się, że ktoś samotnie wybrał się do tajgi albo w tundrę na tydzień lub dwa, a wtedy nawet odważni mężczyźni kręcili głowami mówiąc: On jest szalony! I mieli rację. W każdym razie do takiego przedsięwzięcia potrzebna jest spora doza zuchwałości.

Oczywiście powstaje pytanie, czy amerykański traper nie mógłby tak samo poruszać się w przeraźliwym zimnie po syberyjskiej tajdze, jak po lasach nad Missisipi czy Missouri. Ale traper ulepiony jest z całkiem innej gliny, niż rosyjski zesłaniec, albo Tunguz czy Bu-riat.

Dzisiaj na jesiennym jarmarku w Wierchnieudinsku zgromadziła się prawdziwa mieszanina syberyjskich narodowości.

Zazwyczaj w miasteczku stacjonował jedynie niewielki oddział wojska. Tym razem jednak oddelegowano tam całą sotnię.

Z carskich kopalni w Gzicie, gdzie pod ziemią pracowali głównie skazańcy, uciekło kilku tych nieszczęśników. Dowiedziano się, że powędrowali w kierunku Wierchnieudinska. A więc wysłano tu kozaków, żeby przeszukali całą okolicę, pojмали uciekinierów i dostarczyli do przykładowego ukarania. Dowódcą tej sotni był syn naczelnika powiatu Wierchnieudinsk. znający tę okolicę jak własną kieszeń i zdolny wytropić wszystkie możliwe kryjówki.

Znano go jako srogiego, ponurego oficera. Lękano się go i w całym szwadronie nie było ani jednego człowieka, który darzyłby go swoją przychylnością.

Jego ojciec zamieszkiwał najbardziej okazały budynek w mieście, któremu pod względem wielkości dorównywała jedynie karczma. Właściciela karczmy zaliczano do najzamożniej szych ludzi w okolicy.

W karczmie panował ruch i hałas. Rosjanie zapoznali narody Syberii przede wszystkim z wódką. Ale Sybirak nie może wypić dużo, zbyt szybko się upija. I dziwnym trafem jego stan upojenia nie jest zbyt silny, jednak tym bardziej uporczywy. Już po kilku szklankach wódki jest zamroczony przez dwa dni; skacze wtedy i cwałuje na koniu z podwójną gorliwością, a jak tylko wytrzeźwieje, od-razu opróżnia kolejną szklanę.

W karczmie nie widać było ani stołów ani krzeseł. Dookoła pod ścianami leżały maty z sitowia, na których siedzieli podkurczywszy nogi skośnoocy goście. Pili to co akurat mogli dostać: kwaśne mleko, wódkę, kwas chlebowy albo herbatę w kolorze cegły. A przy tym ich języki ani na chwilę nie odpoczywały. Kto słyszał, jak wrzeszczeli, mógł pomyśleć, że zaraz dojdzie tu do morderczej bijatyki, a przecież prowadzili oni jedynie uprzejmą, przyzwoitą pogawędkę.

Nagle wszyscy goście zamilkli. Do karczmy wszedł jakiś obcy, niewielkiego wzrostu pan. Tak tubylcy nazywają każdego dobrze odzianego mężczyznę o kaukaskich rysach twarzy. Nowy gość miał na sobie szerokie, niebieskie szarawary wpuszczone w cholewy wysokich butów, czamarę z długimi polami, a na to zarzucone lekkie kozie futro. Na głowie miał czapę z jagnięcej skóry, taką jakie nosi się chętnie w Persji albo w krajach kaukaskich.

Gęsta, czarna broda niemal całkowicie zakrywała jego twarz. Dobrze widoczne były tylko kłujące, niespokojne, nie budzące zaufania oczy. Nie była to rosyjska twarz. Jej rysy wskazywałyby raczej na Francuza lub Greka.

Ledwie pozdrowił obecnych i powiódł po nich dumnym wzrokiem. Natychmiast przybiegł gospodarz, przewracając po drodze kilku gości i skłonił się niemal do ziemi.

- Witaj, ojczulku, w moim domu! Co rozkażesz?

- Mogę u ciebie zamieszkać?
- Tak jest, ojczulku! Ale chyba nie ty sam?
- Nie. Mam ze sobą służącego.
- A gdzie on jest?
- Na zewnątrz, przy kibitce.
- O święty Boże! Ty masz kibitkę? Przyjechałeś powozem? A ja nic nie zauważyłem?

Wybacz mi, panie! Podaruję patronowi mojego domu, świętemu Mikołajowi, nową książkę z obrazkami, żeby po mojej śmierci nie miał mi za złe takiego niedbalstwa. Zaraz zajmę się twoim powozem.

- Chodź!

Mężczyźni wyszli. Przed karczmą stał obładowany kilkoma kuframi jeden z tych lekkich, dwukonnych powozów, które nazywa się ki-bitkami. Obok stał brodaty woźnica.

- Natychmiast każę wnieść wszystko do środka - powiedział gospodarz. - Jak długo chcesz tu zostać?

- Nie wiem jeszcze, jak długo zatrzymają mnie interesy. Słyszałem, że odbywa się tu jarmark .

- Tak, panie.

- Ale jakoś go nie widać. Gdzie jest plac targowy?

- W Wierchnieudinsku nie ma placu targowego. Jarmark odbywa się za miastem.

Wolno wiedzieć, skąd przybywasz?

- Z Irkucka.

- A więc z zachodu. No to oczywiście nie mogłeś zobaczyć jarmarku, bo ten znajduje się po wschodniej stronie miasta.

- Przychodzą tu też łowcy soboli?

- Wielu, panie.

- Chciałbym kilku zwerbować.

- Chcesz przyjąć do służby sobolników? Hm, panie, to ryzykowna sprawa. Możesz przy tym zyskać dużo pieniędzy, ale też dużo stracić. . - Kto chce zyskać, musi ryzykować.

- Jakich ludzi chcesz zwerbować?

- Możesz mi polecić kilku dobrych myśliwych? Chcę stworzyć grupę na polowanie.

- To ci się nie uda, panie.

- Dlaczego nie?

- Ci ludzie sami szukają sobie towarzystwa. Żaden z nich nie da sobie narzucić towarzysza, którego nie lubi. Musisz zawrzeć ugodę z jakimś doświadczonym myśliwym i jemu pozostawić znalezienie odpowiedniej liczby towarzyszy.

- Zastosuję się do twojej rady. Może powiesz mi, do kogo mam się zwrócić?

- O, wielu tu jest takich, panie! Ale najsłynniejszym jest... tak, panie, gdybyś mógł jego dostać!

- A kto to taki?

- Numer Osiemdziesiąty Czwarty.

- Numer Osiemdziesiąty Czwarty? Czy to jest jego nazwisko?

- Jak się naprawdę nazywa, tego nie wie nikt oprócz sędziów, którzy go skazali. Nawet tutejsze władze go nie znają. Jak okiem sięgnąć nie ma tu lepszego myśliwego. Wprawdzie niewiele mówi, ale każdy chętnie ma go za towarzysza: jednak zawsze sam wybiera sobie ludzi i zawsze powraca z najbogatszymi łupami.

- Czy jest jeszcze młody?

- Liczy sobie prawdopodobnie około sześćdziesięciu lat.

- Jest już tutaj?

- Jeszcze go nie wdziałem. Ale wszyscy go znają, i jak o niego spytasz, to każdy ci go wskaże. Najpierw jednak musisz złożyć wizytę naczelnikowi powiatu.

- Najpierw? Czy to takie pilne?

- Tak. Po pierwsze bez jego pozwolenia nie wolno ci spędzić ani godziny w moim domu, w ogóle w Wierchnieudinsku. Po drugie bez jego zezwolenia nie wolno ci pójść na jarmark, a po trzecie nie możesz zawrzeć z nikim umowy bez podpisu i stempla naczelnika.

- A on zażąda za to zapłaty?

- Tak, panie, a będzie ona tym wyższa, im dłużej będziesz zwlekał z obowiązkiem przedstawienia mu się. Naprawdę nie mogę udzielić ci lepszej rady, niż żebyś natychmiast udał się do niego.

- Prokljataja Ross..., przekłeta Roś...

Obcy nie wymówił głośno tego słowa, wymruczane przekleństwo zagłuszyła broda.

- Dobrze, to pójdę - odparł. - A zanim wrócę, doprowadź mój pokój do porządku.

Skierował się do głównego wejścia w sąsiednim budynku. Nad jednym z drzwi wisiał napis prissntstwije, co znaczy kancelaria.

Stał tam mężczyzna w mundurze zwykłego kozaka. Obcy zwrócił się w jego kierunku.

- Gdzie znajdę isprawnika!

Nie otrzymał od razu odpowiedzi, bo kozak jakby przerażony cofnął się i wytrzeszczył na niego oczy.

- Czy to możliwe? Florin! Ty? Na Syberii?

Obcy zmienił się na twarzy i także zrobił krok do tyłu, ale szybko się opanował.

- Mylisz się. Ja cię nie znam.

- To możliwe, ale tym lepiej ja znam ciebie. Wprawdzie od naszego ostatniego spotkania minęło już sporo lat i moja twarz bardzo się zmieniła, ale twoich rysów nie można zapomnieć, jeśli zobaczyło się je choć raz.

- Dziwne! - powiedział obcy wzruszając ramionami. - A kimże to jestem według ciebie?

- Kamerdynerem Florianem! - - Kamerdynerem? Czym?

- Pana Bnmo von Adelhorst.

- Nigdy w życiu nie słyszałem tego nazwiska. Kozak zbliżył się do niego.

- Na Boga - powiedział ochryple - im dłużej ci się przypatruję, tym większej nabieram pewności. Florian, to przecież ty! Nie udawaj!

Obcy rozgniewał się.

- Nie sądzę, abyś miał zamiar mnie obrażać! Nosisz znak zesłańca, a więc służysz w regimencie syberyjskim za karę. Wystarczy jedno słowo, aby twoja kara została zaostrowana. Z łatwością mógłbyś zostać przeniesiony z klasy drugiej do piątej!

Pomimo tej groźby kozak nie zmienił zdania.

- Założę się, że się nie mylę! To niemożliwe, żeby dwóch ludzi było do siebie tak podobnych.

- A cóż to może być innego, niż podobieństwo? Nie potrzebuję się kłócić ze skazańcem, a udowodnię ci, że się mylisz. Oto mój paszport, czytaj!

Obcy wyciągnął swój paszport i podał go kozakowi. Paszport wystawiony był przez władze Orenburga i podpisany przez tamtejszego gubernatora na nazwisko Fedor Łomonow, kupiec. Nie powinno więc być żadnych wątpliwości, lecz kozak zaczął porównywać wygląd obcego z opisem w paszporcie.

- Tu jest napisane: brak dwóch przednich zębów, a u ciebie nie widać luk w uzębieniu - powiedział. - Jak to możliwe?

Rozwścieczony obcy wyrwał kozakowi paszport z ręki.

- Bo sobie dałem wprawić, ty barani łbie! Są sztuczne. Nie jesteś zresztą naczelnikiem i nie masz prawa sprawdzać mojego paszportu. Nie mam ochoty z tobą rozmawiać, powiedz tylko, czy ispmwnik urzęduje.

- Tak, możesz wejść!

Przedpokój posiadał troje drzwi. Jedne, przez które kupiec Fedor Łomonow wszedł, drugie, przez które udał się do isprawnika i trzecie prowadzące bezpośrednio na podwórze.

- Mimo wszystko to on - mówił kozak do siebie. - Czego on tu szuka? Gdzie spędził wszystkie te lata? Dlaczego się tak wypiera swojego nazwiska?

Nie miał czasu na dalsze rozważanie tej sprawy, bo właśnie otworzyły się trzecie drzwi i do środka weszły trzy osoby.

Przodem kroczył mały, gruby człowieczek o skośnych oczach, z wystającymi kośćmi policzkowymi i w ogromnej czapie z niedźwiedziego filtra. Odziany był od stóp od głów w same skóry, do pasa miał przypiętą ciężką szablę, a w prawej ręce trzymał potężny pejcz, jednak człowiek ten nie wydawał się być bardzo niebezpieczny, gdyż z jego niewinnej twarzy wystawał na świat śmieszny nos, a szerokie usta uśmiechały się dobrodusznie.

Za nim postępowała kobieta w podobnym stroju i z pejczem w dłoni. Brakowało jej jedynie niedźwiedziej czapy. Rzadkie włosy splecione w dwa ciężkie warkocze opadały jej wzdłuż pleców, uszy zdobiły jej duże złote kolczyki, a na piersiach wisiał ciężki srebrny łańcuch. Jej twarz była, o ile to jeszcze możliwe, jeszcze bardziej dobrotliwa, niż twarz jej męża, a jej tusza znacznie większa, tak że z trudem przeciskała się przez otwór drzwi.

Za nimi kroczyła dziewczyna, wysoka i proporcjonalnie zbudowana, ubrana dość osobiwie. Matę stopy tkwiły w długich, miękkich, sznurowanych butach z cholewkami ze skóry z brzucha łosia, ufarbowanej na czerwono. Spódnica z najcenniejszych srebrnych futer sobolich sięgała tylko kilka cali za kolana.

Gorset z takiego samego futra otaczał jej delikatne biodra. Długie rękawy szyte na modłę orientálną zakrywały częściowo dłonie, a po wierzchu były rozcięte aż po ramiona. Rozcięcia spinały złote zapinki odsłaniając miejscami białe, krągłe ramiona, połyskujące jak śnieg pośród ciemnego futra.

Wokół smukłej szyi mienił się naszyjnik z czworokątnych złotych płytek. Podobne płytki i złote łańcuszki miała wplecione w czarne, ciężkie włosy, których poza tymi ozdobami nic nie okrywało. Wysokie, pięknie sklepione czoło dziewczyny zdobiło kilka rzędów złotych monet, spiętych srebrnymi kulkami z osadzonymi w nich diamentami. Także uchwyt jej szpicruty, którą się niedbale bawiła, wysadzany był drogocennymi kamieniami.

Bardziej jednak niż ten przepiękny i kosztowny strój, przykuwała wzrok twarz dziewczyny: twarz, jaką natura obdarza ludzi niezwykle rzadko. Z marzycielsko głębokich oczu jaśniała szlachetność nietkniętej, czystej duszy, a poważne usta rozweselał mimowolnie blask uśmiechu, który wypływać mógł jedynie z pogody czułego serca.

Dziewczyna była piękna, nie tylko jednak zewnątrz, ponieważ podobnie piękny miała charakter.

Mały mężczyzna potoczył się uśmiechnięty w stronę kozaka.

- Stoisz tu na warcie, synku?

- Tak, ojczulku.

Wszystkie narody posługujące się językiem rosyjskim chętnie używają uprzejmych, przyjaznych zdrobnień: ojczulek, maleńka, braciszek, siostrzyczka. Niekiedy zbyt często stosuje się ten środek wyrazu i to, co miało być grzecznością, staje się cz> mś śmiesznym i żartobliwym.

- Znasz mnie? - pytał grubas dalej.

- Nie, ale chyba będę miał przyjemność dowiedzieć się, kim jesteś?

Twarz grubasa rozjaśniła jeszcze większa uprzejmość.

- Tak, mój drogi synku, chętnie sprawię ci tę przyjemność. Jestem Bułą, księżę Buriatów. Znasz mnie już teraz, serduszko?

- Tak, ojczulku, teraz cię znam

- A to jest moja kobieta, księżna Nazywa się Kalyna - Gruba. Nie uważasz, że to imię bardzo do niej pasuje?

- O tak, nawet bardzo, ojczulku!

- A wiesz może, czy nasz dobry naczelniczek jest u siebie?

- Tak, ojczulku, jest w swoim pokoju.

- No to wejdziemy do środka. Przyszliśmy złożyć mu wizytę.

- Muszę poprosić, abyś chwilę poczekał, ojczulku, ponieważ ktoś jest u niego.

- Kto?

- Obcy kupiec, który chce okazać paszport

- No dobrze, wobec tego zaczekamy. Ale mam nadzieję, że naczelnik nie będzie się zbyt długo zajmował tym paszportem, bo przyjechałem tu na jarmark i muszę poczynić wiele zakupów.

- Isprawmk będzie się spieszył. Mam cię zameldować?

- O nie! Aż tak, to mi się nie spieszy. A żeby czas nam się nie dłużył, zaznajomię cię z moją ukochaną córeczką: moim serduszkim, klejnocikiem, moją białą owieczką! Spójrz na nią! Nazywa się Karpa-la. Prawda, że to imię do niej pasuje?

Wśród narodów turkmeńskich Bunaci zachowali język w najczystszej postaci. Kar oznacza śnieg, a palamak świecić, błyszczeć. Imię Karpała znaczy więc: jaśniejąca jak śnieg.



Teraz dopiero kozak zwrócił spojrzenie na piękną dziewczynę. Wydawało się, że jego silna, dobrze zbudowana postać prostuje się, ócz}' mu rozbłyły, policzki zaczerwieniły się.

- Tak, dobrze wybrałeś to imię, ojczulku.

Karpała podeszła do kozaka, wyciągnęła w jego kierunku prawą dłoń i powiedziała:

- Podajemy sobie ręce jako znajomi, którzy nigdy o sobie nie zapomnieli.

Czyste, mocne brzmienie jej głosu zapadło głęboko w duszę kozaka. Uścisnęła serdecznie jego dłoń. Ojciec i matka patrzyli na siebie zaskoczeni.

- Jak? Znajomi? Czyżbyście się już kiedyś spotkali? - spytał Buła.

- Tak - odpowiedziała córka radośnie. - To on, mój wybawca! Obojgu grubasom zaparło dech ze zdumienia i nieco sapiąc podparli się pod boki.

- Twój wybawca?

- Tak.

- Ten, który wyciągnął cię spod lodu? - zdumienie księcia jeszcze się wzmogło.

- Tak - skinęła dziewczyna.

- Czy to nie pomyłka?

- Nie. Od razu go rozpoznałam, gdy tylko go ujrzałam.

- Z twojego opisu zupełnie inaczej wyobrażałem sobie tego człowieka.

- Mimo wszystko to on.

- Co za cud! Czy to prawda, że ją uratowałeś, mój kochany?

- Jestem szczęśliwy, że wolno mi było wyświadczyć twojej córce przysługę - odparł skromnie kozak.

- A więc to nie pomyłka? To rzeczywiście ty? Pozwól, niech cię uściskam!

Bułą przyciągnął kozaka do siebie, a potem pchnął go w stronę Kałyny.

- Mateczko, przyciśnij go do swego serduszka! On sobie na to zasłużył, żeby mu podziękować.

Mateczka chciała go pocałować w policzek, ale jej postać posiadała zbyt wielką średnicę, nie mogła więc dosięgnąć go wargami i tak w powietrzu rozległo się głośnie cmoknięcie niczym wybuch granatu".

Książę Bułą z wielką radością obserwował te nadzwyczajne czułości swej żony. po czym podniósł rękę i powiedział chytrze:

- Ale nie myśl sobie, że także mojej córeczce wolno cię obejmować i całować! Jej pocałunki należą do innego. Jest narzeczoną rotmistrza, syna mojego przyjaciela, naczelnika. Obaj nie ścierpieliby takiej czulej wdzięczności. Za to my uważamy cię za naszego przyjaciela, chociaż służysz tu za karę!

Karpala odwróciła się speszona. Kozak zbladł.

- Nie jestem przestępcą - wyjaśnił patrząc budzącym współczucie wzrokiem na dziewczynę. - Traktuje się mnie niesłusznie jak więźnia.

- Wstawię się za tobą.

- Nie. Nie rób tego! To nie zda się na nic, a może jeszcze zaszkodzić, ojezulku.

- Nie wierz w to, mój synku! Moje słowo wiele znaczy u rotmistrza.

Także Karpala podeszła powoli do kozaka i spojrzała mu w oczy.

- Czy mnie także nie chcesz pozwolić, abym się za tobą wstawiła?

- Nie, księżniczko! Proszę cię, nie rób tego.

- Sądzisz, że odmówi mojej prośbie, pierwszej prośbie jwojej narzeczonej?

Kozak wyprężył się nagle i odpowiedział niemal szorstko:

- Nie chcę od niego żadnej łaski.

Zmartwiona Karpala spuściła głowę. Ale wnet jej oczy rozbliły.

- Przykro mi, że ci nie mogę pomóc. Ale może potrafię okazać ci moją wdzięczność w inny sposób. Pozwól mi. podarować ci to na pamiątkę!

Karpala zdjęła z palca pierścień i ujęła jego dłoń, aby mu go nałożyć.

W tym momencie z kancelarii wyszedł kupiec Fedor Łomonow i otworzył przy tym drzwi tak szeroko, że można było ujrzeć za nim naczelnika, jego syna - rotmistrza, i porucznika kozaków.

- Książę Bułą! - zawołał naczelnik.

Podczas gdy Fedor Łomonow szybko się oddalał, rotmistrz podszedł prędko do kozaka.

- Co tu się dzieje?

- Znalazłam mojego wybawcę - uśmiechnęła się Karpala.

- Tak. jej wybawiciela! - wtrącił książę. - Nie cieszysz się z tego rotmistrzu?

Ale ten machnął niechętnie ręką.

- A o co chodzi z tym pierścieniem? - spytał krótko.

- Podarowałam go mojemu wybawcy - odpowiedziała Karpala z wielką powściągliwością pod wpływem tonu rotmistrza.

- Co? Jemu? Zesłańcowi? Wypraszeni sobie! Chodź tu, chłopcze! Rotmistrz złapał dłoń kozaka, ściągnął mu pierścień z palca, wetknął na swój i powiedział zwróciwszy się do ojca, matki i cójki:

- Wejdźcie, proszę!

Kozak stał bez ruchu, ucieleśnienie żelaznej dyscypliny. Tylko wąsy drżały mu ledwo dostrzegalnie i powieki opadły, żeby spojrzenie nie zdradziło, co dzieje się w jego sercu.

Karpala milczała z zaciśniętymi ustami. Podążała za innymi jakby popędzana wewnętrznym przymusem, który wywoływał ramienice na jej twarzy.

- Nie martw się! Zobaczymy się znowu! - zdążyła jeszcze szepnąć kozakowi.

Potem drzwi zamknęły się za nią.

Dopiero teraz kozak się poruszył. Zaczerpnął głęboko powietrza, przeciągnął się, zacisnął pięść i podniósł ją grożąc.

- Jeszcze wybije moja godzina! - powiedział.

Siłą zmusił się do zachowania spokoju. Myśli goniły się w jego głowie.

- Znow będę wolny, a wtedy... Co za dzień! Najpierw ten Florin! To był on. Mogę przysiąc. A teraz Karpala, narzeczona rotmistrza. O Boże!

Jego pierś unosiła się w głębokim oddechu. Opuścił pięść i odwrócił się powoli jak człowiek, który na próżno zмага się z ciężkim rozczarowaniem.

Córka księcia Buriatów

Isprawnik pozdrowił uprzejmie księcia oraz jego żonę i córkę. Jednak znawca ludzi zauważyłby, że ta przesadna uprzejmość nie wypływała z serca.

Był to wysoki, barczysty mężczyzna o niskim czole, perkatym nosie, z grubymi wargami i nastroszoną brodą. Jego syn, rotmistrz, był niezwykle do niego podobny; wydawał się jeszcze szerszy w barach i musiał posiadać znaczną siłę fizyczną.

Stojący obok porucznik chciał się wycofać, ale przełożony zatrzymał go skinieniem ręki.

- 'Wcale nie przeszkadzasz - szepnął do niego rotmistrz. - Powinieneś być nawet świadkiem, gdy będę wyjaśniał księciu mój punkt widzenia.

Ze złośliwym uśmiechem zwrócił się do księcia Buli.

- Ojczulku, jak możesz pozwolić Karpali na obdarowywanie przestępcy pierścieniem?

Księżę spojrzał na niego ze zdumieniem.

- On ją przecież uratował.

- I pewnie bardzo jesteś z tego zadowolony, że go odnalazłeś?

- Bardzo! I mateńka Kalyna też. Uściskaliśmy go z radości.

- Uściskaliście?

- A dlaczegoż nie?

- Karpala też?

Księżę chciał coś odpowiedzieć, ale Karpala go uprzedziła.

- Miałbyś coś przeciwko temu?
- Nawet bardzo wiele! Przecież jesteś moją narzeczoną!

Twarz Karpali skurczyła się. Dziewczyna zbladła; najwyraźniej walczyła z jakimś postanowieniem.

- Do tej pory nic o tym nie wiedziałam. Dowiedziałam się dopiero dzisiaj.
- Zostało to uzgodnione z twoimi rodzicami. Twój ojczulek złożył lamie przysięgę.

Nie może jej złamać.

Lamowie są duchownymi Buriatów i z tego powodu mają duży wpływ na sumienia wiernych. Nawet ktoś taki jak książę Buła, nie mógł nie dotrzymać słowa danego lamie.

Karpala szukała wzrokiem pomocy u ojca.

- Czy to prawda, ojczulku? - spytała cichym, urywanym głosem.
- Tak, moja duszyczko, moje kochanie.
- Dlaczego to zrobiłeś?
- Wyjawię ci powód, gdy zostaniesz już żoną swojego mężunia.
- I nic się już nie da zmienić?
- Nie. Wiesz przecież, że niemożliwością jest złamać taką przysięgę.

Karpala niemo skinęła głową. Jej rzęsy opadły, jakby chciały ukryć gwałtownie wzbierające łzy. Potem osunęła się na krzesło, ponieważ nagle poczuła się słaba.

Rotmistrz zrobił krok w jej stronę i powiedział przymilnie:

- Widzisz, skarbeńku, że należymy do siebie, i że samo spojrzenie tego psa na ciebie, jest zbrodnią!

Rozzłoszczona Karpala podniosła gwałtownie głowę.

- Mego wybawcę nazywasz psem? Dlaczego? Jakież to przestępstwo popełnił?
- Tego nie wiem. Nikt się nie dowie o uczynku, który spowodował jego zesłanie na Syberię. Ale od teraz należy mu się dodatkowa kara.
- Z jakiego powodu? - spytała Karpala z bijącym sercem.
- Z powodu bezczelności, jakiej mógł się dopuścić tylko ktoś taki, jak on. Pocałował cię.

Karpala zaczerwieniła się.

- Mnie? Pocałował? Nic o tym nie wiem.
- On właśnie to zrobił. Mam nawet świadka.
- Jakiego? Kto to wdział?
- Ja sani.

Rotmistrz spojrział na Karpalę z wyższością, ale nie stało się nic z tego, czego oczekiwał; dziewczyna nie była zawstydzona. Podniosła się powoli z krzesła i postąpiła krok w jego kierunku.

- Ty byłeś świadkiem, że mnie pocałował? Wobec tego byłeś chyba w pobliżu, kiedy próbowałam przedostać się przez rzekę i łód załamał się pod moim koniem? —

- Straciłam przytomność, tylko przez sekundę widziałam twarz mojego wybawcy i zapamiętałam ją - położyła dłoń w to miejsce na futrze, gdzie bilo jej serce - tak głęboko zapadła mi w pamięć, że nigdy jej nie zapomnę. Kiedy znów przyszedłam do siebie, leżałam tutaj u was.

- To ja cię tutaj przyniosłem.

- Ale to on wyciągnął mnie z rzeki, spod lodu.

- Tak. To Numer Dziesiąty! Po to go zawołałem. Twarz Karpali przykryła teraz czerwień gorzkiej drwiny.

- Aha, zawołałeś go! Bo sam nie miałeś odwagi, bo sam obawiałeś się, o swoje życie, to on musiał ryzykować swoim, żeby mnie uratować! Ty byłeś zbyt tchórzliwy, chociaż już wtedy wiedziałeś, że jestem twoją narzeczoną!

Żyły na czole rotmistrza nabrzmiwały.

- Strzeż się i nie próbuj mnie ponownie nazwać tchórzliwym!

- Czyżbyś swoje zachowanie nazywał odważnym?

Stali naprzeciwko siebie; Karpala ze wzrokiem pełnym pogardy, rotmistrz z wściekłością w oczach. Naczelnik i książę chcieli ich rozdzielić, ale rotmistrz powstrzymał obu gwałtownym ruchem ręki.

- Zostaw go, ojczulku! - wtrąciła Karpala dumnie. - Nie boję się go. Niech mi odpowie!

- Tak, odpowiem ci! - zawołał rotmistrz. - Oczywiście, że sam bym działał, gdyby tam nie było tego człowieka. Ale dlaczego miałem sobie moczyć mundur?

Karpala zmierzyła go od stóp do głów płonącym wzrokiem.

- No to on, zamiast ciebie, otrzyma nagrodę!

- Na świętego Andrzeja, mojego patrona, o jakiej nagrodzie mówisz? - roześmiał się rotmistrz ochryple.

- Wkrótce się dowiesz! - odparła chłodno Karpala.

- Powiedz mi to teraz! Rozkazuję ci!

- Mnie? Księżniczce Karpali?

- Tak, tobie! I będziesz mi posłuszna!

- Nigdy!
- Zmuszę cię do tego! Podniósł ramię.
- Chcesz mnie uderzyć? - zawołała Karpala.

Nie cofnęła się ani o krok i patrzyła mu w oczy bez lęku. Wtedy opanował się i opuścił ramię.

- Nie, ciebie nie. Ale mam przecież chłopca do bicia. Może razy będą boleśniesz, jeżeli on je otrzyma.

Po czym złapał dzwonek i zadzwonił.

- Numer Dziesięć! - wrzasnął tak głośno, że słycać go było na zewnątrz.

Kozak wszedł, zamknął za sobą drzwi i stanął w wyczekującej postawie.

- Księżniczka chciała ci podarować pierścień? - rotmistrz spytał opryskliwie.
- Tak, panie.
- I przyjąłeś go?
- Tak, panie.
- Ty sukinsynu! Nie znasz swoich obowiązków? Masz tu swoją nagrodę!

Rotmistrz porwał pejcz, ze stołu i rzucił się na kozaka. Ten nawet nie drgnął; ustawił się tylko nieco bokiem i podniósł rękę, żeby ciosy nie trafiały w twarz.

Księżę Bulą i Kalyna chcieli powstrzymać rozwścieczonego rotmistrza, ale na widok gestu uczynionego przez Karpalę zrezygnowali z tego i potrząsali tylko głowami.

- Sama chcę się z nim uporać! - wycodziła przez zęby. Wreszcie rotmistrz odrzucił na bok swój pejcz.

- Tak, teraz masz zapłatę. Wynoś się do stajni!
- Rozkaz, panie!

Kozak odszedł, a rotmistrz odwrócił się drwiąco do Karpali i zadał jej szydercze pytanie:

- No i co, zabolalo?
- Nie - odpowiedziała patrząc mu zimno w oczy, ale z jej delikatnych, czerwonych warg spłynęła kropla krwi, tak mocno przygryzła je zębami.
- Bolałoby mnie to, gdybym tak tobą nie pogardzała. On jest bohaterem!
- Do diabła! Bohaterem?
- Tak, bohaterem i męczennikiem! Bohaterem, ponieważ nie tylko mężnie zniósł ból, lecz pomimo śmiertelnej obrazy opanował się i zmusił do zachowania spokoju. A męczennikiem, ponieważ cierpiał za mnie niewinnie.

Rotmistrz tupnął nogą, aż zatrzęsa się powała.

- Śmiertelna obraza? Śmieszne! Jak gdyby oficer mógł obrazić przestępcę! I cierpiał za ciebie niewinnie! Powinien się cieszyć, że wolno mu było dla ciebie cierpieć. Następnym razem zatłukę go na śmierć. I ty mi w tym nie przeszkodzisz!

- W niczym nie będę ci przeszkadzać. Cokolwiek uczynisz, jest mi to tak obojętne, że zaraz stąd wyjdę, chociaż wiem, że będziecie debatować nad moim wianem. Róbcie, co chcecie! Nie jestem tu potrzebna. Nasze przysłowie mówi: „Prawo biegnie szybciej, niż bezprawie”. Jedyne posag, jaki ci wniosę, to pejcz, który będziesz czuł każdego dnia

Szpicruta Karpali śmignęła tuż koło twarzy rotmistrza i dziewczyna wyszła nie zatrzymywana przez nikogo. Przed domem stały trzy konie, na których przybyła razem z rodzicami. Wskoczyła na jednego z nich, spięła konia ostrogami i popędziła przed siebie.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, w pokoju zapanowała absolutna cisza. Syn naczelnika wykonał jakiś bezcelowy gest i strzelił palcami. Z ponurą, pobladłą twarzą zwrócił się w kierunku porucznika i dał mu znak, aby szedł za nim, podczas gdy księżę Bułą i Kalyna ciągle jeszcze stali w niemym napięciu spoglądając na siebie, fsprawntk opierał się zmieszany o okno.

Rotmistrz bez słowa przeszedł spiesznie wraz ze swoim towarzyszem obok tych dwojga i trzasnął drzwiami tak, że w całym domu rozległ się huk. Dopiero na świeżym powietrzu odzyskał mowę.

- Karpala oszalała na punkcie tego łajdaka. On może stać się niebezpieczny. Muszę go usunąć z drogi - powiedział zgrzytając zębami.

- W jaki sposób? Może... - porucznik pokazał na szablę.

- Nie. Ten człowiek zbyt mało znaczy, nie zasłużył sobie na uczciwą klingę. Jest tylko numerem.

- A więc chcesz go przenieść?

- Też nie. To za długo trwa, a poza tym wymaga zezwolenia pułkownika.

- No ttrjuż nie wiem, jak chcesz to załatwić.

- Istnieją drobne, przez nikogo nie zawinione wypadki. Mam na przykład świeżo wyłapanego z tabunu ogiera, który jeszcze nigdy nie nosił człowieka. Co o tym sądzisz?

- Nieźle! - roześmiał się porucznik.

- No to chodź! Wybierzmy się na przejażdżkę!

Oficerowie przecięli podwórze, gdzie przed stajnią stały ich konie, a obok nich kozak, którego zadanie polegało na osobistym doglądaniu konia rotmistrza.

- Ruszamy. Osiodłaj nowego ogiera! - ofuknął go rotmistrz. Tabun to stado półdzikich koni. Jeżdżenie na takim zwierzęciu,

które jeszcze nigdy nie czuło ciężaru na grzbiecie, jest niebezpieczne dla życia.

Jednak kozak nie dał nic poznać po sobie i zaczął najpierw siodłać konia swojego pana.

- Zostaw to! Sam to zrobię. Pośpiesz się, żebyśmy nie musieli czekać!

Kozak natychmiast poszedł do stajni.

- Mogą się przeliczyć! - mruczał do siebie. - Nie na darmo już trzykrotnie jeździłem na nim potajemnie nocą i oswoiłem go! Rotmistrz chce się mnie pozbyć, to jasne. A więc dobrze, on albo ja!

Otworzył drzwi od stajni i wszedł do środka. W szczelinie między dwiema deskami tkwił mały pęk mchu, który Buriaci nazywali leptą. Kozak włożył odrobinę tego mchu do ust, żuł przez chwilę, a następnie dmuchnął tym zapachem w nozdrza koniowi, którego wszystkie cztery kończyny były skrępowane. Dziko błyszczące oczy zwierzęcia natychmiast złagodniały i koń prychnął z zadowoleniem. Ziele to jest prostym, a przy tym słabo znanym sposobem tłumienia dzikości u najbardziej nieposkromionych ogierów.

Teraz kozak wziął siodło, wyniósł je przed stajnię i chwycił nahajkę wiszącą z zewnątrz na ścianie stajni. Obaj oficerowie siedzieli już na koniach.

Nahajka to ciężki pejcz upleciony z mocnych rzemyków, zaopatrzony w krótką rękojeść, używany przez pasterzy stad dzikich koni. Zręczny pasterz potrafi jednym celnym uderzeniem nahajki zabić najsilniejszego wilka.

- Człowieku! - wrzasnął rotmistrz. - Jeszcze jesteś niegotowy? Co się tak lenisz?

- Czy mogę osiodłać go przed stajnią?

- Tutaj! Czyś oszalał?

W tym momencie uwolniony z pęt ogier wypadł ze stajni jak burza, tak, że wszyscy obecni rozpierzchli się w popłochu. Galopował dookoła, aż kozak zastąpił mu drogę. Niezauważalnie wyjął mech z ust i podsunął zwierzęciu takim ruchem, jakby chciał je pogłaskać. Ogier prychnął wprawdzie jeszcze jakiś czas, ale kiedy kozak położył mu dłoń na pysku, pochwylił mech wargami i cierpliwie pozwolił się osiodłać oraz założyć sobie cugle.

Dokoła rozległy się głośne okrzyki podziwu. Nawet oficerowie nie mogli uwierzyć swoim oczom, że kozak tak spokojnie umieścił się w siodle, jakby to była potulna szkapa. Rotmistrz podjechał do niego ostrożnie.

- Człowieku, czy to rzeczywiście ten dziki ogier?

- Obejrzyj go sobie, panie! - odparł kozak spokojnie.

- Taki łagodny jak baranek?

- Ale nie dla każdego jeźdźca.



- A dlaczego dla ciebie?
- Bo umiem poskromić każdego wroga, obojętne czy to człowiek, czy zwierzę.
- Bezczelny! A co ma znaczyć ten pejcz?
- Zabieram go ze sobą na wypadek, gdyby podczas tej przejażdżki przydarzyło mi się

jakieś nieszczęście. Tym nahajem przetrączę grzbiet temu, kto je spowodował - odparł uprzejmie i ze spokojem.

Rotmistrz odgadł jednak natychmiast, do kogo skierowana była ta groźba.

- Kogo masz na myśli?
- Wilka, oczywiście!
- Masz szczęście! Wyrzuć ten pejcz! Za nami!

Z tymi słowy rotmistrz pogalopował w stronę rzeki. Kozak wykonał rozkaz. Cisnął nahaj i pocwałował za oficerami. Wszyscy odprowadzali go wzrokiem, a niektórzy zegnali się znakiem krzyża.

- Panie, nie wódź nas na pokuszenie, ale broń ode złego! On ma diabła za skórą. Ten dziki ogier jest mu posłuszny jak baranek.

Wierchnieudinsk leży u ujścia Udy do Selengi, mającej swoje rozlewisko w południowej części Bajkału. Niedaleko miasta oficerowie przebyli rzekę przez bród. O tej porze roku woda nie sięgała koniom nawet do brzuchów. Na drugim brzegu puścili się galopem, a kozak podążał za nimi równie szybko bez trudu powodując koniem.

Rotmistrz oglądał się za nim od czasu do czasu.

- Ten człowiek ma w sobie szatana! - warknął. - Jak on to zrobił?
- Dla mnie to też niepojęte - zauważył porucznik.
- Zobaczymy, czy ogier będzie też taki cierpliwy w rwącym nurcie.
- Co, jeszcze raz chcesz przeprowiać się przez rzekę?
- Tak, tam!

Rotmistrz wskazał na brzeg, od którego już się dość znacznie oddalili.

- Tam rzeka jest najgłębsza i najniebezpieczniejsza - wtrącił porucznik. - Nie zamierzasz chyba przejechać w tym miejscu?

- O nie, tylko on!
- Pod jakim pretekstem?
- Tam daleko na drugim brzegu widzę kilka wozów zmierzających w stronę miasta na jarmark. Niech spyta, skąd są ci ludzie.
- Przecież nie przedostanie się na tamtą stronę.

- Właśnie dlatego! To tam wydostał zeszłej wiosny Karpalę z wody. Myślała, że uda jej się przejechać przez rzekę, ale łód załamał się i wpadła pod krę. Niech teraz popróbuje, czy jeszcze raz uda mu się stamtąd ujść z życiem.

Rotmistrz skierował się z powrotem ku brzegowi, zatrzymał się jednak wkrótce i ręką pokazał coś przed sobą.

- Czy tam nad wodą nie pasie się jakiś koń?

- Owszem.

- A przy nim leżą jakieś rzeczy. Dziwne!

- To wygląda jak kobiece ubranie! - zawołał porucznik. - .Mnie też się tak wydaje.

Czyżby to była...

- ...Karpala, która się tu kąpie?

- To jest niewykлучzone. Miejsce jest odludne, brzeg wysoki, osłonięty krzakami, dziewczyna mogłaby się tutaj odważyć na kąpiel.

- Czemu akurat w tym niebezpiecznym miejscu?

- Buriatki są wyśmienitymi pływaczkami. A poza tym po Karpali można się wszystkiego spodziewać.

Oficerowie pognali galopem w stronę brzegu, nie myśląc wcale

o tym, że kozak towarzyszy im zgodnie z rozkazem.

- Do diabła! To jej koń!

Karpala przepawiła się przez bród, żeby jakoś ukoić wzburzenie

i uporządkować myśli. Ujrzała ponownie swojego wybawcę, a przy tym dowiedziała się, że przysięga ojca nieodwołalnie wiązała ją z rotmistrzem, którym pogardzała. Pędziła przed siebie równiną. Obrzydliwa myśl, że jest narzeczoną tego brutalnego mężczyzny, napelniała ją prawdziwym oburzeniem. Ma zostać żoną tego człowieka! Jego towarzyszką aż do śmierci! Nigdy! Ale co począć z przysięgą złożoną łamie? Jak załagodzić tę rozterkę? Myślała i myślała, ale nie mogła znaleźć rozwiązania.

A potem przypomniała sobie kozaka. Karpala nie uświadomiła sobie jeszcze, jak głębokie wywarł na niej wrażenie: stawała się jednak spokojniejsza, ilekroć jej myśli wędrowały ku niemu. Jakże często wyobrażała sobie w duchu tę odważną, męską twarz, która ukazała jej się w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa. Niejeden raz marzyła we śnie i na jawie o swoim wybawcy, a tęsknota, samotność i fantazja przyozdabiały jego postać wszelkimi zaletami rycerskiego bohatera...

Wtem z lewej strony załśniły wody rzeki. To tam się to wydarzyło. Jak odurzona, z poczuciem, że jakoś powinna zadośćuczynić temu człowiekowi, skierowała konia w tamtą

stronę i obserwowała to miejsce. O, tam w sitowiu leżało jej skostniałe ciało! Tam przywrócił ją do przytomności i pocałował w usta. A potem pojawił się rotmistrz, ten nie do opisania obrzydliwy człowiek.

Karpala ze świstem przecięła pejczem powietrze. Zdecydowanie potrząsnęła głową, aż rozdzwoniły się złote ozdoby w jej włosach. Nie, nie myśleć już o nim, lepiej o tym drugim, który ryzykował dla niej życie i rzucił się w lodowatą toń, żeby ją wyciągnąć spod wirującej kry!

Tu, w tej wodzie walczył o jej życie! Jak wspaniale zanurzyć się znowu w tych falach i ochłodzić wzburzoną krew! Karpala rozejrzała się badawczo dookoła. Miasto leżało daleko w dole. Wokoło nie było widać żadnego człowieka. Nie było też uprawnych pól zwykle przyciągających ludzi, a koryto rzeki znajdowało się głęboko w dole, tak że trudno ją było od razu zauważyć. A ponadto Karpala namiętnie lubiła pływać.

Jeszcze zanim pomyślała do końca, już zeskoczyła z konia i zaczęła zdejmować suknię i klejnoty, i wkrótce pływała w przejrzystej toni. Nie miała pojęcia, że tymczasem nadjechali obaj oficerowie, wypatrzyli jej wierzchowca, swoje konie zostawili w ukryciu i skradali się w jej kierunku.

- Kozak jest za nami! - powiedział nagle porucznik. Syn naczelnika obejrzał się za siebie.

- Rzeczywiście! Wygląda na to, że ten łajdak coś knuje. Patrz, cwałuje z powrotem! Poczekaj, chłopcze, jeszcze sam wylądujesz w wodzie!

- Do pioruna, nadjeżdżają obcy; ci z wozów tam z tyłu! Rotmistrz pokazał na przeciwległy brzeg, do którego zbliżało się

teraz trzech jeźdźców, dwóch niesłychanie chudych i długich i jeden mały. Dłudzy siedzieli na kościstych koniach buriackich, podczas gdy wierzhowiec trzeciego wyglądał na muła. Zwierzętom najprawdopodobniej chciało się pić, dlatego jeźdźcy opuścili na chwilę wóz, żeby napić je w rzece.

Trzej obcy zauważyli pływaczkę, przystanęli na chwilę i wycofali się zmieszani.

- Ach, cóż za delikatność! - zadrwił porucznik.

- Widzieli nas! Zobacz, czego chce ten mały?

- Macha do nas.

- Myślę, że chce, abyśmy i my się oddalili. - : Teraz grozi mi pięścią!

- Parszywy pies!

Mały jeździec z drugiej strony rzeki rzeczywiście podniósł groźnie zaciśniętą pięść. Pogroził jeszcze raz, a kiedy i to nie poskutkowało, zeskoczył z siodła i odpiął od niego jakiś długi przedmiot.

- Do diabła! Strzelba! - zakrzyknął rotmistrz.
- Uważaj, on strzela!
- Niech spróbuje!

Ale obcy nie uznał chyba swojego zamiaru za ryzykowne przedsięwzięcie, bo kiedy jego wygrażanie nie odniosło skutku, złożył się do strzału i w następnej chwili rozległ się huk. Rotmistrz wzdrygnął się i złapał za głowę.

- Na Boga. ten człowiek naprawdę strzela! - zawołał porucznik. - Jesteś ranny?
- Gdzieś mnie trafił.
- Ach, tu w kołpak! Zniknęła zapinka z piórem.

Teraz rozległ się głos z drugiej strony rzeki wołający łamanym rosyjskim.

- Pierwszy strzał w czapkę był ostrzeżeniem! Następny będzie w obojczyk, jeśli się nie mylę!

- Kim jesteś, psie? - wrzasnął rotmistrz.
- Nazywam się Sam Hawkens. Uciekaj, my boy, w przeciwnym razie trafię cię!

Mały uniósł ponownie broń.

- Chodź, chodź! - ostrzegł porucznik. - Znow będzie strzelał, a nasze pistolety nie mają takiego zasięgu, jak jego strzelba.

I pociągnął rotmistrza za sobą jak najszybciej do koni.

Spięli wierzchowce ostrogami i popędzili do miasta. Kozak Numer Dziesięć za nimi.

Usłyszawszy strzał Karpala przeraziła się. A więc jednak nie była sama w tym odludnym miejscu. Potem kiedy Sam Hawkens wykrzyczał swoje ostrzeżenie, zrozumiała z jego słów, że z lewego brzegu ktoś ją podglądał, a rozpoznawszy głos rotmistrza wiedziała już, kim był ten zuchwalec.

Zaraz po strzale zanurzyła się tak głęboko w wodzie, że tylko głowa wystawała jej na powierzchnię. Teraz słyszała oddalający się tętent koni, a z prawego brzegu dotarł do niej głos małego'

- Córeczko, nie możemy cię stąd zobaczyć, ale usłyszysz nasze głosy!
- Mów! - odparła Karpala rezolutnie.
- Wyjdź w imię Boże z wody! Oni odjechali!
- A wy?

- Jesteśmy trzema obcymi mężczyznami i chcemy napić nasze konie. Siedzimy plecami do rzeki i nie odwrócimy się, dopóki nam na to nie pozwolisz.

- Mogę wam wierzyć?

- Usilnie o to proszę! Sam Hawkens dotrzymuje danego słowa, nawet jeżeli dał je siedzącej w wodzie sguawl Hihihih!

Było w zachowaniu tego obcego coś, co wzbudzało zaufanie Kar-pali. Poza tym wychowano ją jak chłopca i obca jej była wszelka pruderia. Kiedy indziej sama z bronią w ręku walczyłaby o szacunek ze strony otoczenia, gdyby zachodziła taka konieczność. Wyszła więc bez szczególnego skrępowania na brzeg i szybkim spojrzeniem na drugą stronę rzeki przekonała się, że ten uprzejmy, obcy człowiek mówił prawdę. Wszyscy trzej siedzieli bez ruchu zwróceniem plecami do rzeki, dwóch długich i jeden mały. Szybko narzuciła na siebie ubranie.

- Teraz możecie się odwrócić! - zawołała śmiejąc się. Obcy posłuchali wezwania.

- Kim jesteście? - spytała Karpala zakładając spokojnie ozdoby.

- Jestem Amerykaninem niemieckiego pochodzenia, jeśli się nie mylę, ze strony babki, ale moi towarzysze są żółtodziobami pełnej krwi, to znaczy prawdziwymi Amerykanami, jeszcze od czasów Kolumba!

- Widzieliście człowieka, który mnie podglądał?

- Tak, za to posłałem kulę jego czapce.

- Będziecie mieli kłopoty.

- Dlaczego?

- Ten, do którego strzelałeś, jest synem naczelnika powiatu.

- Wytworny pan, który podkrada się do obcych kobiet i zwiewa przy pierwszym strzale, jeśli się nie mylę!

- Tak. Z pewnością odjechał po to, żeby kazać was pojmać.

- Cudownie!

- Nie kpij! On ma tutaj władzę Oskarży was o próbę morderstwa.

- O próbę zamordowania czapki?

- Strzelałeś do niego i to wystarczy. Ale pomogę wam.

- Ty? Jak chcesz tego dokonać?

- Nie pójdzie teraz koni Nie wolno wam tracić czasu - ostrzegła Karpala. - Pędźcie teraz do obozu obok jarmarku i pytajcie tam o Bulę, księcia Buriatów! Jeżeli dotrzecie tam przed oficerami, to na pewno was nie wyda.

- A czy księżę cię zna?

- Jestem jego córką!  
- Wspaniale. Chcesz dla nas dobrze, ale my nie boimy się kozackiego dowódcy.  
- Powinniście się jednak go bać przez wzgląd na mnie! Żebym potem mogła wam podziękować!

- Do stu piorunów, czegoś takiego nie żądała od Sama Hawkensa jeszcze nigdy żadna sguawl Ale dla ciebie chętnie będziemy się troszkę bać, hihihih!

- Jedźcie szybko! Wkrótce was dogonię, spróbuję tylko wyprzedzić oficerów.  
- Dobrze córeczko. Do widzenia!

Wszyscy trzej wsiedli na konie i puścili się kłusem. Karpala także wskoczyła na siodło i popędziła jak wiatr brzegiem rzeki w stronę miasta. Jej wierzchowiec był o wiele lepszy, niż konie oficerów. Dopędziła jeźdźców już przy brodzie. Wielkim skokiem jej koń znalazł się w wodzie, tak że sprawiła rotmistrzowi porządny przyszc, krzyząc przy tym:

- Nikczemnik! Łajdak!

Syn naczelnika nie odpowiedział, spiął tylko mocniej konia ostrogami, ale nie mógł jej dopędzić.

Kiedy Karpala dotarła do obozu, obcych jeszcze nie było. Za to jej rodzice powrócili już od isprawnika i siedzieli w swojej obszernej jurcie. Karpala nawet nie zsiadła z konia, krzyknęła im tylko kilka słów wyjaśnienia i pospieszyła na spotkanie obcych.

Już po chwili napotkała całą trójkę dopytującą się o namiot księcia i zaprowadziła ich do obozu, zanim rotmistrz zdążył się w nim /na-leżć.

- Zsiadajcie szybko! - rozkazała.

Po czym sama zeskoczyła z siodła i wprowadziła trzech mężczyzn do namiotu.

## Dziki Zachód na Syberii

Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker na Syberii! Cóż mogło skłonić tych trzech do zamiany sawann i prerii na niegościnnie i tak odmienne tundry?

Tam w Dolinie Śmierci nie marzyli oczywiście nawet w snach o takiej możliwości i roześmialiby się w twarz każdemu, kto tylko napomknąłby, że kiedyś poczują pod kopytami listki koniczyny rosnące na azjatyckiej ziemi.

A potem wszystko potoczyło się całkiem prosto. Uczestnicy zająć w Dolinie Śmierci musieli przez dłuższy czas pozostać w San Francisco, ponieważ ich świadectwo potrzebne było sądowi. Tam także zdarzyło się, że Herman von Adlerhorst otrzymał list od swojego przyjaciela, malarza Paula Normanna, który wprowadził go w najwyższe podniecenie. Pismo nie było najświeższej daty, wędrowało bowiem długo, zanim określonymi drogami dotarło do kraju adresata.

*Kochany Hermanie!*

*Dlaczegoż życie sprawia nam tak rzadko czystą, niezmaconą radość? Oboje, ja i Liza, jesteśmy szczęśliwi. Cykima żywo uczestniczy w naszym szczęściu. Ale kropla goryczy zatrula kielich naszej radości. Wyobraź sobie, Wasz brat, Gotfryd, o którego pobycie w Rosji dowiedzieliśmy się od Cykimy, zniknął bez śladu, dokładnie tak samo jak Martin z Wilkinsfield, o którym mi pisałeś. A wraz z nim jego ojczym, rosyjski hrabia, Wa-sylkowicz, który go adoptował. O tym wszystkim oczywiście jeszcze nie wiesz, my dowiedzieliśmy się o tym także niedawno. Hrabia i jego przybrany syn udali się w podróż na Syberię, z której nigdy już nie wrócili. Nie odnaleziono ich pomimo usilnych poszukiwań zorganizowanych po ich zaginięciu przez krewnych. Dziwnym trafem już przed rokiem urzędowo zostali uznani za zmarłych, a dobra hrabiego dostały się w ręce kuzyna ze strony matki, jako że nie posiadał naturalnych spadkobierców. Tego wszystkiego dowiedziałem się od rosyjskiego przedstawiciela w Berlinie, do którego zwróciłem się w tej sprawie.*

*Drogi Hermanie, ciosy, jakie spotykają Waszą rodzinę, są tak druzgocące, że każde zapewnienie o moim współczuciu musi się wydać puste i nic nie znaczące. Nie mogę Ci życzyć nic innego, jak tylko, aby Bóg dał Ci siłę, byś zniósł ten nowy cios jak mężczyzna i aby Ci zezwolił jeszcze doznać innego rodzaju szczęścia.*

*O co mi chodzi? Otóż powiem Ci w zaufaniu, że Cykima przyjęła wiadomość o zniknięciu Gotfryda z większym opanowaniem, niż się tego można było po niej spodziewać.*

*Tak, mam wrażenie, jak gdyby zmartwienie z powodu tej straty ustępowało miejsca trosce o Ciebie.*

*Rzadko mówi o kapitanie Orłowskim, natomiast coraz częściej wspomina o kimś innym, kto teraz szuka swojego brata na preriach i skalistych górach Dzikiego Zachodu...*

*A teraz znalazłem dość odwagi, żeby przekazać Ci jeszcze jedną wiadomość, która niestety obudzi stary ból. Dobry los przyniósł nam w cudowny sposób wiadomości*

*o Twoim rodzeństwie, podczas gdy los Twojej matki nadal pozostawał nieznany. Lecz w tym wypadku zasłona nieznanego uniosła się. Wiesz, że Liza nosiła złote puzderko z podobizną Twojego ojca, Bruno von Adlerhorsta, które doprowadziło wtedy do rozpoznania siostry. Kiedy niedawno znów rozmawialiśmy o przeszłości i Liza otwarła puzderko, żeby spojrzeć na podobiznę ojca, obrazek oderwał się od ścianki i naszym oczom ukazała się maleńka poźółkła karteczka, na której prawie nieczytelnym pismem po niemiecku widniały następujące słowa: „Moja kochana, mała Lizo! Twoja matka ma złamane serce*

*I umiera. Twój ojciec nie żyje, Twoje rodzeństwo, podobnie jak Ty i Twoja matka, zostało odsprzedane w niewolę. Kiedy Twoja drzemiąca jeszcze dusza rozbudzi się, to niech łaskawy Bóg sprawi, żeby ta kartka i ten obrazek stały się pożyteczne dla Ciebie. Niech Cię Bóg ochrania, moje dziecko, a jego anioł niech Cię poprowadzi z powrotem za rękę do Twojej niemieckiej ojczyzny. Anna von Adlerhorst”.*

*Możesz sobie wyobrazić, drogi Hermanie, jak bardzo to znalezisko nami wstrząsnęło. Ale jakkolwiek myśl o śmierci Twej matki boleśnie nas poruszyła - bo przecież wszyscy żywiliśmy cichą nadzieją, że odnajdziemy ją, tak jak odnaleźliśmy rodzeństwo, to jednak pocieszamy się, że Twojej matce zostało oszczędzone niezmiernie cierpienie, którego doznawałaby przez długie lata niewolnictwa.*

*Kochany Hermanie, pociesz się i Ty tą uwagą i pomyśl, że nadzieja na odnalezienie Twojej matki żywej była tak nikła, że z pewnością już dawno oswoiłeś się z myślą o jej śmierci. Nie żałuj jej spokoju, który odnalazła, i skieruj swoje myśli ku pełnej nadziei przyszłości!*

*Liza i Cykima pozdrawiają Cię serdecznie. Wierzę wraz, z Tobą, że Twoje poszukiwania zostaną uwieńczone sukcesem.*

*Twój przyjaciel Paul.*

Herman pospieszył z tym listem natychmiast do swojego brata, Martina, który powoli dochodził do zdrowia po cierpieniach, jakich doznał w kopalni rtęci. Wspólnie naradzali się nad następnymi krokami. Czy brać po prostu za dobrą monetę urzędowe rosyjskie oświadczenie uznające Gotfryda i jego ojczyzna za zmarłych? Martin, który ciągle jeszcze był bardzo przygnębiony, uważał tę sytuację za beznadziejną, natomiast Herman był innego



zdania. Szczęście, jakie towarzyszyło mu podczas poszukiwania Martina, nastrajało go bardziej optymistycznie. Przecież Martin też zaginął bez śladu, a dzięki bystrości i wytrwałości udało się Old Firehandowi odnaleźć go i uwolnić. Old Firehand! Tak, on i Winnetou, to byli mężczyźni, którzy mogli udzielić najlepszej rady w tej trudnej kwestii.

Obaj bracia pospieszili do pokoju, w którym zamieszkiwał myśliwy wraz z Apaczem. Firehand uważnie przeczytał pismo, a następnie spojrzął w zamyśleniu na Hermana.

- Chce pan mojej rady? Hm! Ta historia nie podoba mi się.

- Dlaczego? - spytał Herman.

- Hrabia nie może tak po prostu zniknąć bez śladu na Syberii. Za tym kryje się coś innego.

- Ma pan na myśli zbrodnię?

- Obawia się pan, że mój brat został zamordowany...

- Nie chciałem tak tego powiedzieć. Wie pan, w śmierć człowieka uwierzę dopiero wtedy, gdy ujrzę jego ciało. Proszę pomyśleć o bracie Martinie, z którego szukania już pan zrezygnował a przecież stoi teraz obok pana żywy i w stosunkowo dobrym zdrowiu!

- Ma pan rację. Nie trzeba od razu obawiać się najgorszego. Ale jakie jeszcze mielibyśmy możliwości?

- Rzecz jasna teraz nie da się tego jeszcze powiedzieć. W każdym razie nie należy od razu upadać na duchu, lecz szukać miejsca pobytu zaginionego.

- W takim razie niech mi pan da jakąś dobrą radę. Przecież pan widzi, że w tym liście brakuje jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

- Nie popełnia się zbrodni bez pozostawienia jakiegoś śladu, choćby najmniejszego. Pod warunkiem, że rzeczywiście chodzi o zbrodnię.

- Gdzie mam zacząć poszukiwania, pańskim zdaniem?

- Tam, gdzie urywa się ostatni ślad. To było już wprawdzie dawno temu, ale musi się dać ustalić miejscowości, przez które podróżowali hrabia i pański brat.

- Mówi pan to tak łatwo, podczas gdy dla mnie to bardzo trudne. Gdybym mógł mieć przy sobie takiego człowieka, jak pan! Wiem, że to z mojej strony bezczelna propozycja, ale czy nie mógłby mi pan towarzyszyć?

Old Firehand roześmiał się.

- To nie jest takie proste, jak pan sądzi. Wie pan, że kieruję przedsiębiorstwem i nie mogę tak nagle wyjechać. Sprawa pańskiego brata, Martina, zajęła mi zresztą znacznie więcej czasu, niż przewidywałem.

Herman skinął smutno głową.

- Tak też sobie myślałem. Proszę mi wybaczyć! Pan tak wiele uczynił dla naszej rodziny, ale sądziłem, że jako krajan i stary przyjaciel naszej rodziny...

Old Firehand spoważniał.

- Nie mam nic do wybaczenia. Proszę mi wierzyć, drogi przyjacielu, że chętnie spełniłbym pańską prośbę, już choćby przez, pamięć pańskiego ojca, którego bardzo ceniłem. Ale, hm, przecież nie chodzi tu akurat o moją osobę. Czy nie mógłby mnie ktoś zastąpić?

- Nie wiem, kto jeszcze mógłby wchodzić w grę. Winnetou nie odważy się zapytać, a Sam Hawkens jest bardzo sprytny, lecz mimo to nie uważam go za człowieka, który...

- A dlaczego nie? - przerwał mu Old Firehand. - Nie zna pan Sama Hawkensa tak jak ja. Nie może go pan oceniać po tym, co pan widział. Nie miał ostatnio okazji pokazać wszystkich swoich umiejętności, ponieważ podporządkowywał się mn/e. Ale niech mu pan da możliwość samodzielnego działania, to się pan dopiero przekona! Chciałbym znać takiego, który dorówna mu sprytem i przebiegłością.

- Kiedy pana słucham, chciałbym niemal spróbować zaprosić go w tę podróż, ale czy się zgodzi?

- Tego oczywiście nie mogę wiedzieć. Musi się pan sam przekonać. On tęskni za Niemcami, krajem swojej babki, i bardzo chciałby je zobaczyć, dlatego bardzo chętnie wyprawi się na stary kontynent. A poza tym wesprę pana w miarę moich sił, nawet jeżeli nie będę mógł panu towarzyszyć.

Herman i Martin udali się do następnych drzwi i zapukali do Sama Hawkensa i obu dryblasów, jednak pokój był pusty. Cała trójka wyszła obejrzeć sobie miasto i trzeba było cierpliwie poczekać do wieczora. Kiedy później wszyscy razem zasiedli w gospodzie przy kolacji, Herman wyniszczył całą sprawę.

Mały traper drapał się w podnieceniu w perukę i wymachiwał nad stołem widelcem i nożem.

- Ależ sir, czy pan zwariował? Co panu przyszło do głowy? Ja nie rozumiem przecież mowy tamtejszych Indian ani muzułmanów!

- To jeszcze najmniejsze zmartwienie. Tyle rosyjskiego, ile pan potrzebuje, mogę pana nauczyć!

- Czyżby pan mówił tym językiem? Podobno jest jeszcze trudniejszy, niż chińszczyzna, jeśli się nie mylę!

- Dlatego nie trzeba się martwić. Mówiłem panu przecież, że dawniej pracowałem w Konstantynopolu dla tajnej niemieckiej służby informacyjnej i znajomość języka rosyjskiego stanowiła niezbędny warunek mojego działania.

- Well, ale czy potrafię ją jeszcze wtłoczyć pod moją starą perukę, to już inne pytanie, sir.

- Zostaw to pan mnie! - roześmiał się Herman. - Jestem przekonany, że pod pańską peruką jest jeszcze dosyć miejsca.

- Taki pan pewny? Tak pan dokładnie zna wnętrze mojej czaszki?

- Myślę, że tak. A poza tym jest pan geniuszem językowym, mister Hawkens. Po niemiecku mówi pan tak, jak gdyby to był pana język ojczysty, chociaż jest znacznie trudniejszy...

- To język mej prababki, sir, prababki! - poprawił go Sam Hawkens poważnie i zsunął perukę nieco na tył głowy, jak gdyby nagle zrobiło mu się pod nią zbyt ciepło. - Geniusz językowy, hihihhi! Tego Sam Hawkens jeszcze nie wiedział! Ale trochę racji pan ma, sir. Porozumiewałem się dość znośnie z dwoma tuzinami indiańskich plemion, a jak nie można było językiem, to na pewno dawało się przy pomocy dziesięciu palców, albo prochem i ołowiem. I myślę, że Sam Hawkens ze wszystkimi dobrze sobie radził, jeśli się nie myłę.

- A więc? - naciskał na niego Herman. - Wyświadczy mi pan tę przysługę, czy nie?

- Hm, nie tak szybko, czcigodny panie! Powiedzcie mi najpierw, czy będę mógł zabrać ze sobą moją Mary?

- Oczywiście! Bez wierzchowca nie zajechałby pan daleko.

- Czy są tam także sawanny i prerie?

- Może nawet więcej, niżby pan chciał. Oczywiście wyglądają inaczej niż tutaj i nazywają się tundra.

- A Indianie? Co z nimi?

- Indian tam nie ma, jest za to mnóstwo kaukaskich nomadów, takich jak Kirgizi, Tunguzi, Buriaci, Jakuci, Samojedzi i...

- Przestańcie, przestańcie! Kto te wszystkie nazwy zapamięta? I te wszystkie języki, które należałoby opanować! Nie mógłbym już wyrzec ani jednego rozsądnego słowa, jeśli się nie myłę.

- Przecież już obiecałem wyuczyć pana po rosyjsku tego, co niezbędne. To absolutnie wystarczy, żeby się pan dogadał z tymi ludami.

- Pana mowa jest jak łąso, które mi pan okręca wokół ramion. Co pan o tym sądzi, mister Firehand?

- Mister Adlerhorst mówi prawdę. Nie jest tak źle, jak pan sądzi. A jeśli chodzi o mnie, to byłbym o wiele spokojniejszy, gdybym wiedział, że znajduje się pan u boku mister Adlerhorsta.

- Naprawdę? - spytał Sam polechtany komplementem. - Jak długo trwałaby ta podróż?

- Nie mogę powiedzieć dokładnie. - odparł Herman. - Ale trzeba być przygotowanym co najmniej na pół roku.

- Nie na dłużej? Hm, w takim razie cała sprawa nie wygląda tak źle.

- Też tak myślę. Zresztą całkowicie się panu podporządkuję i nie uczynię niczego bez pytania pana o radę.

Tym stwierdzeniem Herman dotknął szczególnie czułego punktu Sama Hawkensa. Miał on - i to nie bez racji - bardzo wysokie mniemanie o sobie samym i o swoich umiejętnościach, i nawet jeżeli nie mówił o tym, to sprawiało mu wewnętrzne zadowolenie, gdy okazywano mu uznanie.

- Well, - powiedział już bardziej ustępliwi? - widzę, że jest pan całkiem rozsądnym człowiekiem, z którym można byłoby się poważnie na podjęcie tej próby.

- Niech się pan zgodzi, mister Sam, niech się pan zgodzi! Na pewno pan nie pożałuje.

- Co pan ma na myśli z tym „nie pożałuje”? - spytał mały traper nieufnie.

- No, jestem gotów wypłacić panu po zakończeniu podróży niemałe odszkodowanie.

Wtem oczka Sama tak się zwęziły, że niemal zniknęły w gąszczu jego brody.

- Aha, a więc chce mi pan zapłacić odszkodowanie, tak jak się od myśliwego odkupuje jego futra? I myśli pan, że w ten sposób łatwiej skłonić starego Sama do przyjęcia tej propozycji? Coś panu powiem, młody człowieku, nigdy więcej tak do mnie nie mów! Mam wystarczająco dużo tej marnoty, którą nazywa się mamoną, jeśli się nie mylę, i nie potrzebuję tych paru centów od pana. Jeżeli będę panu towarzyszył, to jedynie z czystej przyjaźni dla pana i naszego mister Firehan-da, z żadnego innego powodu. A teraz niech pan przybije! Zostańmy dobrymi i wiernymi kamratami!

Upuścił nóż na stół i wyciągnął do Hermana prawą dłoń.

- Well, mister, niech tak będzie! - zawołał Herman uradowany. - Nigdy wam tego nie zapomnę.

Obaj dryblasi z wielkim napięciem śledzili tę rozmowę powstrzymując się jednak od jakiegokolwiek wtrącania się. Ale kiedy Sam wreszcie wyraził zgodę, dokładnie widać było po ich minach, co czują. Koścista twarz Dicka Stonesa tak się wydłużyła, że wyglądała jak żywy wykrzyknik, a pełen niechęci Will Parker tak zacisnął swe szerokie wargi, że stały się zadziwiająco podobne do myślnika.

- Stop, Sam! - wtącił się Will do rozmowy. - Zachowujesz się tak, jak gdyby nas tu nie było!

Sam Hawkens rzucił zdumionym wzrokiem na Willa Parkera.

- Al. Right! Dobrze, że mi o tym przypominacie. Rzeczywiście całkiem o tym zapomniałem, hihihhi!

- W takim razie to już najwyższy czas, żebyśmy przypomnieli ci o naszej skromnej obecności.

- Well, przyjmuję do wiadomości. Czego ode mnie chcecie?

- Sam, to obrzydliwe z twojej strony, że bez pytania nas podejmujesz tak ważką decyzję.

- A czemuż to miałbym was pytać?

- Nie gadaj tak głupio! Jesteśmy jak trójlistna koniczyna i powinniśmy się trzymać razem. Zrozumiano?

- Ale tu chodzi przecież o całkiem krótkie rozstanie.

- Możesz przysiąc? Jakże łatwo pół roku może się przedłużyć do całego roku, a może jeszcze dalej. Nie, pozostaniemy razem.

- Ale 111/ przyrzekłem temu gentlemanowi, że będę mu towarzyszył.

- No to ruszamy z tobą!

- Niemożliwe! Tym razem was nie potrzebuję!

- A dlaczego nie? - zapalał z entuzjazmem zazwyczaj milczący Dick.

- BQ jesteście niepoprawnymi żółtodziobami i co najwyżej możecie mi zaszkodzić.

- Bądź cicho i nie doprowadzaj nas do wściekłości! - wtrącił się znowu Will - Wiemy dokładnie, że bez nas w ogóle sobie nie poradzisz.

- Co ty nie powiesz? Ależ jesteście zarozumiali, jeśli się nie mylę!

- Sam, bądź rozsądny! Jesteśmy nierozłączni i niech tak zostanie. Absolutnie nie możemy ci pozwolić na błąkanie się wśród tamtejszych Murzynów. Czym byłbyś bez nas? Bezlistnym drzewem, albo sierotą bez matki i ojca!

- To znaczy, że uważasz się za mojego ojca, a ten drugi żółtodziób za moją matkę?

- Nie drwij! To już postanowione: ruszamy z tobą. Trzy pary oczu widzą więcej niż jedna para. A oprócz tego nie zostawisz nas tu, nie zrobisz nam tego. Masz na to zbyt dobre serce.

- Tak? Czyżby? No, to chciałem od was usłyszeć. A teraz mogę wam powiedzieć, że w ogóle nie przyszłoby mi to do głowy, jechać bez was. Musicie przy tym być. To jest tak pewne jak moja Liddy.

- Dlaczego nie dałeś nam tego od razu do zrozumienia? Mogłeś nas przynajmniej zapytać?

- Po co?

- No, założmy taki przypadek, że bylibyśmy temu przeciwni i wzbranalibyśmy się przed tym wyjazdem.

- Nie pleć bzdur stary szopie! Wzbranalibyście się? Ci gentlemani potrzebują nas po tamtej stronie jeziora i my nie zostawimy ich na łodzi, jeśli się nie mylę!

Sam Hawkens kazał sobie Hermanowi wszystko dokładnie opowiedzieć, a po chwili zastanowienia powiedział:

- Jestem takiego samego zdania jak mister Firehand, że chodzi tu o przestępstwo. Naszym zadaniem będzie wyśledzenie, czy wchodzi tu w rachubę mord, czy coś innego.

- Jak pan się do tego chce zabrać, mister Sam?

- Od właściwego końca, mister Adlerhorst. Kiedy szukam śladów zbrodni, to najpierw zadaję sobie pytanie: kto tu wyciągnie rodzynki z ciasta? Może mi pan to zdradzić?

- Oczywiście spadkobierca.

- Kto to jest w naszym przypadku?

- Mój brat Gotfryd, którego hrabia Wasylkowicz adoptował.

- Ali right. Ale ten nie wchodzi tu w grę, ponieważ zniknął razem z hrabią. Kto jest następny?

- Pierwotny spadkobierca, siostrzeniec zaginionego hrabiego.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem. W liście nie ma jego nazwiska.

- Ale może pan wie, gdzie on mieszka?

- Nie. Nic o nim nie wiem, oprócz tego, że jest spokrewniony z zaginionym ze strony matki.

- Wobec tego na pańskim miejscu rozpocząłbym poszukiwania tutaj. Najpierw trzeba dopytać się o nazwisko i miejsce zamieszkania spadkobiercy i próbować dowiedzieć się, gdzie przebywał w czasie, kiedy przypuszczalnie popełniono przestępstwo.

- Wspaniale! - wtrącił Old Firehand. - Brawo, mister Haw-kens! Postąpiłbym dokładnie tak samo. Czyż nie miałem racji, mister Adlerhorst, kiedy panu radziłem zwrócić się do Sama Hawkensa?

- Hihihhi! - roześmiał się mały traper rozbawiony, a gęstwa brody wchłonęła jego chichot. - Nawet jeżeli Pawnisi oszukali mnie na moim porządnym skalpie, to olej w głowie musieli przecież Samowi Hawkensowi zostawić. My się już o to postaramy, żeby prawda wypłynęła na wierzch, mister Adlerhorst. Najpierw musi pan zatelegrafować do pańskiego

przyjaciela, albo jeszcze lepiej do poselstwa niemieckiego w Petersburgu i poprosić o odpowiedź tą samą drogą.

- To niemożliwe, zbyt dużo kosztuje. Nie mogę opłacić jednej lub kilku depesz, które w naszym przypadku nie składałyby się jedynie z kilku słów.

- Niech mój młody biały brat nie martwi się o pieniądze - odezwał się milczący do tej pory Winnetou, jako że jego wyjazd do Rosji nie wchodził w grę. - Apacz zapłaci za depeszę.

- Z radością przyjmę waszą ofertę, ale niejako prezent, lecz jako pożyczkę, którą wam spłacę w swoim czasie - oświadczył Herman.

- Mój biały brat jest dumny - skinął Apacz. - Winnetou nie podaruje mu tych nuggetów.

- No to nie traćmy czasu i zacznijmy poszukiwania - powiedział Herman z zapałem. - Do kogo telegrafujemy w pierwszej kolejności?

- Najpierw do pańskiej siostry i przyjaciela w Niemczech - poradził Old Firehand. - Oni pierwsi powinni zostać poinformowani o aktualnym stanie rzeczy. A następnie do niemieckiego konsula lub jakiegokolwiek innej instytucji niemieckiej w Rosji.

Do dzieła zabrano się więc zgodnie z radą Old Firehanda. Oczywiście przyjaciele musieli uzbroić się w cierpliwość, ponieważ oczekiwanie na odpowiedź mogło trwać dość długo, jednak nie odczuwali tego jako zwłoki, ponieważ postępowanie sądowe przeciwko przestępcom z Doliny Śmierci jeszcze trwało i wymagało obecności przyjaciół w San Francisco.

Po czternastu dniach dotarła wreszcie z Rosji wyczerpująca depesza. Spadkobierca hrabiego Wasylkowicza nazywa się Polikow i przebywa obecnie w Petersburgu. Przebąkiwano o tym, że zanim dostał spadek po swoim wuju tkwił po uszy w długach. W czasie, kiedy jego krewni zaginęli, nie było go w domu, lecz podróżował poza granicami. Niestety nie można stwierdzić, gdzie.

To była pokrótce treść depeszy. Old Firehand i Sam Hawkens wyglądali na zadowolonych. Kielkujące w nich podejrzenie, że obecny spadkobierca hrabiego Wasylkowicza maczał palce w tej ciemnej grze, zostało wzmocnione przez okoliczność, że Polikowa nie było w domu, kiedy prawdopodobnie doszło do przestępstwa, ale oczywiście nie zdobyli jeszcze żadnych dowodów przeciwko niemu.

- Możliwe, że znajdujemy się na niewłaściwym tropie, ale jest to w tej chwili jedyny ślad, który daje nadzieję na sukces, dlatego pójdziemy tym tropem aż do końca. Czy ma pan w Rosji jakiegoś człowieka, którego darzyłby pan zaufaniem, mister Adlerhorst?

- Nie, tylko w Niemczech mam przyjaciela i to jest właśnie Paul Normann.

- Chodzi o to, żeby tego Polikowa nie stracić z oczu. Proponuję, żeby pan wysłał swojego przyjaciela Normanna do Petersburga. Niech spróbuje dyskretnie zbliżyć się do niego, żeby móc kontrolować każdy jego krok. I niech nam wszystko dokładnie relacjonuje. Co pan o tym sądzi, Sam?

- Well, całkowicie się z panem zgadzam, mister Firehand. Sądzę, że musimy iść tym tropem, jeśli się nie mylę.

- Mam przeczucie, że Petersburg stanowi zaledwie początek tej nitki, a jej koniec sięga Syberii. Ale, mister Adlerhorst, jeżeli chce pan na Syberii działać odpowiednio energicznie, musi się pan zaopatrzyć w znakomity paszport. Zdoła pan to załatwić?

- Tym się nie martwię. Wszyscy będziemy posiadali takie paszporty, że nawet księżę lepszego nie dostanie.

- Coś takiego! A jak pan chce je zdobyć?

- Oczywiście nie drogą oficjalną, tylko po cichu, ukradkiem. Paszporty podpisane własnoręcznie przez cara można dostać nie tylko w Moskwie, lecz także gdzie indziej.

- Zaciekawia mnie pan. W jaki sposób chce pan...

- Proszę nie zapominać, że pracowałem w niemieckiej tajnej służbie informacyjnej. Pamiętają tam dobrze o mojej uwiecznionej sukcesem działalności w Tunisie, wiecie przecież z moich opowiadań, że tam szczególnie dopisało mi szczęście. Wystarczy, że powiem tylko słowo, a otrzymam każdą pomoc. A paszport podpisany przez cara, a nawet kilka, dostanę bez trudu.

- Tym lepiej! Miejmy nadzieję, że droga, którą obraliśmy doprowadzi nas do celu.

W następstwie tej narady wysłano szczegółową depezę do Normanna, zawierającą wskazówki i polecenia niezbędne do wykonania zadania. A potem znów należało uzbroid się w cierpliwość.

Proces przeciwko oskarżonym nabrał rozpędu. Zebrano przeciwko nim tak miażdżące dowody, że pomimo uporczywego wypierania się winy nie mogło być żadnych wątpliwości co do wyniku procesu.

Szczególnie postępowanie przeciwko Leflorowi wymagało dochodzenia zakrojonego na tak szeroką skalę, że pochłonęło mnóstwo czasu, co wystawiło na ciężką próbę cierpliwość braci Adlerhorstów, Old Firehanda i pozostałej trójki. Siedzieli w San Francisco mniej lub bardziej beczynn timer, a o ilez chętniej podążyliby śladem Billa Newtona, byłego derwisza, o ile taki ślad w ogóle istniał.

Potem nadszedł dzień pełen niespodzianek, który zniemacka zakończył okres przykrego oczekiwania. W areszcie śledczym, w którym przebywali Roulin, Walker, Leflor,



Juanito Alvarez, miss Miranda i stara Arabella, siedziało także kilku mężczyzn, którzy do tej pory odgrywali jakąś rolę w życiu publicznym zachodnich stanów. Chodziło o jakieś machinacje, w których siłą napędową był zarówno dolar jak i ambicja. Wreszcie policja interweniowała, panowie zostali aresztowani i postawieni w stan oskarżenia. Wstępne śledztwo zadzierzgało swoje nici, podczas gdy zwolennicy, poplecznicy i stronnicy tych więźniów podburzali i przekupywali, byle tylko wydostać swoich przywódców na wolność.

W tamten dzień niespodzianek wybuchła burza. W areszcie śledczym rozpoczął się bunt więźniów. Przekupieni wartownicy otworzyli cele, a ci którzy chcieli czynić swą powinność, zostali zaatakowani. Rozgorzała regularna bitwa i właśnie o to chodziło knowaczom, dzięki niej powstało zamieszanie, które miało dopomóc w wymknięciu się tym typom spod ciemnej gwiazdy. Ale przy okazji uwolniono wszystkich więźniów bez różnicy, także motloch pałający żądzą zemsty, plądrowania i rozlewu krwi.

Wśród tej zgraji złodziei, paskarzy, fałszerzy, oszustów, zabójców, hochsztaplerów walczących ramię w ramię o wyjście z więzienia znajdowali się także przestępcy z Doliny Śmierci. Była noc, ale miejsce zdarzenia jasno oświetlały buchające płomienie z palącej się starej części budynku, gdzie rozszalała tłuszczą wzniciła pożar. Zewsząd huczały strzały, a broń nie znajdowała się w posiadaniu jedynie wiernych wartowników i strażników, bo nagle okazało się, że rebelianci zaopatrzeni są w rewolwery i wkrótce rozległy się dzikie, przeraźliwe okrzyki wściekłości i zwątpienia, a masa ciał zbiła się w okropny kłęb.

Leflor biegł pędem w stronę bramy, natomiast Roulin i Walker przekradali się bokiem i usiłowali w jakimś ciemnym zakątku niezauważenie przedostać się przez mur. Walker jako pierwszy znalazł się u góry. Roulin, który mu w tym dopomógł, przynaglał go do pośpiechu.

- Szybko! Pomóż mi! Ja też chcę do góry!

Wtem do muru zbliżyła się postać jakiegoś mężczyzny. Walker sądził, że to wartownik i jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie balustrady.

- Przeklęty! - Roulin patrzył do góry osłupiałym wzrokiem. - Chcesz mnie zostawić w potrzebie, psie?

W tym momencie usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się szybko " i podniósł pięść. Przed nim stał Juanito Alvarez z czaszką czerwoną " jak ogień, zdradziecko wysuniętą ku przodowi. Juanito wyzdrowiał, przynajmniej na ciele, bo jego dusza bardzo ucierpiała. Oczy migotały mu niespokojnie i błędnie, i tak jak płomień tli się pod popiołem, tak obłęd rozwijał się potajemnie w jego mózgu. A rebelia dopełniła reszty, hałas, strzelanina i wrzaski, nocny pożar, płynąca strumieniami 5 krew rannych, to wszystko rozpętało w nim istny szal.

- Mam cię teraz! - wysapał i skulił się w napięciu.

Roulin rozpoznał go i odetchnął z ulgą.

- Chodź tu! Prędko! Pomóż mi przeleźć przez mur!
- Teraz się zemszczę! - syczał szaleniec.
- Potem ja cię wyciągnę, jak będę u góry.
- Pamiętasz jeszcze, wtedy? Też nie miałeś dla mnie litości.
- Zwariowałeś! - wrzeszczał Roulin. - Odczep się! Precz!
- Zabiję cię, zabiję!

Roulin chciał odepchnąć szaleńca, wtem poczuł ostrze sztyletu. Zatoczył się, jęknął i padł, a obłąkany Juanito klęczał na nim zadając mu bezlitośnie cios za ciosem, śmiejąc się dziko, krzycząc i zawodząc, macając w ekstazie wolną lewą dłonią krew spływającą z głowy, szyi i piersi konającego.

W międzyczasie Walker wylądował wprawdzie po drugiej stronie muru, ale niezbyt szczęśliwie. Po skoku z niemal czterometrowej wysokości trzasnęło coś w jego nodze i lewą stopę przeszył kłujący ból. Wzdychał i klął. Cholera, tego jeszcze brakowało. Zrobiło mu się duszno i opanował go śmiertelny strach. Tylko tu nie leżeć! Żeby tylko nie dostać się z powrotem za mur! Ilość jego przewin tak narosła, że absolutnie nie mógł liczyć na pobłażliwość. A więc precz stąd! Jak najdalej!

Spróbował wstać zaciskając zęby. Szedł z wielkim trudem i bardzo powoli, cały czas wspierając się o mur. Lewą stopę ciągnął za sobą, a na prawej bardziej skakał niż mógł iść.

W ten sposób dotarł do najbliższego rogu ulicy. A teraz dokąd? Nie orientował się dobrze w tej okolicy, a poza tym był niezdecydowany. Do portu? Albo nie, lepiej uciekać w stronę gór. Po wydarzeniach tej nocy port zostanie z pewnością dokładnie przeszukany i zamknięty.

Jęczący i rozgorączkowany powłókł się dalej przed siebie wąską uliczką, która wydawała mu się w sam raz na ucieczkę, a za nim powoli cichły odgłosy rebelii.

Nagle przed sobą usłyszał pośpieszne kroki, a następnie męskie głosy. Możliwie niepostrzeżenie oparł się o zamknięte drzwi domu, jak gdyby tu właśnie mieszkał

W uliczce pojawiły się postacie, jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć. Te wysokie buty, kurtki, te szerokie kapelusze, do diabła! Nawet mieli poprzypinane pasy na naboje a teraz stali tuż przed Walkerem, który ich natychmiast rozpoznał: byli to Old Firehand, nierozłączna trójka, Herman von Adlerhorst, a także Winnetou.

- Mister, - zagadnął go jeden z nich, Will Parker. - powiedzcie, czy tam za wami to nie areszt śledczy? Słyszeliśmy, że doszło tam do rebelii i z pewnych względów chcieliśmy...

- Well! - Walker starał się zmienić swój głos i mówić możliwie krótko. - Tam!

Will Parker chciał się odwrócić. Nic nie zauważył. Dotychczas był po prostu żółtodziobem. Ale Winnetou i Old Firehand mieli dobry słuch, a chytre oczka małego Sama uznały, że postać w uliczce wygląda podejrzanie.

- Stop! - powiedział Old Firehand i postąpił w przód. Winnetou sięgnął po broń, ale Sam był jeszcze szybszy.

- Pokażcie się, mister! Nic wam nie chcemy złego zrobić! - prosił.

W tej samej chwili Walker wyrwał osłupiałemu Willowi, który stał najbliżej, rewolwer zza pasa. Wszystko odbywało się błyskawicznie. Walker podniósł rękę, szczęknął odwodzony kurek, ale Sam Hawkens wypalił pierwszy i kula utkwiała w jego piersi. Ciężko ranny padł na ziemię. Mały traper wsunął na powrót broń za pas.

- Od razu go rozpoznałem. We U, strzelałem w obronie własnej, a poza tym zasłużył sobie na to. Pomyślcie o ciotce Droll! Ten tu nazywał się niegdyś Hopkins, zanim przybrał nazwisko Walker.

\* \* \*

I tak dla szajki z Doliny Śmierci zakończyła się ta rebelia, w ostatniej chwili stłumiona zresztą krwawo przez oddział żołnierzy. Leflora znaleziono wśród ofiar bitwy o bramę, jak również starą Arabelle. Juanito zmarł nieco później w oblężeniu. Piękna Miranda dostała się podczas ucieczki do bandy opryszków. Najpierw, jak opowiadała, skorzystała z opieki dzielnych seniores, ale później pozbyłaby się najchętniej swoich wybawców. Ci jednak nie mieli ochoty rezygnować ze swojego łupu i zabrali ją ze sobą w góry. I tak Miranda stała się jedną z niewielu, którym tamtej nocy udało się uciec z więzienia, nie wiadomo jednak, czy było to dla niej szczęśliwe, czy nieszczęśliwe zrzęczenie losu.

Władze zajmowały się sprawami Leflora jeszcze na długo po jego śmierci. W końcu Artur odzyskał swoje prawa do plantacji ojca wkrótce po tym jak unieważniono nieuczciwą sprzedaż w Santa Fe. No więc kiedy wszystkie te sprawy zostały załatwione, nic już nie przeszkadzało tym, których zetknął ze sobą jakiś dziwny kaprys losu w opuszczeniu San Francisco. Artur powrócił do Wilkinsfield. Towarzyszyli mu wuj i miss Almy, do których przyłączyli się także lord Dawid Lindsay i Martin Adlerhorst. Stary Wilkins chciał udać się najpierw do Błękitnych Wód po skarby, które z pomocą Apaczów ukrył w górach. Potem zamierzał pojechać z bratankiem do Wilkinsfield, aby stamtąd udać się dalej do Nowego Orleanu. Postanowił jesień swego życia spędzić u swej córki i zięcia, Martina Adlerhorsta w Niemczech, a lord Lindsay poczytywał sobie za zaszczyt, że może towarzyszyć w podróży tym tak bardzo doświadczonym przyjaciołom.

Old Firehand wrócił nad Srebrne Jezioro. Winnetou przebył wraz z nim spory szmat drogi, po czym rozstał się ze swoim przyjacielem żeby kontynuować przerwana podróż, na tereny plemienia Apaczów.

Kiedy oni wszyscy opuścili już San Francisco, zdecydował się także los Hermana von Adlerhorst i trójki jego towarzyszy. W krótkim czasie nadeszły jedna za drugą kilka depeesz od Paula Normanna z Petersburga. Wbrew oczekiwaniom udało mu się bardzo szybko nawiązać kontakt z hrabią Polikowem, a nawet dzięki udanemu obrazowi, do którego mu pozował, zdobyć jego zaufanie. Nie sięgało ono wprawdzie tak daleko, żeby hrabia wtajemniczał go w swoje sprawy, jednak bystry malarz potrafił wyciągać wnioski na podstawie różnych mimowolnych uwag, wypowiedzianych przez hrabiego. Polikow nie zachowywał się przesadnie ostrożnie w obecności malarza, ponieważ nie podejrzewał, że ten nieszkodliwy człowiek mógłby stać się dla niego niebezpieczny, mówił więc rzeczy, które potwierdzały raczej przypuszczenie, że nie jest tak całkiem bez winy, jeśli chodzi o zaginięcie swoich krewnych.

Najważniejsza wiadomość nadeszła w ostatniej depeesz: „Polikow udaje się znów w podróż, tym razem na Syberię. Jako cel podróży podał polowanie”. Ale Normann mu nie wierzył, a tym bardziej Herman i jego przyjaciele. Czego mógł szukać w Wierchnieudinsku we wschodniej Syberii, bo taki cel podał Normannowi podchmielony winem? Swojemu zamiłowaniu do polowań mógł się przecież oddawać w daleko łatwiejszy i tańszy sposób. Musiało tu więc chodzić o coś innego i czwórka przyjaciół miała nadzieję wpaść na trop tego czegoś.

Herman natychmiast zawiadomił Normanna, żeby zaprzestał śledztwa i wrócił do domu, ponieważ on sam przejmie dalsze działania. Nie zwlekał też ani chwili z realizacją swojego postanowienia i cała czwórka wsiadła na pierwszy statek, który zawijał do Władywostoku.

Sam Hawkens z właściwą sobie zaciętością i przebiegłością zaczął się wgryzać w język rosyjski. Czuł się odpowiedzialny za Hermana Adlerhorsta, powodzenie, tej wyprawy i szczęśliwy powrót z tej wojennej ścieżki”. Od czasu do czasu unosił swój skalp, kiedy jakiś trudny rosyjski zwrot nie chciał mu się wślizgnąć do głowy, a czasem jego kurtka ze skóry kozła stawała się przyciasna, gdy Herman za bardzo dręczył go jakimś rosyjskim problemem językowym.

Jednak już wkrótce był w stanie porozumiewać się ze swoim nauczycielem w tak codziennych sprawach, jak picie, jedzenie, spanie i jazda konna, chociaż wyraźnie nadużywał rzeczowników, a łączył je przy pomocy swoich dziesięciu palców i chytrych oczek.

Szczególną radość sprawiało mu, gdy mógł Dicka Stone i Willa Parkera, którzy uprzejmie acz stanowczo odzegnali się od nauki tego języka, zasypać świeżo wyuczonymi słowami, a ci biedacy nie mogli się obronić. Te jednostronne dysputy naszpikowane były najcudacznieszymi kwestiami, wymieszane z zarozumiałym „hrhihi” i powtarzającym się ciągle „jeśli się nie mylę”, tak, że Herman von Adlerhorst wymykał się często, żeby osłupiałych dryblasów nie urazić wybuchem śmiechu.

I tak Sam Hawkens męczył się rzetelnie, a kiedy statek przybił wreszcie do portu we Władywostoku, tak dobrze posługiwał się rosyjskim, że mógłby całkiem samodzielnie radzić sobie w tym obcym kraju.

Z Władywostoku płynęli dalej na parowcu do Nikołajewska u ujścia Amuru, a następnie w górę rzeki do Chabarowska, stolicy guberni Amur. Herman musiał zatrzymać się kilka dni w Chabarowsku, żeby uregulować wszystkie sprawy związane z pieniędzmi i z podróżą, natomiast pozostała trójka udała się w dalszą drogę w górę Amuru, a potem Szyłki aż do Mitrofanowej.

W Mitrofanowej kończy się żeglowność Amuru, który w swoim górnym biegu przekształca się właściwie w dwie rzeki: Szyłkę i Ar-gun. Od Nikołajewska przyjaciele przebyli wodą nieomal trzy tysiące kilometrów. Potem przez Nerczyńsk i Czitę udali się konno do Wierch-nieudinska, swojego następnego celu, gdzie doszło do dziwnego spotkania z Karpalą.

\* \* \*

Zaledwie Karpalą wprowadziła Sama Hawkensa i jego przyjaciół do namiotu rodziców, do obozu wpadł z impetem jej narzeczony w asyście porucznika. Zeskoczyli z koni i weszli do jurty.

Kiedy rotmistrz zobaczył trapera, zapomniał o pozdrowieniu obecnych, tylko wrzasnął

- To on! To ten człowiek! Jesteś moim więźniem!

- Albo ty moim! - odparł Sam, śmiejąc się, swoją łamaną ru-szczyzną.

- Ja twoim więźniem?

- Tak, boja mam ciebie, a ty masz mnie. Albo raczej, żaden z nas nie ma jeszcze drugiego, jeśli się nie mylę.

- Nie ścierpię takiego zuchwalstwa! Jestem komendantem tutejszych oddziałów!

- A ja dowodzę tymi dwoma korpusami - odpowiedział mu Sam wskazując przy tym na Dicka i Willa, stojących obok niego.

- Ten człowiek oszalał!

- Ty też nie jesteś nazbyt bystry! Znajduję się tu pod ochroną bu-riackiego księcia!  
- Ale na rosyjskiej ziemi! Dlatego musi cię nam wydać! Karpala wykonała szybki ruch ręką i powiedziała stanowczo:

- Ten mężczyzna jest moim gościem i nie zostanie wydany!  
- Wobec tego idę po moich kozaków!  
- A, proszę bardzo! Z nami jest pięć razy więcej Buriatów. Nie pozwolą na to, żebyś znieważał cześć córki ich księcia, lżył i aresztował jej obrońcę.  
- W takim razie dojdzie do walki!  
- Jeżeli tego chcesz, będziemy walczyć!  
- Zastanów się, co robisz! Jesteś moją narzeczoną i masz mi być posłuszną! - wrzeszczał rozwścieczony.

Księżę i księżna siedzieli na swoich poduszkach. Znajdowali się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji i uznali, że najlepsze, co mogą zrobić, to nie brać strony ani córki ani oficera. Z natury kochali spokój i takie właśnie zachowanie odpowiadało ich powolnemu usposobieniu.

Sam Hawkens zauważył to od razu. Nie znał wprawdzie panujących tam stosunków, ale jego bystre spojrzenie pozwoliło mu wiele zrozumieć, a ponieważ wcale nie bał się kozaków i przy tym nie zajął miejsca przyczyną kłopotów dzielnego księcia, szerokim gestem powstrzymał kłócących się.

- Nie spierajcie się, dzieci! Dobrowolnie udamy się z nim do naczelnika!  
- Dobrowolnie? - drwił rotmistrz. - To przymus! Jesteście moimi więźniami! Każę was związać i wrzucić do lochu!

- Nie, - zaśmiał się Sam Hawkens - tego, synku, nie zrobisz! I Zastrzelimy każdego, kto tylko odważy się nas tknąć. Dosiądziemy teraz naszych koni i z wolnej woli złożymy wizytę isprawnikowi, twojemu ojcu.

- To przecież śmieszne!  
- Rzeczywiście, można się pośmiać. Zostaw nas w spokoju, bo dojdzie do czegoś poważnego. Spójrz tylko!

Sam Hawkens wyciągnął dwa rewolwery i trzymając je groźnie przed sobą, zbliżał się do wyjścia namiotu, a za nim Dick i Will również z rewolwerami w dłoniach.

Oficerowie cofnęli się w osłupieniu.

- Nie opuścę was. Jadę z wami - powiedziała Karpala zdecydowanie sadowiając się w siodle.

Popędzili galopem do miasta. Przed budynkiem, gdzie urzędował isprawnik, rotmistrz szepnęła kilka słów do porucznika. Ten pośpieszył zaraz, żeby wszystkie drzwi budynku obstawić kozakami.

Karpala i jej podopieczni czekali w przedpokoju. Rotmistrz udał się sam do ojca, żeby mu zdać sprawozdanie, ale wkrótce ponownie pojawił się w drzwiach, wzywając ich do kancelarii.

- Zostanę tutaj - oświadczyła Karpala. - Nie chcę się mieszać do waszego sporu, ale chcę wiedzieć, co zrobicie z tymi ludźmi.

- Zostaną przymknięci i odesłani do Irkucka. Tam im już pokażą, co to znaczy, strzelać do oficera - szczeknął rotmistrz.

- To się okaże, mój drogi! - śmiał się Sam.

Odsunął rotmistrza na bok i wkroczył dumnie do kancelarii. Naczelnik powiatu, który sprawował równocześnie funkcję sędziego powiatowego, obrzucił złoczyńców ponurym spojrzeniem.

- To ty strzelałeś do tego oficera? - rzucił władcym tonem pytanie.

- Nie.

- Nie zaprzeczaj!

- Mówię prawdę.

- On twierdzi coś zupełnie innego!

- W takim razie kłamie.

- Człowieku, panuj nad swoim językiem, bo każę ci? wychłostać!

Sam wsparł się pod boki i kołysał się lekko, uśmiechając się przy tym przebiegle.

- Ty? Ty każesz mnie wychłostać? Tylko na to cię stać? Wiem dobrze, co oznacza carski mundur i nigdy nie targnąłbym się na prawdziwego oficera. Ale czy można uznać za oficera człowieka, który kryje się za krzakami, żeby podglądać dziewczynę w kąpielni? To gbur, bezwstydnny prostak, jeśli się nie mylę, hihihih!

- Masz milczeć!

- Stul głowę! - wrzasnął Sam jeszcze głośniejszym głosem. - Teraz ja mówię! Jak skończę, przyjdzie kolej na ciebie! Wydaje mi się, że nie wiesz, iż najpierw wypada się dowiedzieć, kogo masz przed sobą. Car w Petersburgu ucieszy się, gdy mu przekażę, jakie tu siedzą wszy zamiast urzędników. Oto mój paszport. Obejrzyj go sobie dobrze, a jak nie umiesz czytać, wypiszę ci alfabet na krześle. Gdy na nim usiądziesz, przylepi ci się do spodni, hihihih! - co powiedziawszy wyjął z sakiewki paszport i położył przed isprawnikiem.

Sam gadał tak szybko i tak niezrozumiale, że urzędnik zrozumiał zaledwie połowę skierowanych pod jego adresem uprzejmości.

Zdumiony naczelnik otworzył paszport, czytał go powoli, po czym przetań oczy i zaczął czytać jeszcze raz od początku, a jego twarz stopniowo wydłużała się coraz bardziej. Na dany przez Sama znak również Dick i Will okazali swoje papiery, które wprawiły urzędnika w nie mniejsze zdumienie.

Naczelnik spocił się. Syn podszedł do niego zaskoczony i również zajrzał do paszportów. Ojciec złożył starannie dokumenty i zwrócił je właścicielom.

- I co teraz? - spytał Sam wyzywająco.

- Jesteście wolni!

- Wolni? Zawsze byliśmy wolni. Miałem nadzieję, że otrzymam inną odpowiedź.

- To, co się stało jest wynikiem nieporozumienia - oświadczył zbity z tropu isprawnik.

- Oho! Czekam na przeprosiny rotmistrza, w przeciwnym razie zamelduję gubernatorowi, co skłoniło mnie do strzelania w czapkę - kpił Sam.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie, po czym rotmistrz obrócił się gwałtownie do małego traperka.

- Przyznaję, że działałem nazbyt pochopnie. Proszę o wybaczenie.

- Już dobrze, synku! Kto ma odwagę popełniać błędy, musi mieć także odwagę przyznać się do tego. Mam nadzieję, że nie będzie już więcej takich nieporozumień. Bywaj zdrow, ojczulku! Zostań w zdrowiu, synku! Nie zapomnimy dnia, w którym się tak miło poznaliśmy!

Ukłoniwszy się zamaszycie, Sam wraz z przyjaciółmi opuścił kancelarię.

Ojciec i syn milczeli przez chwilę. Naczelnik gapił się na drzwi, za którymi zniknęli, po czym wybuchnął czerwony z wściekłości.

- Co za wstyd! Czyż można się było po nich tego spodziewać?

- Po ich wyglądzie nie. Paszporty zostały jednak podpisane własnoręcznie przez cara i przez następcę tronu, wielkiego księcia jako najwyższego hetmana kozaków syberyjskich.

- I jest w nich napisane, że należy im nawet służyć pomocą wojskową, jeżeli tego zażądatają! Jak ten Sam Hawkens zechce, to jeszcze dziś mozesz wylądować ze swoimi kozakami na bagnach.

- Psiakrew! Powinienem był go posłuchać!



- A więc, do stu diabłów! W przyszłości masz być ostrożniejszy, jeśli jeszcze do tego nie chcesz stracić bogatej narzeczonej. Wiesz przecież jak beznadziejna jest nasza sytuacja finansowa.

- Ją? Stracić? - szydził rotmistrz. - Na to jej starzy są o wiele za głupi, dobroduszni i zbyt obowiązkowi. Na pewno dotrzymają słowa.

Na tym przerwali rozmowę i każdy oddał się własnym niewesołym myślom.

Karpala wróciła z gośćmi do namiotu. Z entuzjazmem opowiedziała swoim rodzicom, że cała trójka obroniła się sama i nie potrzebowała niczyjego wsparcia, na co szacunek tejsza i jego Kalyny wobec obcych wzrósł niepomiernie.

Książę Buriatów podał im rękę.

- Dopiero teraz jest mi dane powitać was u nas i spytać, jak się nazywacie.

Mały Sam uklonił się uprzejmie i wskazując na swoich towarzyszy powiedział:

- Nazywam się Sam Hawkens, a to są Dick Stone i Will Parker.

- Aha, Samauk, Dickson, Willpak! Te nazwiska są za trudne dla mojego starego języka, kochani braciszku. Pozwólcie, że nazwę was jakoś wygodniej.

- Proszę bardzo.

- Ty będziesz nazywał się Tykwa.

- To znaczy dynia, pewnie dlatego, że noszę na moim skalpie taką ogromną czapę? - zaśmiał się Sam dobrodusznie.

- A tych dwóch braciszków - rzekł pokazując na towarzyszy Sama, - nazwę Pianka i Rogatina.

- Co on o nas mówi? - spytał Will.

- Nazwał was Sztacheta i Oszczep - wyjaśnił Sam.

- Nie zgadzam się z tym! - burknął Will.

- Ja też nie - zgodził się z nim Dick.

Sam znalazł jednak wyjście z tej sytuacji. Wyjaśnił grubemu Buriatowi, że może opuścić nazwiska i ograniczyć się do zapamiętania samych jednosylabowych imion: Sam, Dick i Will.

Nareszcie książę mógł ugościć swoich gości. Karpala obsługiwała ich uprzejmie i miło. Potem robili zakupy na jarmarku. Wtem Dick tak mocno trącił Sama, że traper o mało się nie potknął.

- Co się stało?

- Bili Newton!

- Bzdura! Jakże miałby się dostać tu, na Syberię?

- Nie wiem. Chodź szybko!

Dick pociągnął Sama pomiędzy namioty rozglądając się na wszystkie strony, ale nie mógł znaleźć obcego.

- Ktoś po prostu wyglądał bardzo podobnie do dawnego derwisza, to wszystko. - stwierdził Sam.

- Mógłbym przysiąc, że to był on. Jedyne różnica polega na tym, że nosi teraz brodę.

Kiedy Bili Newton albo raczej Fedor Łomonow, jak się teraz nazywał, załatwił u naczelnika swoje sprawy paszportowe, udał się najpierw do gospody, gdzie posilił się i złązał gospodarza za to, że wysłał go do isprawnika.

Potem pośpieszył na jarmark, żeby rozpytać się o sławnego łowcę soboli, Numer Czterdziesty Czwarty. Wbrew oczekiwaniom znalazł go bardzo szybko, a ponieważ Łomonow oferował dobrą zapłatę, ten był gotów przystać na jego propozycję. W krótkim czasie zgromadził wokół siebie grupę myśliwych, przy czym sława, jaką się cieszył, bardzo mu w tym była pomocna.

Pozostało więc tylko załatwienie niezbędnych zakupów i były derwisz wędrował dalej po jarmarku. Ponieważ wokół dziwnych przybyszów z Ameryki tłoczyło się wielu ciekawskich, pociągnęli za sobą także Łomonowa. Ku swemu przerażeniu odkrył w nich tych trzech myśliwych, przed którymi z wielkim trudem udało mu się uciec z Doliny Śmierci. Tak go to zaskoczyło, że uznał, iż tropią go bez przerwy aż tutaj i postanowił jak najprędzej opuścić miasto, póki go jeszcze nie odkryli i nie jest za późno.

Zakupy były już załatwione i wszystko spakowane. Dodatkowe pieniądze wynagrodziły świeżo zwerbowanym myśliwym ten pośpieszny wymarsz. Właśnie, kiedy Łomonow udawał się na miejsce zbiórki, natknął się ponownie na przybyszów z Ameryki. Dick go rozpoznał, więc prędko zapuścił się między namioty i w ten sposób udało mu się uciec. .

## Wieczorne tańce w szynku

Zapadał zmierzch i w gospodzie zapalano lampy, ponieważ dzisiaj, w pierwszy dzień wielkiego jarmarku miał się odbyć w sali tanecznej bal.

W tylnej części sali oddzielono przy pomocy drewnianej przegrody miejsce przeznaczone dla „państwa” . Istniał zwyczaj, że miejscowi notable mogli przetańczyć co dziesiąty taniec wyłącznie w swoim gronie.

Ledwie trąbka dała sygnał do rozpoczęcia balu, a już zewsząd napływali tłumnie chętni do tańca. Pierwsze „pańskie” tańce nie odbyły się, ponieważ „państwo” jeszcze nie przybyli.

Wkrótce jednak zaczęli się schodzić. Najwyższe miejsce zajął naczelnik powiatu z rodziną, po nim inni oficerowie, pop i jeden podoficer. Po chwili przyłączyli się do nich znakomici przywódcy ludów zamieszkujących te tereny, wreszcie przybył także tej&z Bułą z żoną i córką.

Jego pojawienie się wzbudziło ogólne zainteresowanie, i to nie tylko z powodu piękności Karpali, lecz z powodu trzech dziwnych postaci znajdujących się przy nim: Sama, Dicka i Willa. To, że Sam strzelał do rotmistrza, a mimo to cieszy się wolnością, sprawiło, że w oczach prostych ludzi godzien był najwyższego uznania.

Do jedzenia nie było nic, a do picia jedynie herbata, wódka, kwas chlebowy i kwaśne mleko. Na orkiestrę składały się trąbka, stara gitara i puzon, a koncert jak mówił poeta, zmiękczał kamienie i ludzi doprowadzał do szaleństwa.

Absolutne pierwszeństwo należało do tańców ludowych. Pomimo złych napitków i jeszcze gorszej muzyki powoli stawało się głośno i wesoło, także w miejscu, gdzie siedzieli „państwo” .

Tylko rotmistrz pozostał ponury i małomówny. Czuł się poniżony w oczach gości na balu, a do tego Karpala nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem. Więc kiedy rozpoczął się następny „pański” taniec, wstał zły ze swego miejsca i podszedł do niej. Poprosił ją do tańca, ale ona potrząsnęła głową nawet na niego nie spojrzawszy.

- Nie tańczysz? - spytał.
- Nie.
- Dzisiaj w ogóle nie?
- Jeszcze nie wiem.

- Czy może ze mną nie chcesz tańczyć?

- Z tobą nigdy więcej!

Rotmistrz zbladł. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego kierunku i czuł na sobie drwinę tłumu.

- A może zatańczysz z Numerem Dziesiątym? - wyszczał jadowicie prosto do jej ucha.

- Być może.

Oczywiście odpowiedzi dziewczyny nie potraktował poważnie. Przecież to niemożliwe, żeby córka bogatego tejsza mogła tańczyć z biednym kozakiem, a do tego jeszcze zesłańcem. Mimo to rzucił wściekle spojrzenie za przegrodę, tam gdzie stał kozak. Opierał się o ścianę i przyglądał się temu, co działo się w gospodzie na pozór bez większego zainteresowania. Ale jego oczy szukały bez przerwy Karpali.

Po kilku tańcach dla pospólstwa trąbka obwieściła „pański” taniec. Karpala wstała spokojnie, podeszła do kozaka i podała mu dłoń.

- Chodź, zatańcz ze mną!

Na te słowa kozak drgnął zaskoczony, zaraz jednak wyprostował się, oczy mu rozbłysły, policzki pały. Zauważył, że Karpala odmówiła prośbie rotmistrza, a teraz ona, księżniczka, przyszła do niego! W lot pojął skutki tego jej kroku, ale niewiele go obchodziły. Położył jej dłoń na swoim ramieniu i poprowadził na środek sali.

W całej gospodzie rozległ się okrzyk zdumienia. Wszystkie oczy patrzyły na rotmistrza, którego twarz zrobiła się biała jak ściana.

Muzykanci zaczęli grać. Tańczyła tylko ta jedna para, ponieważ „państwo” nie chcieli się kompromitować, kręcąc się w tańcu obok zesłańca. Lecz kozak wydawał się myśleć wyłącznie o swojej tancerce. Ramieniem wspartym o jej biodra prowadził ją lekko i zamaszyście tam i z powrotem. A ona poddała się całkiem tej porywającej muzyce i zręcznemu prowadzeniu, i tańczyła z głową lekko przechyloną i wpół przymkniętymi powiekami.

Rodzice Karpali przyglądali się im pogodnie i bez uprzedzeń w zesłańcu widzieli przecież jedynie mężczyznę, który uratował ich klejnot, ich córkę.

Tanec dobiegł końca.

- Chodź! - powiedziała Karpala i chciała odprowadzić swojego tancerza do miejsca, gdzie uprzednio stał.

- Nie - wyszeptał, - to ja ciebie odprowadzę!

Powoli dotarli aż do przegrody i weszli na „pańską” stronę. Rotmistrz rzucił się ze swego miejsca na kozaka. Obserwował tańczących płonącymi oczyma, które skrzyły się teraz niszczącym ogniem.

- Masz czelność wejść tu, psie? - zawołał tak głośno, że jego słowa słychać było wyraźnie w całej sali. - Czego tu chcesz?

- Odprowadzić moją damę na miejsce - odparł nieustraszenie kozak Numer Dziesięć.

- Twoją damę? Cóż za zuchwałość! Jak księżniczka Kaipala może być damą przestępcy? To moja narzeczona. Wynoś się, w przeciwnym razie wyrzucę cię i każę wychłostać!

Sięgnął po pejcz, który zwykle wisiał u jego boku i zacisnął dłoń na rękojeści.

Zapadło nieznośne milczenie. Wszyscy czekali w napięciu, co się teraz stanie. Większość sądziła, że Numer Dziesiąty z największą uni-żonością wykona rozkaz.

- To jest mocne! - szepnął Sam Hawkens długiemu Dickowi Stone. - Chyba będziemy się musieli ująć za tym biedakiem, jeśli się nie mylę.

Jednak kozak nie okazał ani śladu uległości. Stał przed oficerem - wyprostowany i odpowiadał oficjalnie uprzejmym tonem:

- Uczynię to, co mi dama rozkaże - przy czym spojrzał pytająco na Karpalę.

Karpala uznała, że winna jest kozakowi ratowanie jego honoru, dlatego wsparła się mocniej o jego ramię i powiedziała uprzejmie:

- Ty tańczyłeś ze mną, więc ciebie proszę o odprowadzenie mnie do moich rodziców, a potem możesz wrócić znów na swoje miejsce.

- Dziękuję ci.

Kozak chciał z Karpalą iść dalej, ale rotmistrz chwycił go mocno za ramię.

- Zatrzymaj się! Puść ją natychmiast!

- Widzisz przecież, że moja dama tego nie chce. Jeżeli rzeczywiście jest twoją narzeczoną, powinieneś okazać jej uszanowanie, a nie obrażać, wymyślając mi wjej obecności!

- Ty nędzny psie! Usłuchniesz, czy nie? Rotmistrz uniósł knut.

- Nie jestem ani psem, ani przestępcą. Wysłano mnie na Syberię bez sądu. Jestem jak i ty oficerem, i człowiekiem szlachetnie urodzonym. Nie waż się mnie choćby tknąć tym pejczem!

- Czekaj łajdaku! Masz! - krzyknął rotmistrz i zamachnął się, lecz cios nie dosięgnął celu, ponieważ Sam złapał go szybko za ramię i odezwał się bardzo uprzejmie swoją łamaną ruszczyzną:

- Uspokój się, braciszku! Jesteśmy tu, żeby się bawić, a nie żeby wysłuchiwać kłótni.

Rotmistrz ryczał jak rozdrażniony byk.

- Nie masz tu nic do rozkazywania! Z drogi!

- Nie rozkazywałem, lecz tylko prosiłem. Uszanuj swoją narzeczoną! Pozwól jej tancerzowi spełnić obowiązek wynikający z uprzejmości względem niej! Cóż to szkodzi, że na chwilę tu wejdzie!

- Nie wolno mu wchodzić tu, do mnie!

- Ale może wejść do mnie! Jestem gościem księcia i zobaczymy, czy mnie też obrazisz - po czym zwrócił się do kozaka.

- Braciszku, zaprowadź swoją damę na miejsce i wypij ze mną szklaneczkę za jej zdrowie!

Podszedł do stołu, żeby napełnić szklanki i musiał puścić ramię rotmistrza, który wykorzystał tę okazję i powtórnie zamachnął się na kozaka

- Spowrotem! Precz stąd! Bo naznaczę cię na całe życie!

Sam Hawkens chciał szybko interweniować, lecz powstrzymał go widok kozaka. Numer Dziesiąty stał wyprostowany, a jego oczy błyszczały

- Spróbuj!

- A masz!

Rotmistrz chciał uderzyć i już słychać było świst knuta w powietrzu, gdy nagle Numer Dziesiąty puścił ramię Karpali i błyskawicznie pochwycił pięść rotmistrza, w której ten trzymał pejcz. Jeden ruch i wyrwał mu go.

- Dosyć! Już wystarczy! W przeciwnym razie nie będę cię już oszczędzał! Siadaj i uspokój się!

Oficer cofnął się o krok i zaniemówił kipiąc z wściekłości.

- Co? - wrzasnął wreszcie. - Ty nakazujesz mi spokój? Wyrwasz mi pejcz? Dawaj go! Tak cię stłukę, że strzępy polecą!

Z tymi słowami skoczył na kozaka. Ten odsunął się nieco i wymierzył mu tak mocny policzek, że napastnik poleciał na przegrodę, przewrócił ją i razem z nią wpadł na salę. Rotmistrz pozbierał się szybko i ponownie zaatakował przeciwnika. Ale Numer Dziesiąty złapał go, uniósł do góry i rzucił z rozmachem o ścianę.

To stało się tak szybko, że nikomu nie udało się zapobiec takiemu rozwojowi wypadków. Teraz kozak oddychając ciężko podał Kar-pali ramię i powiedział tak spokojnie, jak gdyby nic się nie wydarzyło:

- Pozwól, że odprowadzę cię na miejsce!

Karpala była bardzo blada, opadła na ławę i nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Także w sali panowała śmiertelna cisza.

- Braciszku, czy teraz wypijesz ze mną za jej zdrowie? - odezwał się do Sama Numer Dziesiąty głośno i wyraźnie.

- Na Boga, ależ z ciebie dzielny człowiek! To dla mnie przyjemność trącić się z tobą. Sam napełniał szklanki i zanim się z tym uporał, w całej sali zabrzmiał głos rotmistrza:

- Na niego! Łapcie go! Natychmiast!

Ostro skarcony rotmistrz przedstawiał sobą straszny widok. Niepohamowany gniew sprawił, że jego twarz zrobiła się ciemnoczerwona i wydawało się, że żyły na czole zaraz pękną.

Ani jeden człowiek nie siedział, nawet „państwo” podnieśli się ze swoich miejsc. Kozacy niechętnie wykonywali rozkaz dowódcy i bardzo powoli zbliżali się do Numeru Dziesiątego.

- Prędzej, psy! - grzmiał rotmistrz. - Mam was pośpieszyć? Wtem Will stuknął małego Sama w ramię.

- Czy musimy spokojnie na to patrzeć? Czy nie lepiej zlinczować rotmistrza?

- Tak, unurzamy go troszkę w smołę, a potem w pierzu! - dodał Dick.

- Poczekajcie jeszcze! - poradził im Sam, po czym zbliżył się do zesłańca.

Numer Dziesiąty odgadł życziwe zamiary traperów, ale powstrzymał go ruchem ręki.

- Bądź ostrożny, braciszku! Tutaj rządzą prawa, które ty jako cudzoziemiec musisz respektować w dwójnasób.

Sam Hawkens zrozumiał to oczywiście, dlatego szepnął do Willa:

- Na razie pozostawimy sprawy swojemu biegowi. Ale wymknij się stąd cichaczem i sprawdź, dokąd go zabiorą.

- Dlaczego sam nie pójdziesz?

- Bo chciałbym jeszcze zamienić słówko z tym panem rotmistrzem.

- Słówko? Z takimi ludźmi najlepiej rozmawiać pięścią jak nasz Old Shatterhand.

Wypisz mu dziesięcioma palcami rosyjski alfabet na twarzy, to podziała na niego lepiej niż wszystkie słowa!

Nikt nie zwrócił na to uwagi, że Will wyszedł. Cała uwaga obecnych skupiona była na kozaku. Numer Dziesiąty odrzucił knut, który wyszarpnął rotmistrzowi i wyszedł na przeciw swoim towarzyszom.

- Proszę, macie mnie! - zawołał. - Warn nie będę stawiał oporu.

- Zwiążcie go! Skrępujcie! Zakujcie w kajdany! - ryczał oficer.

- Biegnij do karczmarza, niech ci da powróz' - rozkazał obecny tam podoficer jednemu ze swoich ludzi. - Zwiążerhy go tak, że try-śnie mu krew ze wszystkich żył!

Lecz więźniowi powiedział cicho:

- Nie martw się. Tak cię zwiążę, że będzie ci się wydawało, jakbyś był opakowany watą, tylko wykrzywiał twarz z bólu!

I ponownie zwrócił się do rotmistrza.

- Dokąd mam go zabrać?

- Na razie do strażnicy. Potem sam jeszcze do niego zajrzę.

Po chwili Numer Dziesiąty został związany i odprowadzony. Rotmistrz szedł z nim aż do drzwi, po czym wrócił na swoje miejsce. Zanim jednak usiadł nie mógł się powstrzymać, aby nie rzucić Samowi wściekłego spojrzenia

- Ten człowiek zaprzepścił swoje życie. Sąd nie będzie dla niego pobłażliwy. - prychnął. - Ale nie- mogę pojąć, jak obcy, przybysz mógł się na to poważyć, żeby brać w obronę kogoś takiego. Ten obcy musi być szaleńcem.

- Czy to mnie masz na myśli, braciszku? - spytał Sam przymilnie. - Bo byłaby to ciężka obraza. A wiesz może, jak się powinno odpowiadać na taką zniewagę?

- To mnie zaskarż!

- Ani mi to w głowie. Mężczyzna powinien z bronią w ręku odpowiadać za swoje słowa.

- Święty Andrzeju! Mówisz o pojedynku? - rotmistrz wybuchnął głośnym śmiechem.

- Tak.

- Popatrz, to jest właśnie dowód na to, że oszalałeś! Ja miałbym się z tobą bić! Jestem rotmistrem! Carski rotmistrz nie bije się z każdym przypadkowym cywilem. Zrozumiano?

- Akurat ty się do tego nadajesz! - kpił Sam.

- A może ty uważasz się za coś lepszego?

- Oczywiście!

- Idź do diabła!

Sytuacja stawała się poważna. Naczelnik milczał do tej pory, nawet podczas lania, jakie kozak sprawił jego synowi. Ale słowa Sama tak wzmogły jego wściekłość, że nie wytrzymał i ofuknął trapera:

- Rozkazuję ci milczeć! Nie masz tu nic do gadania! Sam roześmiał mu się w twarz.

- Czyżbyś ty miał?

- Tak. Jestem tu naczelnikiem!



- Jesteś tu gościem, podobnie jak ja. Mam tu tyle samo do powiedzenia co ty, jeśli się nie mylę. W kancelarii musiałeś przede mną spuścić z tonu, a co dopiero tutaj, na tej sali, gdzie wszyscy mają równe prawa. Będę mówił, co mi się podoba. Powiem ci więc, ojczulku: jesteś wielkim głupcem. Atwój syn jest gburowatym szubrawcem, któremu porządne cięgi wcale nie zaszkodzą, hihihhi!

Isprawnik, rotmistrz i pozostali oficerowie porwali się z miejsc.

- Spokojnie! - zawołał naczelnik szyderczo. - Zostawmy go! On naprawdę zwariował!

- Posłuchaj, ojczulku, ostrzegam cię! Twój syn obraził mnie i żądam zadośćuczynienia. Jeżeli mi go odmówi, jest tchórzem. Zrozumiano?

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał, nawet muzykanci przestali grać. Dick Stone siedział na swoim miejscu, uśmiechał się rozbawiony i swoimi wyciągniętymi chudymi nogami trącał Sama od czasu do czasu, zachęcając go w ten sposób do odpierania ataku.

Naczelnik o mało nie udusił się swoją złością. Z czymś takim nie miał jeszcze do czynienia.

- Rozkazuję ci milczeć! - powiedział opanowawszy się z trudem. - Jeżeli nie posłuchasz, każę cię aresztować!

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś jeszcze, co jest napisane w moim paszporcie? - odparł Sam uprzejmie.

- Nie. Ale czyżby tam było napisane, że mamy pozwalać sobie na obrażanie nas?

- Nie. Lecz nie pisze w nim także, że mam się dać zaczepiać pierwszemu lepszemu kozakowi! On mnie obraził i żądani satysfakcji!

- On nie będzie się z tobą bił. Nie jesteś oficerem, nie jesteś mu równy.

- Do pioruna! A to dopiero! O tym, braciszku, dowie się car, kiedy wrócę do Carskiego Sioła i będę z nim pił kawę i grał w karty.

- Kawa? Karty? W Carskim Siole?

- Tak jest! A ty twierdzisz, że nie jestem wam równy? To śmie-szne! Ale jak chcesz! Opowiem to wszystko imperatorowi.

Twarz urzędnika przybrała wyraz niezmiernego zdumienia, natomiast pozostali obecni usiłowali spieszenie wyrazić minami swoje uszanowanie.

- Mój Boże! Czy to prawda Jaśnie Wielmożny Panie? Dlaczego od razu" nam tego nie powiedziałaś?

- Dlaczego? Bo tak mi się podobało. A teraz przy świadkach pytam cię jeszcze raz, czy jestem równy tobie i twojemu synowi?

- Wybacz nam! Stoisz o wiele wyżej niż my.

- A więc dla twojego syna to zaszczyt, że chcę się z nim bić.  
- Oczywiście! I właśnie dlatego uważam, że nie powinienes upierać się przy tym pojedynku - przypochlebiał się naczelnik.

- Dlaczego nie?  
- On jest bardzo odważny i mogłaby z tego wyniknąć dla ciebie jakaś szkoda.  
- Do diabła z tym! Myślisz, że ja nie jestem odważny?  
- Ależ nie, przeciwnie! Ale wobec kuli odwaga nie zda się na nic.  
- Umiem obchodzić się z kulami. Dowiodłem tego dzisiaj strzelając do jego czapki i robiąc mu w niej dziurę, jeśli się nie mylę.

Isprawnikowi zrobiło się nieswojo na skutek szorstkiej pewności siebie Sama. Mimo to uczynił jeszcze jeden wysiłek, żeby go odwieść od pojedynku.

- Nie zaszkodzi to twojej pozycji, jeżeli będziesz się pojedynkował?  
- Nie, ponieważ gdy zabiję twojego syna, to nawet wrona po nim nie zakracze, a kiedy on mnie choćby zrani, to niech się ma na baczności, ponieważ znajduję się pod specjalną carską ochroną.

Oficerowie patrzyli w ziemię i żaden nie chciał być wplątany w tę nieoczekiwane przykrą sprawę. Marzyli, żeby znaleźć się daleko stąd, aby uniknąć prośby o sekundowanie pojedynkowi. Wtedy także rotmistrz uznał za stosowne, żeby poszukać jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Mam nadzieję, że mówiłeś to wszystko żartem.  
- Dlaczego?  
- Jestem mistrzem w używaniu broni dowolnego rodzaju.  
- To mi się właśnie podoba, hihihih! Z niedołągą się nie biję. A więc wyzywam cię na pojedynek!

Rotmistrz nie odpowiadał.

- No, jeszcze się wzbranasz?  
- Nie. Przyjmuję wyzwanie.  
- Dobrze. Załatwmy to szybko. Mój przyjaciel będzie sekundantem. Kto decyduje o wyborze broni?  
- Obrażony.  
- A więc ja! Strzelamy więc z fuzji z odległości pięciuset kroków! Rotmistrz odetchnął z ulgą. Pięćset kroków to była już bądź co bądź jakaś odległość. Sam zauważył to i jego oczy rozblęły.

- Albo powiedzmy: tysiąc kroków? - spytał. - Z odległości pięciuset kroków potrafię bowiem zestrzelić muchę z nosa przeciwnika.

- Jak chcesz! - wykrztusił rotmistrz.

- No to pozostajmy przy pięciuset! Jutro o szóstej rano, na równinie obok placu targowego.

- Panie, dlaczego tak publicznie?

- Każdy przecież lubi popatrzeć na pojedynek, hihihhi! Dobrzy ludzie jeszcze długo będą o nas opowiadać, jeśli się nie mylę i to mnie bawi. A teraz bawmy się! Niech muzykanci zaczną wreszcie grać!

Naczelnik dał znak i tańce rozpoczęły się od nowa, jednak w „pańskiej” części sali muzyka nie wpłynęła na rozweselenie towarzystwa. Isprawnik nie mówił nic, dręczyły go zakłopotanie i złość. Zachowanie Sama wydało mu się potworne, ale wierzył małemu traperowi. W tamtych czasach w Rosji, a już szczególnie na dalekiej Syberii nie należało do rzadkości, że jakiś ulubieniec dworu albo jakaś nadzwyczajna okoliczność wywracali do góry nogami cały dotychczasowy porządek rzeczy.

Także rotmistrz milczał zawzięcie i jedynie trójka przyjaciół była w dobrym nastroju. Will wrócił z obserwacji, ale dostarczył niewiele informacji.

- Umieścili go w takim osobliwym budynku, niedaleko stąd. Widać go nawet z mieszkania naczelnika. Wybudowany jest na sześciu palach i ma dach z sitowia. Nie mogłem podejść bliżej, bo za nim biegło tak wiele ludzi, że zasłaniali mi widok.

- Czy jest pilnowany?

- Tak, przez dwóch strażników.

- Mam nadzieję, że będą tam stali, nawet gdy ucieknie. Ze względu na Karpalę i na złość temu rotmistrzowi musimy pomóc kozakowi w wydostaniu się na wolność. A może nie macie ochoty? W takim razie sam to zrobię.

- Ależ skąd, idziemy z tobą!

Jeszcze przez jakiś czas naczelnik przyglądał się tańcom, a potem wyszedł w towarzystwie żony i syna. Podczas zajścia w gospodzie żona milczała wzburzona, a i teraz nic nie mówiła. Oficerowie także opuścili bal, tak więc pozostali poczuli się wreszcie między sobą, jednak także wkrótce się rozeszli.

Tymczasem podoficer kozaków, który aresztował Numer Dziesiąty, zdążył powrócić do gospody. Mrugnął dyskretnie do Karpali, jak gdyby miał jej coś do powiedzenia. Kiedy opuściła salę taneczną wraz z rodzicami i trzema myśliwymi, siedł przed nimi w pewnej

odległości aż do miejsca, gdzie było ciemno i pusto, i tam na nich zaczekał. Gdy się zbliżyli i chcieli go ominąć, przemówił:

- Wybacz, siostrzyczko, że ci przeszkadzam! Mam ci przekazać pozdrowienia od Numeru Dziesiątego. Właściwie nie wolno mi tego robić, bo jest zesłańcem i więźniem, ale wszyscy go lubimy. Mam ci podziękować, że byłeś dla niego taka dobra. Także tobie, ojczulku, kazał podziękować, lecz prosi, żebyście z jego powodu nie narażali się na nieprzyjemności. Byłoby mu bardzo przykro, gdybyście zniżyli się do wstawiennictwa za mną u rotmistrza.

- Spotkasz się z nim jeszcze? - spytała Karpala.
- Jutro przed południem. Muszę odstawić go do Irkucka.
- Wobec tego powiedz mu, że spełnię jego życzenie!
- Chcesz mu jeszcze coś przekazać?
- Nie.
- Bądź zdrowa, siostrzyczko!

Podoficer zamierzał się właśnie oddalić, gdy Sam Hawkens sięgnął do kieszeni, wyjął monetę i podał mu ją:

- Masz, napij się wódki!

W kraju, gdzie funt najlepszej wołowiny kosztował trzy kopiejki, a więc cztery fenigi, gotówka była czymś bardzo rzadkim. Dlatego oficer ucieszył się niezmiernie z tego niezwykłego prezentu.

- Ojczulku - powiedział - jesteś bardzo wytwornym panem. Ja jestem żołnierzem już od osiemnastu lat i jeszcze nigdy nie dostałem napiwku. A ty spędziłeś tu dopiero pół dnia i już dałeś mi na wódkę. Niech ci niebo podaruje za to tyle .beczek pełnych wódki, żebyś mógł pić codziennie od rana do wieczora, ty i twoi potomkowie aż do setnego i tysięcznego pokolenia.

- Więzień nie ma zapewne nic do picia? - Sam puścił mimo uszu potok wymowy mężczyzny i tym samym sprowadził rozmowę na kozaka Numer Dziesiąć.

- Nie dostaje nic do jedzenia ani picia. - .I siedzi w najgorszym więzieniu?
- Tak, w najgorszym, w strażnicy!

Sam pogawędził z podoficerem jeszcze przez chwilę i dokładnie go .. przy tym wy badał.

- Dziękuję ci, braciszku - rzekł wreszcie. - Bądź zdrow i nie zapomnij napić się wódki!

- No i co o tym myślisz? - spytał Dick, gdy Sam im przetłumaczył rozmowę.

- Powinno się udać.

- Tak, ja też tak myślę. Pomimo naładowanych strzelb wartowników? - wtrącił Will.

- Te ich pukawki są do niczego. Poradzilibyśmy sobie nawet z tuzinem takich pachołków, a tych jest zaledwie dwóch. Oczywiście - byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy mogli zastosować jakiś podstęp.

- Najpierw się rozejrzemy, a potem zastanowimy się, co można , zrobić.

j Dotarli do obozu i weszli do jurty księcia. Dookoła pogasły już wszystkie ogniska i noc była ciemna choć oko wykol. Ale trójce sprytnych i doświadczonych myśliwych udało się w chwilę później bez trudu wymknąć ponownie z obozu.

## **Żaba – widmo**

Will Parker poprowadził towarzyszy, ponieważ wiedział już, gdzie znajduje się strażnica.

W pobliżu więzienia Sam wyprzedził obu dryblasów, położył się na ziemi i podczołgał w kierunku budynku. Noc była tak ciemna, że niepodobieństwem było rozpoznać człowieka z odległości nawet dziesięciu kroków.

Wartownicy usadowili się wygodnie pod budynkiem, oparci o jeden z pali i rozmawiali półgłosem. Ich rozmowa kręciła się wokół więźnia, choć znajdował się tuż nad nimi i musiał słyszeć każde ich słowo.

Sam podpełznął bliźutko do wartowników i zauważył krótką drabinę przymocowaną tuż obok nich.

Rozmowa, jaką prowadzili, rozbawiła go do tego stopnia, że z trudem opanował śmiech. Wprawdzie nie zrozumiał wszystkich słów, ale sens rozmowy był dla niego jasny. Objawiła mu się w niej taka naiwność i wiara w zabobony, jakiej nigdy by się nie spodziewał.

- Gdyby udało mu się zwiąć, to każdy z nas dostałby po sto batów - powiedział jeden z nich.

Ręka drugiego powędrowała do tyłu. Na samą myśl o batach już sobie masował grzbiet, całkiem możliwe, że z doświadczenia wiedział, jak to smakuje

- Na szczęście me może uciec. Jest przywiązany.

- A jak rozerwie powrozy?

- To go zastrzelimy.

- Byłoby mi przykro. Nie lubię strzelać do ludzi.

- Ja też nie. Przed tym powiedziałbym do niego: braciszku, zostań tu i pozwól się związać, w przeciwnym razie musimy do ciebie strzelać!

- Tak byłoby najlepiej. On jest przecież rozumnym człowiekiem i nie będzie chciał ginąć, a nas skazywać na chłostę. Nie ma się co martwić! Jestem przekonany, że wszystko przebiegnie pomyślnie.

- Dlaczego?

- Ponieważ dzisiaj mamy najszcześniejszy dzień w roku. Wiedziateś, że dni dzielą się na szczęśliwe i nieszczęśliwe?

- Już jako dziecko wiedziałem, że są takie dni, w które nie wolno mi przedsięwziąć, ani siać, ani zbierać, ani wybrać się w podróż, nie wolno też nic kupować, ani zawierać żadnych umów, absolutnie nic.

- Zgadza się. Najbardziej nieszczęśliwe dni to pierwszy marzec, ponieważ wtedy upadły Sodoma i Gomora, pierwszy sierpień, ponieważ tego dnia strącono diabła z nieba, i pierwszy grudzień, ponieważ akurat tego dnia Adam ugryzł jabłko. Mamy tak samo trzy szczęśliwe dni, a najszczęśliwszy przypada akurat dzisiaj. Jest to dzień świętego Iwana Wasyliewicza. albo inaczej dzień wykopania skarbu.

- Co ty powiesz!

- Tak, wiem to dokładnie. Moja babka doświadczyła tego, bo znalazła wiele tysięcy milionów rubli.

- I mimo to jesteś takim biedakiem?

- Tak, braciszku, nie wydobyła w całości tego skarbu. Nie zachowała ostrożności i mówiła przy tym. A dozwolone są tylko niektóre słowa. Innych nie wolno wypowiadać, w przeciwnym razie wszystko znika za jednym zamachem.

- Znasz te słowa?

- Tak, bardzo dobrze. Babka mi je przekazała, a-ja wyuczyłem się ich na pamięć. Lecz tylko niedzielne dzieci są w stanie wykopać skarb.

- Ja się urodziłem w niedzielę.

- Ja też.

- W takim razie po sprawiedliwości powinniśmy mieć obaj szczęście i znaleźć skarb!

- O święta Teodozjo, nie dałbym mu długo leżeć!

- Ja też nie. Ale jak to jest, gdy komuś ukaże się skarb?

- Moja babka opisała mi to całkiem szczegółowo. Najpierw ukazuje się światło. Im jest ciemniejsze, a więc na przykład ciemnozielone, tym mniejszy jest skarb. Najlepsze jest żółte, jasne światło, ponieważ kolor żółty wskazuje na złoto. Potem ukazuje się duch.

- W jakiej postaci?

- Różnie. Mojej babce ukazał się w postaci żaby. Im większe zwierzę, tym większy skarb. Żaba mojej babki była dwa razy większa od mojej futrzanej czapy i kumkała tak donośnie, że słyhać ją było na odległość. Babka powiedziała, że mnie duch objawi się także pod postacią żaby. Na ogół członkom jednej rodziny pokazują się zwierzęta tego samego gatunku.

- Święty Iwanie Wasyliewiczu, niech nam się dzisiaj ukaże żaba!

- Najlepiej bardzo duża!

- Opowiadaj dalej!

- Potem trzeba iść powoli za duchem aż do miejsca, gdzie zniknie. Do tego momentu wolno jeszcze mówić, a nawet wypytywać ducha o różne rzeczy.

- I on odpowiada?

- Tak, oczywiście, ale gipsem zwierzęcia, pod postacią którego się ukazał. Czasami jednak, jak się jest rzeczywiście dzieckiem szczęścia, duch przemawia także ludzkim głosem. W miejscu, gdzie zniknie, ziemia jest już rozgrzebana. To robi duch na znak, że tam leży skarb.

- I tam trzeba kopać?

- Natychmiast, bo z nastaniem świtu skarb znowu znika. Ale od chwili, kiedy się zacznie kopać, nie wolno już powiedzieć ani jednego słowa poza zaklęciem, obojętnie co by się działo, w przeciwnym razie wszystko jest stracone. Moja babka niemal wyciągnęła już skarb z ziemi, kiedy ktoś ją nagle zawołał. Zapomniała o zakazie i odpowiedziała. W tej samej chwili skarb zapadł się z takim hukiem, jakby rozstała się ziemia.

- Znasz to zaklęcie?

- Tak.

- Och! Żebym ja je znał!

- Do tej pory nic o tym nie mówiłem, ale tobie powiem, bo czuję, że dzisiaj ukaże się nam duch. Podczas kopania trzeba mówić półgłosem zaklęcie:

Ten skarb w tym miejscu leży!

Ach! Gdy znajdę go,

wezmę pod dach.

Wy, drogie duchy,

co mi pomożecie,

pijcie mej wódki,

ile chcecie!

Jak skarb będzie jużjia wierzchu, otwór sam się zamknie, tak że żaden człowiek nie zobaczy, co się stało. Od tej chwili wolno już mówić.

- To duchy piją wódkę? Nie wiedziałem o tym.

- Bo jesteś wielkim głupcem, braciszku. Duchy chowają się przecież w ziemi, gdzie pilnują skarbu. Ale tam jest zimno i wilgotno. Czy to takie dziwne, że kiedy się przeziębiam...

Więcej Sam Hawkens nie chciał słyszeć To, czego się właśnie dowiedział, było fantastyczne, znakomite. Sam miał już plan i mógł wrócić do towarzyszy.



- Nie dziwcie się, jak zobaczycie płomień zapalki i usłyszycie kumkanie żaby! - powiedział szybko.

- Za... - zaczął Dick Stone.

- ...by? - dokończył słowa Will Parker nic nie rozumiejąc

- Nie mam czasu na dłuższe wyjaśnienia. Obaj strażnicy chcieliby wykopać skarb. Siedzą pod więzieniem. Przekradnijcie się do nich ostrożnie i jak tylko stamtąd odejdą, przyjdę ja i uwolnimy więźnia, jeśli sfę nie mylę, hihihhi! - zachichotał.

Sam zniknął w ciemności. Szerokim łukiem przekradał się w kierunku więzienia, aż znalazł się w odległości około trzystu kroków od niego. Tam wyjął nóż i zaczął kopać dołek. Potem poczołgał się w kierunku wartowników, wyjął zapalkę i zapalił ją. Jego samego w ogóle nie było widać, natomiast płomień zapalki sprawiał takie wrażenie, jakby wydobywał się prosto z ziemi.

Tymczasem kozacy rozmawiali dalej.

- O jakiej porze ukazują się zwykle duchy? - zapytał jeden z nich ciekawie.

- Około północy.

- Teraz chyba jest już na nie czas. Myślę, że dochodzi północ.

- Chyba tak. Nie bałbyś się?

- Ani trochę!

- Ja też nie. Pobiegłbym za tym duchem, jak pies za panem i michą pełną mięsa.

Dlatego chciałbym, żebyś ty... tam-tam-tam j-j-est ś-światło! - jękając się kozak wykrztusił z siebie ostatnie słowa, łapiąc drugiego za ramię.

Pomimo zapewnienia, że wcale się nie boi, przebiegł mu po plecach zimny dreszcz.

Jego koledze nie wiodło się lepiej. Prerażony wlepił oczy w rzekomo podziemne światło.

- Czy t-t-to może być d-d-duch?

- Chyba t-t-tak.

- Święty Iwanie Wasyliwiczu! Tam siedzi ogromna żaba!

- Ż-ż-żaba?

- Ż-ż-żaba twojej b-b-babki! - -Tak, t-t-to ona.

- Ale o wiele większa!

- Urosła. Od tamtej pory minęło prawie pięćdziesiąt lat. Ż-ż-żaby-widma t-też rosną

- To możliwe.

- Kum-kum. - rozległo się tuż przed nimi.

- Słyszysz?

- Tak, ona nas woła.
- Pójdziemy za nią?
- Boisz się?
- Nie. A ty?
- Ani trochę!
- To chodź'

Podnieśli się powoli, kolana im się trzęsły, ale absolutnie nie przyznawali się do tego. Duch skakał jak żaba, a oni skradali się za nim na trzęsących się nogach. Żaba ponownie zakumkała i zatrzymała się. Kozacy też.

- Popatrz jaka wielka! Zagadniemy ją!
- Tak.
- No to mów!
- Nie, ty spróbuj!
- Nie, ty! To przecież żaba twojej babki!
- Niech będzie.

Drżąc na całym ciele kozak postąpił krok do przodu.

- Czy jesteś duchem?
- Rozległo się krótkie - kum! Jak zdecydowane - tak!
- Pokażesz nam skarb?
  - Kum!
  - Mamy iść za tobą?
  - Kum!

Potem widmo skakało coraz dalej, a kozacy posuwali się za nim. W końcu żabawidmo ponownie zatrzymała się. Wnuk babki stał się nagle odważny.

- Gdzie jest skarb?
- Kum!

To miało prawdopodobnie, oznaczać zdecydowane - tutaj! Na potwierdzenie żaba wykonała skok w górę i opadła z głośnym plaśnięciem na ziemię.

- Czy mamy tu kopać?
- Kum!
- I znajdziemy skarb?
- Kum-kum-kum-kum!

Zabrzmiało to tak, jak gdyby żaba siedząc nad brzegiem stawu żegnała się z nimi, aby wkrótce zanurkować pod wodą. I rzeczywiście duch zniknął, wprowadzie nie w bajorku, lecz w ciemnościach nocy.

Dwaj poszukiwacze skarbów szli dalej z bijącym sercem. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie ostatnio widzieli ducha, pochylili się i zaczęli badać grunt.

- O święty Iwanie Wasyliwiczu, tu jest dziura!

- Kopiemy?

- Oczywiście! Tuż obok jest ogródek młodego Aleksieja Filipowicza. W kącie leży motyka i łopata. Zaraz je przyniosę.

- Mam tu zostać?

- Tak,- nie wolno ci się stąd ruszyć, bo otwór się zapadnie. Mów zakłęcie! A jak wrócę nie może paść ani jedno niedozwolone słowo.

Kozak pobiegł do ogródka, a jego kamrat zaczął mamrotać czarodziejską formułkę. Wkrótce ten pierwszy wrócił z narzędziami i obaj zabrali się do pracy, aż pot kapał im z czoła.

Wykopali już dół głęboki na metr, gdy wtem zauważyli odblask światła zbliżający się od domu naczelnika i przestraszyli się. Nadchodzili dwaj mężczyźni. Jeden z nich niósł latarnię, która zamiast szybek, rzadkich w tych stronach, zalepiona była naoliwionym papierem.

Na nieszczęście szli prosto na pracujących kozaków i wkrótce stanęli przed nimi. Poszukiwacze skarbów pocili się teraz nie tylko z wysiłku, lecz także ze strachu, ponieważ tymi dwoma mężczyznami okazali się naczelnik i jego syn.

- Do pioruna! - zawołał rotmistrz. - Co tu się dzieje? Cisza.

- Co tu robicie?

- Znajdę go, wezmę pod dach! - wymamrotał jeden z nich.

- Kogóż to?

- Wy, drogie duchy, co mi pomożecie! - wybełkotał drugi.

- Do diabła! Już ja wam pomogę!

To powiedziawszy złapał za knut i ze wszystkich sił zaczął okładać grzbiety pracujących w dole kozaków, ale ogłupiali poszukiwacze skarbów cierpliwie przyjmowali ciosy. Nie przerywali kopania i dalej mamrotali swoje zakłęcia. Wprawdzie uderzenia knutem sprawiały im wielkie cierpienie, jednak wytrzymywali ból i nie przestawali pracować, aż zmęczonemu rotmistrzowi omdlała ręka.

- Czy wy w ogóle nie macie uczucia, łajdaki? - ryczał. - Wyjdziecie wreszcie z tej dziury?!

- Ten skarb... - powiedział jeden,

- Człowieku, co ty pleciesz?

- ... w tym miejscu leży! - drugi dokończył zakłęcie.

- Skarb? Na świętego Cypriana, teraz zaczynam pojmwować! Oni chcą wykopać skarb, zamiast trwać na posterunku. Na litość boską, kto wam to wmówił? Jesteście tak beznadziejnie głupi, że aż trudno uwierzyć!

Jednemu z poszukiwaczy było już tego za wiele. Nie chciał uchodzić za głupca. Zapomniał o nakazie zachowania milczenia i wypadł ze swojej roli.

- Głupi? Nie, ojczulku, głupcami to my nie jesteśmy, lecz przeciwnie, jesteśmy bardzo mądrzy.

Wtem jego kamrat krzyknął przerażony.

- O święta Weroniko, teraz wszystko stracone! Ty mówiłeś! Gaduła zrozumiał natychmiast, że popełnił błąd i upuścił motykę.

- Święty Iwanie Wasyliwiczu! - zajączał. - Co ja zrobiłem?

- Czy nie możesz trzymać gęby na kłódkę! Chciałbym, żeby cię diabli wzięli! - wściekał się drugi.

W swoim cierpieniu ani przez chwilę nie pomyśleli o przełożonych i rozgniewani stali naprzeciwko siebie. Naczelnik i rotmistrz patrzyli na nich bez słowa.

- Dzisiaj był ten właściwy dzień! - mówił dalej płaczliwym głosem wnuk. - Całymi latami na próżno oc/ekiwałem żaby mojej babki. Wreszcie ukazała się, i to jaka wielka! Tu leżą miliony, na pewno, bo im większa żaba, tym większy skarb. Bez jednego piśnięcia dałem sobie obić grzbiet do krwi i wszystko na próżno, bo ty musiałeś gadać i skarb znów się zapadł!

- Może za rok znów się ukaże?

- Będzie się wystrzegą, ty paplo! Tak szybko żaba się znów nie pojawi. Ach, co za nieszczęście! Wszystko przepadło, wszystko skończone!

Teraz rotmistrz stracił już cierpliwość.

- Mylisz się! - warknął zły. - Jeszcze nie wszystko skończone! Teraz dopiero zacznie się najważniejsze, kara za wasze sprawowanie! Każę was zakuć w kajdany, będziecie biec przez różgi, łajdaki!

Przerażeni kozacy wyskoczyli z dołu i padli przed rotmistrzem na kolana.

- Ojczulku, nie zrobisz tego! - wolał nieszczęsny wnuk.

- Nie wytrzymamy tego! - biadał drugi.

- A dobrze wam tak. Każę was biczować, aż padniecie, wy niedbałe psy!

- Nie jesteśmy niedbali, panie! Zawsze bardzo gorliwie przykładamy się do służby.

- Opuściliście posterunek! Właśnie przyszedliśmy, żeby się przekonać, czy więzień jest dobrze strzeżony. Mieliście pilnować więźnia a zamiast tego szukacie skarbu. W tym czasie on mógł już dawno uciec.

- Przecież jest przywiązany, dobry ojczulku.

- Macie szczęście! Pójdziemy do niego i biada wam, jeżeli wszystko nie będzie jak należy! Poczekacie tutaj, aż wrócimy, wtedy postanowię, co się z wami stanie. Nie ruszajcie się stąd ani na krok! Zrozumiano?

- Tak jest, ojczulku, ani na krok. aż wrócisz.

Rotmistrz wraz z naczelnikiem udali się do strażnicy. Weszli do góry po drabinie i syn pomacał zamknięcie drzwi.

- Wszystko w porządku? - spytał naczelnik.

- Tak, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Zobaczmy dalej!

Rotmistrz wyjął zatyczkę ze skobła, pchnął drzwi i wszedł do środka. Wtem isprawnik usłyszał cichy szmer, coś jakby stłumiony jęk człowieka

- Co ci jest? Co się stało? - spytał.

- Nic, wejdź na górę, szybko! - odpowiedział głos ze środka. Stary pośpiesznie wspiął się do góry po drabinie.

## Numer Dziesiąty

Podczas gdy obaj wartownicy próbowali wykopać skarb, Sam Haw-kens przekradał się okreżną drogą do swoich towarzyszy, którzy czekali na niego pod strażnicą.

- Cóż ty za komedię odgrywasz? - spytał Will.

- Hihihih, stary szopie, jestem wielkim duchem!

- Zwariowałeś, Sam. Uważasz się za Manitou, czy co?

- Bzdura, Will. - chichotał rozbawiony Sam Hawkens. - Ci dwaj myślą, że ukazał im się duch, a do tego jeszcze pod postacią żaby. To ja sprawiłem ten cud. Nie słyszeliście tego wspaniałego kumkania?

- Oczywiście, słyszeliśmy. I widzieliśmy też światełko.

- Takich głupców można spotkać jedynie na Syberii, jeśli się nie mylę. Mamy dość czasu, żeby spokojnie wyciągnąć stąd więźnia. Tamci będą kopać aż do rana i oczywiście nic nie znajdą, a w tym czasie prawdziwy skarb, którego mieli pilnować, zniknie, hihihih!

Sam streścił im pokrótce podsłuchaną rozmowę.

- Wejdziemy tam wszyscy trzej? - spytał Will.

- To niepotrzebne - odrzekł Sam. - Pozostaniecie na dole, na straży. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, a kiedy diabeł macza palce w grze, może nas coś zaskoczyć. A więc dobrze uważajcie!

To powiedziawszy wdrapał się po drabinie do góry, wyciągnął skobel, otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Numer Dziesięć - zawołał półgłosem. - Gdzie jesteś?

- Tu, przy ścianie! Kto to?

- Twój przyjaciel, obcy, który już raz wziął cię w obronę, jeśli się nie mylę.

- Och! Jestem przywiązany tutaj do belki!

- Uwolnię cię.

Sam posuwał się powoli z rękami wyciągniętymi do przodu w kierunku, z którego dochodził głos, aż dotykami umiejscowił kozaka.

- Ach, tu jesteś! Zaraz będziesz wolny.

- To uprzecznie z twojej strony, braciszku, ale nie mogę zrobić użytku z twojej dobroci.

- Dlaczego nie?

- Z wielu powodów. Przede wszystkim dlatego, że podejrzenie o dokonanie tego czynu spadnie od razu na ciebie i będziesz musiał ponosić jego konsekwencje.

- Gwiżdżę na te konsekwencje. Wasz dzielny naczelnik jest baranim łbem pierwszej klasy i nie może mnie zastraszyć. Zresztą żaden człowiek nie jest mi w stanie udowodnić, że tutaj byłem.

- A czy wartownicy nie wpadną na tę myśl?

- Do diabła! Więc wiesz, jak ich przechytrzyłem?

- Pewnie. Rozmawiali przecież tak głośno, że rozumiałem każde słowo. A kiedy się oddalili, usłyszałem pode mną szept. To byli chyba twoi dwaj towarzysze, bo doszło do mnie kilka angielskich słów.

- Rozumiesz po angielsku?

- Tak.

- Syberyjski kozak mówiący po angielsku? Moje uznanie! - zdziwił się Sam.

- Nie jestem kozakiem, w ogóle żadnym Azjata, ani też Rosjaninem.

- Tak? Więc kim jesteś?

- Niemcem.

- Do stu piorunów! - ciągnął mały po niemiecku. - Czy to możliwe? I jesteś zesłańcem? Jak można wysłać Niemca na Syberię?

- Byłem rosyjskim oficerem.

- To co innego. A więc byłeś oficerem! W takim razie muszę się natychmiast odzwycząić od mojego „ty”. Ale jako Niemiec koniecznie musi pan stąd uciec, nie może się pan tak przed tym wzbraniać.

Sam zamilkł. Od strony wejścia rozległo się ciche ostrzeżenie.

- Pst! Proszę się pospieszyć! Ktoś nadchodzi, nie ma ani minuty do stracenia!

Sam Hawkens podskoczył ku drzwiom, gdzie na drabinie stał Dick Stone. W miejscu, gdzie wartownicy kopali do tej pory, zauważył światło latarni i równocześnie doszedł do nich głośny, gniewny głos rotmistrza.

- Damned! To rotmistrz - powiedział.

- Tak, zawsze przychodzi sprawdzić, czy z więźniem jest wszystko w porządku.

Szybko, uciekajmy!

- Ani mi to w głowie. Nie da się! - oświadczył spokojnie Sam.

- Dlaczego nie?

- Gdy już teraz odkryją jego ucieczkę, mogą go łatwo złapać. Nie. Mam fantastyczny plan. Zawołaj szybko Willa!

Minutę później towarzysze byli już u góry.

- Well - odezwał się Sam. - Prędko do środka! Muszę zamknąć drzwi.

Obok drzwi Sam odkrył dziurę w drewnianej ścianie budynku, przez którą można było przecisnąć dłoń i od drugiej strony wsunąć skobel. Takie niedbalstwo, do pomyślenia jest tylko tam, gdzie na więzienie przeznaczona jest stara szopa. Sam natychmiast to wykorzystał, zabezpieczył drzwi i śmiał się cicho do siebie.

- Cóż to będzie za niespodzianka, kiedy pan rotmistrz ujrzy czterech swoich najlepszych przyjaciół zebranych w jednym miejscu! Ależ to będzie pyszny żart, jeśli się nie mylę. Tylko najpierw rozwiążmy więźnia!

Podczas gdy Dick Stone wykonywał rozkaz Sama, z oddali dolatywały odgłosy chłosty, jaką rotmistrz częstował obu wartowników, a potem usłyszeli jego głośny rozkaz:

- Poczekacie tu, aż wrócimy!

- Mówi „my”. Chyba nie jest sam. To niedobrze. - zaniepokoił się traper.

Podszedł do dziury i wyjrzał na zewnątrz. W skąym świetle latai-ni rozpoznał także tego drugiego.

- Naczelnik jest z nim. To mnie cieszy. A więc dołapiemy obydwóch. Uwaga! Zbliżają się.

Sam odsunął się na bok. Zadzwięczał skobel, drzwi się otwały, wreszcie rotmistrz wszedł do środka. Właśnie chciał się obejrzeć za ojcem, kiedy Sam złapał go za szyję. Silny ucisk, krótki, bezgłośny jęk i oficer stracił przytomność.

Naczelnik usłyszał ten lekki jęk i spytał zatroskany:

- Co ci jest? Co się stało?

Kozak Numer Dziesięć odparł przytomnie naśladowując głos rotmistrza:

- Nic. Wejść na górę, szybko!

Udało się. Naczelnik poszedł w ślad za synem. Natychmiast też Dick Stone wyrwał mu z ręki latarnię. Było to konieczne, bo po pierwsze isprawnik nie mógł pod żadnym warunkiem nikogo rozpoznać, a po drugie łatwo mógł wybuchnąć pożar, gdyby ją upuścił. Will Parker złapał go tak mocno za gardło, że napadniętemu od razu opadły ręce, przez chwilę rzeził i upadł nieprzytomny.

Ojciec i syn zostali położeni obok siebie na podłodze. Sam pochwycił latarnię i poświecił im w twarz.

- Chyba mają chusteczki. Zawiążcie im je na oczach, żeby nas nie zobaczyli, kiedy się przebudzą!



- To nie jest potrzebne. - zaproponował Will. - Przecież nie ustawimy się przed nimi i nie będziemy czekać, aż otrzeźwieją. To byłaby głupota.

- Znów udajesz mądrzejszego ode mnie? - zakpił Sam. - Mam ochotę побыć tu jeszcze kwadransik.

- Po co?

- Żeby się trochę pobawić. Znacie przecież starego Sama Haw-kensa i wiecie, że jest wesołym człowiekiem. Zlinczujemy ich.

- Co? - Will porwał się z miejsca.

- No, właściwie nie zlinczujemy, tylko postąpimy z nimi isticie po amerykańsku. Przecież już nieraz widzieliście, jak kogoś nurzano w smołę, a potem oblepiano piórami.

- Bouncel Ta myśl nie jest oczywiście taka zła.

- Nieprawdaż? Tak, Sam Hawkens w ogóle nie ma pod swoim skalpem złych pomysłów, jeśli się nie mylę. Właściwie nie możemy ich oblepić piórami, bo tu nie ma piór, ale za to mnóstwo pakuł. A tam stoi kubel pełen smoły. Wszystko układa się wspaniale. Szybko, rozbierzcie ich, zanim przyjdą do siebie!

- Halo, ja też chcę! Ależ to będzie jutro zabawa! - ucieszył się Will.

- A jaki wstyd! Ci dwaj zarozumialcy nieźle sobie na to zapracowali - rzekł zadowolony Dick.

Sam powiesił latarnię na gwoździu, zawiązał im oczy i osiem rąk rzuciło się gorliwie do usuwania z nich wierzchniej odzieży. W usta włożono im kneble uformowane z pakuł, a ręce i nogi skrupowano. Następnie zostali zanurzeni aż po szyję w kubłach ze smołą i poturlani tam i z powrotem w pakułach, które przylepiały się natychmiast do smoły, po czym obaj zostali przytroczeni do belki, do której poprzednio przywiązany był kozak.

Niezbyt delikatne potraktowanie sprawiło, że ojciec i syn już się dawno ocknęli. Nie wiedzieli, co się z nimi stało. Chustki na oczach nie pozwalały im nic zobaczyć, nie mogli także nic usłyszeć, co wyjaśniłoby ich położenie, tak więc wszystko pozostało dla nich budzącą grozę zagadką. Warczeli tylko i prychnali, ale zjawy zakończyły już właśnie dręczenie ich.

- Niech zgadują, co się tu stało, i niech się pomęczą trochę w powrozach. - chichotał Sam cicho. - Nie chciałbym być na ich miejscu. Pół nocy w tym stanie! Przez całe życie tego nie zapomną! Niech to będzie dla nich nauczka. Chodźcie! Nic tu po nas, jeśli się nie mylę.

Zgaszono latarnię i trójka przyjaciół oraz kozak zeszli na dół. Na końcu znalazł się Sam, który na powrót zaryglował drzwi. Niepostrzeżenie opuścili miasteczko, ponieważ obaj

poszukiwacze skarbów ciągle jeszcze tkwili smutno obok wykopanego przez siebie dołu i posłuszni rozkazowi rotmistrza nigdzie się nie oddalali.

- Dokąd mnie prowadzicie? - chciał się dowiedzieć Numer Dziesiąty. - Nie mogę pójść ani do obozu, ani do miasta.

- Zatoczmy półkole wokół miasta i zatrzymamy się w pobliżu obozu. - odparł Sam. - Stamtąd zawiadomimy Bułę, księcia Buriatów. Niech zdecyduje, co dalej.

- Tak będzie najlepiej. Jestem przekonany, że znajdzie dla mnie jakąś pewną kryjówkę, gdzie bez lęku przed odkryciem doczekam nadejścia zimy.

Mężczyznom dopisało szczęście i nikt ich nie zauważył. Szli brzegiem rzeki, aż natrafili na gęste zarośla.

- Zostaniemy tutaj - oświadczył Sam. - Wy obaj, Dick i Will, udacie się zaraz do obozu, ale niepostrzeżenie, i zameldujecie księciu o wszystkim! Niech potem coś wymyśli. W każdym razie my czekamy tutaj.

Dryblasy spojrzały na Sama z otwartymi ustami.

- Co mamy zrobić? - dopytywał się Will Parker. - Chyba cię nie zrozumieliśmy.

- Macie złożyć meldunek księciu Buriatów, jeśli się nie mylę!

- Ależ Sam, ty chyba tego nie mówisz poważnie. My przecież nie mówimy ani słowa po rosyjsku.

- Nic na to nie poradzę. Trzeba się było uczyć. Hihihih! Ale byliście zbyt leniwi, Wasza strata.

- Ale jak mamy księciu wytłumaczyć...

- To nie moja sprawa, tylko wasza. Jeśli o mnie chodzi, możecie zachowywać się jak głuchoniemi i posługiwać się językiem migowym! Jako westmani nie jesteście w tym względzie tak całkiem niedoświadczeni, jeśli się nie mylę. Pokażcie, że nie jesteście już tymi żółtodziobami jak wtedy, kiedy was poznałem! Wynoście się już!

Dryblasy oddaliły się kiwając głowami.

- No to zostaliśmy sami - powiedział Sam Hawkens siadając z kozakiem na ziemi. - Spotkaliśmy się w bardzo dziwny sposób, jeśli się nie mylę. W samym środku Syberii spotyka się dwoje ludzi, w których żyłach płynie niemiecka krew, i którzy mówią po angielsku. Jeden z nich jest zesłańcem, a drugi... hm!

- A więc? Proszę, niech pan mówi dalej! Chętnie dowiedziałbym się, kto mnie uwolnił i rozmawia ze mną akurat po niemiecku. To dla mnie nieopisana radość słyszeć dźwięki języka moich rodziców.

- Wierzę panu! Dla pana jest to język rodziców, a dla mnie dziadków, hihihhi! A kim jestem, zaraz się pan dowie. Oczywiście nie jestem cenną zdobyczą, jeśli się nie mylę. Właściwie za kogo mnie pan uważa?

- Stanowi pan dla mnie zagadkę. Pańskie zachowanie jest nadzwyczaj zuchwale i pewne siebie.

- Oto rozwiązanie pańskiej zagadki. Jestem tylko prostym myśliwym z amerykańskich prerii.

- Ach! A działa pan jak człowiek, który nie zna lęku. Ale jak do tego doszło, że znalazł się pan tutaj?

- Przyjechałem tu polować.

- Chce pan łowić sobole?

- Może przy okazji, kiedy się przypadkiem na jakiegoś natknę. Właściwie poluję tu na ludzi. Szukam zaginionego, a nawet dwóch.

Numer Dziesiąty spojrzał na niego zaskoczony.

- Dziwne! Amerykański myśliwy przybywa na Syberię szukać zaginionych ludzi. A co pan od nich chce?

- Chcemy ich odnaleźć! - zachichotał traper. - Mamy doświadczenie w tych sprawach. Sam Hawkens jest starym psem tropicielem.

- Sam Hawkens? Czy to pan?

- Tak, nazywam się Sam Hawkens, zazwyczaj mówią na mnie krótko Sam. Moi dwaj towarzysze nazywają się JDick Stone i Will Parker.

- Co to właściwie za ludzie, ci zaginieni?

- Jednym był hrabia Wasylkowicz, a...

- Wasylkowicz? - podskoczył kozak.

- Niech pan siedzi, panie..., panie...! Zna go pan?

- Już słyszałem to nazwisko. A ten drugi?

- To jego przybrany syn i właściwie nazywa się Orłowski, po niemiecku Adlerhorst.

- Adlerhorst!

Kozak nieomal wykrzyknął głośno to nazwisko.

- Cicho, cicho! - ostrzegł go Sam. - Proszę zauważyć, że jest pan uciekinierem! Czy to nazwisko jest panu znane?

Kozakowi z trudem udało się pokonać ogarniające go podniecenie.

- Także to nazwisko już raz słyszałem. Panie Hawkens, jestem całkiem...

- Nie jestem żadnym panem Hawkensem. Niech mi pan mówi Sam i basta! Przyzwyczailem się, że tak mnie nazywają. A jak mam pana nazywać? - spytał, spoglądając chytrze spod randa kapelusza.

- Moje nazwisko to Numer Dziesiąty - odparł tamten jękając się.
- Bzdura! Przecież musiał się pan jakoś inaczej nazywać.
- Zesłaniec traci nazwisko. Mam na imię Gotfryd.
- Gotfryd, dobrze! Zresztą właśnie poszukujemy Gotfryda, Got-fryda von Adlerhorst.
- Czy to prawda?

Kozak skoczył na równe nogi i stanął przed traperem zdradzając wszelkie oznaki wielkiego podniecenia.

- Oczywiście, że prawda. Dlaczego pan pyta?
- Ponieważ... ponieważ wydaje mi się to cudowne, że pan, amerykański myśliwy, przybywa na Syberię, żeby odszukać zaginionego Niemca
- Nie ma w tym nic cudownego, po tym jak znaleźliśmy już pozostałych członków rodziny Adlerhorst.

Znów napięte spojrzenie powędrowało w stronę kozaka. A tego jakby coś nagle poderwało.

- Co pan opowiada! To jest... to jest przecież niemożliwe!
- Dlaczego nie! Przecież panu mówię, że mamy już troje: siostrę Lizę...
- Liza! - powiedział kozak z westchnieniem.
- ... i braci, Hermana i Martina.
- Herman i Martin! - powtórzył Numer Dziesiąty, całkiem wytrącony z równowagi. - Panie Boże, to jest przecież cała rodzina, brakuje tylko matki!
- Tak, oczywiście, matki i Gotfryda, którego właśnie poszukujemy.
- I pan wie, że on przebywa w tych stronach?
- Nie, nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie on jest, lecz natrafiliśmy na ślad, który nas najpierw przywiódł tutaj. Skąd panu wiadomo, że to jest cała rodzina?
- Ja... ja spotkałem kiedyś jednego Adlerhorsta, który nazywał się Gotfryd.
- Cóż za przypadek! Gdzie to było?
- Na Kaukazie. Służył w armii rosyjskiej w randze kapitana.
- Dawno temu?
- Przed czterema albo pięcioma laty.
- Zgadza się! Kto by pomyślał, że tu w Wierchnieudinsku spotkam człowieka, który zna Gotfryda von Adlerhorst. Jakże Herman się ucieszy, gdy się o tym dowie!

- Gdzie jest Herman?

- W Chabarowsku, ale wkrótce do nas dołączy.

Ta wiadomość tak poruszyła kozaka, że nie był w stanie wypowiedzieć choćby sylaby. Jego brat, którego wyobrażał sobie gdzieś w Afryce jako niewolnika, jest w pobliżu!

Sam Hawkens udawał, że nie zważa na wzburzenie siedzącego naprzeciwko kozaka, tylko wesoło gawędził dalej.

- Dzisiaj już drugi raz ktoś mi przypomina rodzinę Adlerhorstów. Przed kilkoma godzinami derwisz...

- Derwisz?

- Hm, zapominam, że nie może pan wiedzieć tego wszystkiego. Ten derwisz kręcił się po świecie pod najróżniejszymi nazwiskami. Ścigaliśmy go ciągle na nowo, ale za każdym razem udawało mu się zbiec. Naprawdę nazywa się Florin i był służącym w rodzinie Adlerhorstów.

- Florin! Florin!

- Halo! Czy może zna pan tego Florina?

- Och, aż nazbyt dobrze!

- Skąd?

- Ten Gotfryd von Adlerhorst opowiadał mi o nim.

- Ach tak! Dziwnym trafem Dick twierdził, że go dzisiaj widział.

- Gdzie?

- Tam pomiędzy namiotami! Ale to chyba niemożliwe.

- Dlaczego nie? Na ziemi zdarzają się najdziwniejsze rzeczy.

- To prawda. Ale czego chciał ten człowiek, tu na Syberii?

- A czego pan tu chce? Pana- obecność na Syberii jest tak samo dziwna i niewytłumaczalna, jak jego.

- Oczywiście, oczywiście! Może rzeczywiście to był on. Hm! To by była dopiero przekłeta sprawa, gdyby się nam tutaj wymknął. To on ponosi winę za zniknięcie rodziny Adlerhorst.

- W takim razie trzeba go ująć! Mówię panu: on tu jest, naprawdę!

- Co? Jak? - Sam udawał zdziwionego i skoczył na swoje chude, sierpowate nogi. - W takim razie musi go pan znać!

- Nawet osobiście.

- Behold\ Pan... Pan...

Zamilkł, podszedł do Numeru Dziesiątego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Panie... panie Gotfrydzie, czy chce pan być ze mną szczery...

- Dlaczego nie?

- ... i przyznać, że pan... no, że pan jest tym Gotfrydem von Adle-rhorst?

Numer Dziesiąty zwiesił głowę na piersi i oddychał ciężko.

- Tak, to ja. - powiedział wreszcie.

- Ależ długo trwało to wyznanie - mruknął Sam Hawkens i przetarł sobie czoło i nos błyszczącym rękawem ze skóry. - Od razu miałem wrażenie, że to pan jest tym poszukiwanym przez nas, chociaż nie wygląda pan podobnie do swoich braci.

Co powiedziawszy w nagłym przypływie uczucia wyciągnął do kozaka prawą dłoń.

- No to pułapka starego Sama znów jest pełna. Niech pan przybije! Dla pana to koniec mordęgi.

- Jeżeli ucieczka się powiedzie!

- Oczywiście, że się powiedzie. Ale dlaczego pana tu zesłano? - - O tym później! Teraz przede wszystkim chciałbym dowiedzieć

się czegoś o mojej rodzinie, a więc niech pan opowiada, ale krótko, w zarysie. Na dokładną relację nie ma teraz czasu.

Traper nie dał się prosić dwa razy i opowiedział o dziwnym splocie wydarzeń, które zaczęły się w Turcji, a zakończyły na Syberii. Numer Dziesiąty słuchał głęboko poruszony i długo po tym, jak Sam skończył swą opowieść, siedział obok niego w ciszy, zatopiony w myślach, ze wzrokiem utkwionym w dali.

W końcu Sam roześmiał się:

- Może wypatrzył pan już wystarczającą dziurę w niebie? Pozwolę sobie na skromną uwagę, że jestem tu jeszcze obecny, i chętnie bym się dowiedział, jak dostał się pan z Sudanu do Rosji, a potem na Syberię.

Kozak jakby się ocknął z głębokiego snu. Przesunął ręką po czole, jakby chciał siłą powrócić do terażniejszości.

- Ma pan rację. Powinien się pan wszystkiego dowiedzieć. Aż do dzisiejszego dnia byłem przekonany, że jako jedyne z rodziny spotkał mnie znośny los. Z Suakinu, gdzie dostałem się w ręce handlarza niewolników, dostarczono mnie do Faszody. Mój pan zamierzał sprzedać mnie do Sudanu, gdzie biali niewolnicy osiągali wysokie ceny.

Lecz już pierwszego dnia naszego pobytu w Faszodzie mój los się odmienił. Zobaczył mnie hrabia Wasylkowicz, który wracał właśnie z podróży badawczej w okolice górnego Nilu, i zdjęty litością kupił mnie. Dla niego, milionera, cena, jakiej żądał handlarz, była

drobnostką. Zapłacił ją bez targowania się i przywiózł mnie do Petersburga. Tam dał mi dobre wychowanie, a później, jako że me miał żony, adoptował mnie.

- Co na to jego krewni?

- Nie wiem.

- Czy próbował pan później zbliżyć się do pańskiego wuja, lorda Lindsay'a?

- Było to zawsze moim skrytym życzeniem, ale mój ojciec, hrabia Wasylkowicz, nie życzył sobie tego. A ponieważ to on sprawował nade mną opiekę, nie było też takiej konieczności. Uczyniłem właściwie tylko jedno, aby, o ile to możliwe, jakoś odnaleźć nią, która mogłaby doprowadzić mnie do mojej zaginionej rodziny. Wszędzie, gdzie to tylko było możliwe, używałem nazwiska Bogumir Orłowski. a nie Wasylkowicz.

- Tak więc lord nie mógł oczywiście nic wiedzieć o uratowaniu pana.

- Oczywiście. Tak samo, jak ja nie miałem pojęcia, że los rzucił mojego brata Martina do Stanów Zjednoczonych. Byłem przecież przekonany, że moja rodzina zniknęła we wnętrzu Afryki i tam zginęła. Mój ojczym był tego samego zdania, tak więc nie podejmowaliśmy żadnych kroków, które jak sądziliśmy, i tak nie doprowadziłyby do niczego.

- Potrafię się całkiem dobrze wczuć w wasze myśli. Ale nie braliście pod uwagę możliwości Sama Hawkensa, hihihih!

- Hrabia Wasylkowicz życzył sobie, żebym został oficerem, dosłużyłem się więc rangi kapitana.

- Przed trzema laty udałem się z moim ojczymem w podróż na Syberię, która to podróż miała się zakończyć tak fatalnie.

- Kto wam towarzyszył?

- Nikt. Hrabia kochał podróżować sam, z możliwie małą ilością bagażu, a to z powodu większej swobody ruchu. Z tego powodu nie mieliśmy przy sobie nawet służącego.

- W takim razie wasze zniknięcie bez śladu staje się dla mnie bardziej zrozumiałe.

- Dla mnie nie. Cała ta sprawa jeszcze dzisiaj jest dla mnie zagadką.

- Którą Sam Hawkens pewnie rozwiąże, jeśli się nie mylę.

- Dotarliśmy do Ulukucka, małego miasteczka we wschodniej Syberii, które raczej powinno nosić miano wsi i zatrzymaliśmy się w jedynej gospodzie. Następnego dnia chcieliśmy polować na sobole, ale nie doszło do tego, bo już wczesnym rankiem kozacy zerwali nas z łóżek.

- Z łóżek? Jak to?

- Z kopalni w Olekminsku uciekło akurat dwóch skazańców, ojciec i syn. Szukano ich w całym kraju. Nie wiem, jak to się stało, że patrol zwrócił uwagę właśnie na nas. Faktem jest, że uważali nas za uciekinierów i bez ceregieli zabrali z sobą.

- Nie do wiary! A pan za kogo został uznany?

- Uciekinierzy nazywali się Sałtykow.

- Nie mogliście okazać dokumentów?

- To jest właśnie coś dziwnego, czego do dzisiaj nie pojmuję. Kiedy chcieliśmy okazać nasze papiery, okazało się, że obaj ich już nie posiadamy. Ktoś nam je ukradł, a my nie zauważyliśmy straty.

- Spodziewałem się czegoś podobnego. I oczywiście nie uwierzono waszym zapewnieniom?

- Nawet nas nie wysłuchano.

- Miło tu na tej Syberii! Nie mógł pan zażądać śledztwa? Gotfryd von Adlerhorst roześmiał się gorzko.

- To dowodzi, jak mało pan zna stosunki panujące w tym kraju! Zesłaniec jest numerem, nie człowiekiem. On jest całkowicie bezbronny i pozbawiony wszelkich praw.

- Już rozumiem. Może się pan cieszyć, że przynajmniej uszedł pan z życiem z tej całej awantury. A pański przybrany ojciec, co z nim?

- Nie wiem. Ostatnio widziałem go owego fatalnego poranka. Rozdzielono nas. I to jest coś, co czyni mój los jeszcze cięższym, to że nie wiem, co stało się z moim dobroczyńcą.

Mały traper nie zagłębiał się zbyt w te wypowiedzi, tak przepełnione uczuciem, i wrócił do roztrząsania rzeczowej strony zagadnienia.

- Ci ludzie powinni byli chyba wywnioskować z waszej powierzchowności, że są na fałszywym tropie.

- I tu pan się myli. Podróżowaliśmy już dość długo i nie mieliśmy jeszcze okazji do odnowienia naszej nieco przyniszczonej odzieży. Na Syberii nie ma, tak jak w Europie, niemal w każdej miejscowości sklepów z ubraniami. Także nasze brody urosły i nie były wypielęgnowane. Krótko mówiąc nie sprawialiśmy wrażenia wytwornych panów. Coś takiego może się przytrafić także i w innych krajach, nieprawdaż?

Kozak powiedział to ze znaczącym spojrzeniem w stronę Sama, który nosił się dokładnie tak samo, jak na Dzikim Zachodzie, i można go było uznać za każdego, tylko nie za gentlemana.

Sam roześmiał się z tego żartobliwego przytyku:



- Well, ma pan rację. Aleja nie jestem hrabią, hihihhi! Czy nie nosił się pan nigdy z myślą o ucieczce?

- O i to jak często! Ale nie ma pan pojęcia, jak ciężko stąd uciec. Ze stu, którzy się na to odważą, powieść się może jednemu.

- A jak pan wyjaśni tę „pomyłkę”, której ofiarą staliście się pan i pański ojczym?

- Długo sądziłem, że chodzi tu jedynie o przeoczenie, jednak po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że jakiś wróg musiał mieć w tej sprawie swój udział.

- Wyśmienicie! Pomyślał pan przy tym o jakiejś określonej osobie?

- Nie.

- O człowieku pełen ufności! Przecież to widać jasno jak na dłoni, że w tej całej historii chodzi tylko o majątek pańskiego ojczyma. Ciagle jeszcze nic pan nie pojmuje?

- Sądzi pan, że... że spadkobiercy...

- Nie spadkobiercy. Tylko jeden wchodzi w grę. Co pan myśli o hrabim Polikowie?

- Znam go bardzo przelotnie, ale nie uważam, aby był zdolny do popełnienia przestępstwa.

- A czy pan wie, że jeszcze przed upływem ustawowego terminu zostaliście uznani za zmarłych, i że wszystkie dobra pańskiego ojczyma przeszły w ręce Polikowa?

Ta informacja wprowadziła Gotfryda w bezmierne zdumienie.

- To... to... jest niemożliwe!

- To jest nawet faktem! Czy pan coś wreszcie zauważył, niewinna duszyczko?

- Nigdy nie mogłem stąd wysłać żadnej wiadomości i nie miałem pojęcia...

- ... że tymczasem jakiś bezczelny wróbel usadowił się w ciepłym gniazdku, hihihhi! Prawda, że to pan chciał powiedzieć? Mógłbym panu przysiąc, że ten wróbel... Stop! Nadchodzą!

Słychać było tętent koni. Zwierzęta zatrzymały się w pobliżu i obaj ujrzeli cztery postacie: Karpalę, obu westmanów i jakiegoś Buriata

- Jesteś wolny - powiedziała radośnie, kiedy kozak wyszedł jej naprzeciw. - Dowiedziałam się wszystkiego od tych obcych mężczyzn. Ojciec mnie przysyła. Nie mógł sam przyjechać, gdyż naczelnik mógłby się dowiedzieć. Ten Buriat to najlepszy spośród naszych mężczyzn. Zaprowadzi cię do miejsca, gdzie żaden prześladowca cię nie znajdzie. Później dołączymy do ciebie, przeprowadzimy cię przez granicę.

Kozak podał jej rękę.

- Dziękuję ci! Może zrobię użytek z twojej dobroci, a może nie. Usiądź tu na chwilę przy nas. Ten obcy ma mi jeszcze coś do opowiedzenia, a jak skończy, będę mógł powiedzieć, co zrobię.

Karpala usiadła w pewnej odległości od mężczyzn, a Sam Haw-kens ukończył swoją ważną relację.

- Twierdzę, - rzekł krótko i zdecydowanie - że pański krewny, hrabia Polikow, nie był tak całkiem niezaangażowany w ten nieczny czyn, którego ofiarą padliście pan i hrabia Wasylkowicz.

- Czy ma pan na to jakieś dowody'?

- Dowody? Hm! Jakich dowodów pan wymaga? Ma pan może na " myśli świadków? Nie mogę ich panu dostarczyć. Nie było mnie przy

(tym, jeśli się nie mylę, hmihih! Nie mamprzeciwko niemu nic, poza 'podejrzeniem, a wzmocnione jest ono faktem, że Polikow się tu wybiera.

- Co? - poderwał się Gotfryd. - Czego tu chce?

- Tak, to jest właśnie coś, co my też chcielibyśmy wiedzieć, hihi-"-hihi!

- Jak pan poznał jego zamiary?

- Opowiadanie trwałoby za długo. Dość na tym, że słyszeliśmy o tym. I to był właśnie powód, który przygnał nas i pańskiego brata ze Stanów.

- A więc tak się to wszystko wiąże ze sobą!

- Czy coś się panu rozjaśniło? Mieliśmy nadzieję przejrzyć jego intrygi i wywiedzieć się dokładniej o miejscu pobytu jego krewnych. Oczywiście nie mogliśmy przypuścić, że zaraz na początku naszej pielgrzymki natkniemy się na jednego z poszukiwanych. Nasze zadanie polega więc na odkryciu śladów pańskiego ojczyma i odnalezieniu jego samego, żywego lub martwego.

- Szkoda, że w moim położeniu nie mogę wam być pomocny. t Gdybym mógł pozostać tu przynajmniej do przyjazdu mojego brata!

- Niech pan nawet o tym nie myśli! Radzę panu z całą powagą, niech pan skorzysta z pomocy Karpali i zakopie się w jakiejś kryjówce, aż do przyjazdu pańskiego brata, a on ju\*ż podejmie odpowiednie kroki, które umożliwią panu powrót do ojczyzny.

- A Florin, ten derwisz? - spytał Gotfryd po krótkim zastanowieniu.

- W każdym razie zatrzymał się w zajeździe.

- Tam dzisiaj nikt nie pójdzie spać z powodu jarmarku i tańców. Musimy się natychmiast rozpylać o niego.

- Ma pan rację, ale to nie może w żaden sposób zmienić pańskiej decyzji.

- Jednak może. Wyślę tam Buriata, niech wypyta gospodarza.

- Nie wydaje mi się to dość bezpieczne. Lepiej sam pójde.

- Zna pan nazwisko, jakiego Florin tu używa'?

- Nie.

- Widziałem jego paszport. Nazywa się Fedor Łomonow, kupiec z Orenburga.

Oprócz tego Numer Dziesiąty opisał jeszcze dokładnie obecny wygląd byłego derwisza, po czym Sam pośpieszył do zajazdu.

Kozak przysiadł się do Karpali. Milczeli dość długą chwilę, wreszcie Gotfryd zaczął mówić.

- Gdzie leży to miejsce, dokąd chcesz mnie odesłać? - spytał

- W pobliżu ujścia Selengi do Bajkału, pomiędzy skałami, dokąd żaden obcy nie trafi.

- Czy Selengi nie nazywają także Komarzą Rzeką?

- Tak, z powodu dokuczliwych insektów, które na wiosnę roją się tam w takich ilościach, że nawet zwierzę nie jest w stanie tam przebywać. Ale teraz w jesieni wcale ich nie ma.

- Jak to jest daleko?

- Konno dwa dni drogi. Niedługo dołączymy do was.

- Będę się bardzo cieszył, gdy cię tam zobaczę, ale mimo to twój widok sprawi mi ból. - powiedział cicho Gotfryd.

- Dlaczego?

- Przyjedziesz jako narzeczona rotmistrza. Karpala spuściła głowę i nic nie odpowiedziała,

- Nie mam racji? - spytał.

Zamiast odpowiedzieć mu „tak” albo „nie” podniosła oczy i spojrzała na niego badawczo.

- A więc sprawiłoby ci to ból?

- Tak, ponieważ jestem przekonany, że u boku tego mężczyzny będziesz bardzo nieszczęśliwa.

- Kto jest posłuszny rodzicom, jest zawsze szczęśliwy - odparła z dziecięcym przekonaniem.

- Nie zawsze. Rodzicom wolno wymagać posłuszeństwa tylko wtedy, jeżeli rzeczywiście jest to dla dobra dziecka. Dlaczego twoi życzą sobie, abyś została żoną tego Rosjanina?

- To jest nakaz lamy.

- Kochasz rotmistrza?

- O nie! Nienawidzę go! - odparła gwałtownie. Po dłuższej chwili wrócił Sam.

- No i dowiedział się pan czegoś? - spytał Gotfryd, jeszcze przestraszony, a mimo to uszczęśliwiony z powodu namiętnej odpowiedzi Karpali.

- Tak. Zatrzymał się tam, ale nie ma go już w Wierchnieudinsku. Zwerbował grupę myśliwych i wyruszył z nimi już dzisiaj. Prowadzi ich słynny łowca soboli, Numer Osiemdziesiąt Cztery. To jest człowiek godny uwagi. Mówi się o nim tak, jak w Ameryce o Old Shatterhan-dzie lub Old Firehandzie, chciałbym się z nim\*zetknąć, jeśli się nie mylę, hihihih!

- Dokąd wyruszyli? - spytał Gotfryd.

- Do ujścia Selengi, tak Numer Osiemdziesiąty Czwarty opowiadał gospodarzowi.

- Wspaniale! Moja droga też wiedzie do tego miejsca! - zawołał Gotfryd z ożywieniem.

- - Naprawdę? To byłoby szczęśliwe zrządzenie losu. Czy derwisz pana zna?

- Nie. Tak się zmieniłem, że na pewno mnie nie rozpoznał.

- Byłoby dobrze, bo mógłby im pan pod jakimkolwiek pozorem utrudnić zbyt wczesne opuszczenie brzegów Selengi, wtedy ja i pański brat moglibyśmy go tam wspólnie dopaść. Bardzo nam wszystkim zależy na ujęciu tego niebezpiecznego człowieka.

- Kiedy się pan tam pojawi\*?

- Jak tylko pański brat tam dotrze. Najchętniej pojechałbym od razu z panem, ale umówiliśmy się, że będę tutaj czekał na niego.

- Mam więc nadzieję, że wkrótce przyjedzie. Ale jak mnie pan tam znajdzie? Wprawdzie zatrzymani się u ujścia Selengi do Bajkału,

ale jest to tak nieprecyzyjne określenie miejsca, że znalezienie tam kogoś graniczy z nieprawdopodobieństwem! Traper zachichotał^wesoło.

- Mój drogi przyjacielu, nie ma pan pojęcia o dobrym węchu starego tropera i myśliwego! Niech pan jedzie teraz nad jezioro i postara się dobrze ukryć! Sam Hawkens przybędzie tam za tydzień i na pewno pana znajdzie. Zresztą może się pan do tego przyczynić, abyśmy bez trudu natrafili na pański ślad. Wystarczy, że będzie pan pozostawiał za sobą znaki. Wszędzie, gdzie się pan zatrzyma, i gdzie to panu będzie pasowało, niech pan kładzie dwa kamyki, jeden na drugim, a obok nich trzeci wskazujący kierunek, w którym pan kontynuuje jazdę, ale tak, by tego nikt nie zauważył. Czy ma pan jeszcze jakieś pytanie, mister Dziesięć?

- Nie.

- To niech pan rusza, bo noc już mija! Wkrótce nadejdzie świt, a przecież musi pan sporo wyprzedzić ewentualnych prześladowców.

- Teraz nie boję się już prześladowania! Tejsz z pewnością wyszukał dla nas dobre konie, a poza tym moja ucieczka zostanie późno odkryta. Martwi mnie tylko jedno, nie mam żadnej broni.

Wtem odezwała się Karpala, która do tej pory trzymała się cicho i skromnie na uboczu:

- Zatrzaszczyłam się o wszystko. Przy siodle znajdziesz dobrą strzelbę, w torbie schowany jest nóż i wszystko, czego potrzebujesz do strzelania, a do konia przytroczyłam zapas żywności na kilka dni.

- No to jest pan zaopatrzony we wszystko, co należy i możemy się pożegnać, jeśli się nie mylę - rzekł Sam Hawkens, a jego oczka błyszczały chytrze, gdyż przypuszczał, że kozak na pewno chciałby jeszcze chwileczkę pozostać z dziewczyną sam na sam. - A więc życzę zdrowia! I niech pan dojedzie szczęśliwie Na pewno wkrótce się zobaczymy. Ale niech się pan strzeże tego Łomonowa, tego rzekomego kupca z Orenburga. On jest nie tylko gwałtowny, lecz także przebiegły. Potrzeba wiele sprytu, żeby go wywieść w pole.

- Proszę się nie martwić! Teraz, skoro jestem wolny, nie boję się go!

- I jeszcze jedno, co mi teraz wpadło do głowy co mu pan powie, gdy pana spyta, czego pan od niego chce?

- Nad tym muszę się jeszcze zastanowić.

- No, na przykład, że został pan wysłany w poszukiwaniu kryjówki zbiegłego zesłańca.

- To dobry pomysł. Wtedy będzie nawet zobowiązany do udzielenia mi wszelkiej możliwej pomocy.

- Widzi pan, stary myśliwy z prerii ma zawsze w kieszeni gotowy podstęp, hihihih! Gdybym mógł być tam z panem, zupełnie bym się nie obawiał, że coś złego może się panu przydarzyć. Do zobaczenia!

Mały traper oddalił się chichocząc, a wraz z nim odjechali Dick i Will.

Gotfryd von Adlerhorst patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli mu z oczu, po czym zwrócił się do Karpali.

- Kiedy przybędziecie nad Bajkał?

- Pozostaniemy tutaj do końca jarmarku. Najchętniej wyruszyłabym wcześniej, ale to mogłoby zwrócić uwagę I tak będą nas podejrzewać, że pomagaliśmy ci w ucieczce.

- Mam nadzieję, że nie doświadczycie z tego powodu nieprzyjemności. Byłoby mi bardzo przykro.

- Nie boimy się, a ja postaram się zmylić twoich prześladowców.

- Cieszę się już na tę chwilę, kiedy cię znowu ujrzę.

- Ale to spotkanie będzie bardzo krótkie, bo jak tylko przybędziemy, kilku naszych ludzi przewiezie cię przez granicę. A potem ty odjedziesz nie wiadomo dokąd i nigdy więcej nie wrócisz.

Powiedziała to z takim smutkiem, że ujął ją za rękę, a jego niebieskie oczy rozbliły jakimś szczególnym światłem.

- Będę próbował dostać się do mojej ojczyzny, do Niemiec.

- Nie jesteś Rosjaninem?

- Nie, jestem Niemcem. Od najwcześniejszej młodości żyłem w Rosji i wołano tu na mnie Bogumir. U nas w domu nazywają mnie Gotfryd.

Zmartwiona Karpala zapatrzyła się w przestrzeń.

- To brzmi dla mnie obco, lecz ty poczujesz się szczęśliwy, kiedy znów znajdziesz się w domu i usłyszysz, jak ktoś mówi do ciebie Got-fryd. Nas jednak będzie dzieliła niezmierna dal.

- Żal ci z powodu rozstania? - • spytał Gotfryd cicho.

- Tak, z całego serca. Uratowałeś mnie .. i... i ja... bardzo cię cenię. Pierścień, który ci dałam, odebrał ci rotmistrz, teraz nie masz nawet po mnie pamiętki.

- Ty też nie.

- Ależ przeciwnie. Zwróciłeś mi moje nieomal utracone życie. Czy nie jest to najcenniejszy dar? Chciałabym ci podarować inny pierścień, gdybym wiedziała, że go przyjmiesz. Mogę?

- Tak, lecz tylko pod jednym warunkiem - spojrzał jej głęboko w oczy. - Każ rotmistrzowi zwrócić sobie ten drugi pierścień!

- Uczynię to i jeszcze dzisiaj mi go odda. Nie wolno mu nosić pierścienia, który przeznaczyłam dla ciebie. A teraz weź ten!

Karpala zdjęła obrączkę z palca i podała ją Gotfrydowi. Ten nałożył ją i ujął dłoń Karpali.

- Karpala, niech się dzieje, co chce. Tej pamiętki będę strzegł, jak świętości! Mówisz, że będziesz często o mnie myślała, a i ja cię zapewniam, że moje myśli będą stale przy tobie.

Westchnęła cicho.

- Teraz tak mówisz. Ja mieszkam na rozległej, pustej równinie, gdzie mi nic nie przeszkadza myśleć o tobie. Ty udajesz się jednak do kraju, gdzie jest zupełnie inaczej, niż tutaj i wkrótce nie będziesz miał czasu wspominać Karpali, zapomnisz o mnie.

- Nie, nigdy, Karpala!

- Och, gdyby twoja ojczyzna nie znajdowała się tak daleko stąd... żeby tam można było dojechać konno!

- Przyjechałabyś?

- Na-pewno. Jak długo musiałabym jechać, żeby tam dotrzeć?

- Wiele miesięcy.

- To smutne. W takim razie ja nie mogę jechać do ciebie, a ty do mnie. -Ja... ja chciałabym bardzo...

Karpala zamilkła. Jej głos zabrzmiał tak, jakby walczyła ze teami.

- Co byś chciała? Powiedz! - poprosił.

- Gdyby nie było ojca, ani matki, to...

- Dalej... proszę, proszę.

- .. to najchętniej powędrowałabym z tobą do twojej ojczyzny, i Wstrząśnięty objął ją ramieniem.

- Gdybyś wiedziała, jak jestem szczęśliwy słysząc te słowa. - wyszeptał.

- Naprawdę się cieszysz?

- Niezmiernie!

- Pozostań tu, to zostanę twoją... twoją żoną!

- Jestem zbiegiem.

- Ucieknę z tobą tam, gdzie nikt cię nie znajdzie.

- Kochana dziewczyno! Jak to błogo brzmi... a przecież... to niemożliwe!

- Dlaczego?

- Bo nie mogę ci wyrządzić takiej krzywdy i związać twojego beztroskiego życia z losem wyklętego, który musi się wiecznie ukrywać. Dręczyłyby mnie gorzkie wyrzuty. Ciebie pozbawiłbym pięknej przyszłości, a moją rodzinę nadziei na spotkanie.

- Wiele osób cię oczekuje?

- Siostra i dwóch braci. Nie widzieliśmy się od lat. Nie wiedzieliśmy o sobie nawzajem i dopiero dzisiaj usłyszałem, że rodzeństwo znów się połączyło i wyczekuje mojego powrotu do domu.

- W takim razie nie możesz pozwolić im czekać. Ja też nie chciałabym opuszczać moich rodziców. Jakże mogłabym żądać, żebyś został przy mnie!

- Karpala! - jęknął, ale zaraz postarał się opanować. Jakkolwiek by o tym nie myślał, związek z Karpala oznaczał dla

niej rozstanie z rodzicami, dobrobytem i ojczyzną oraz życie pełne niepokoju i zmartwień. Dłonie zacisnął bezwiednie w pięść i zmarszczył brwi... nie, nie ma innego wyjścia poza rezygnacją, jeżeli nie chciał unieszczęśliwić ukochanej.

- Musimy się rozstać - powiedział na pozór beztrusko, - lecz nie na zawsze. Niedługo znów się zobaczymy. Mój towarzysz siedzi już w siodle i czeka.

- Tak, musisz jechać. Na wschodzie niebo zaczyna się już rozjaśniać. Zaufaj swemu przewodnikowi, to człowiek, na którym możesz polegać!

- Jak się nazywa?

- Gisa. Należy do najdzielniejszych i najmądrzejszych.

- Bądź zdrowa, kochana Karpala!

- Nie spojrzawszy więcej na Karpalę już chciał włożyć stopę w strzemień, kiedy nagle nieodparta siła kazała mu się odwrócić. Porwał jej dłonie, ucałował raz i drugi, a potem wskoczył na siodło.

- Do zobaczenia!

Spiął wierzchowca i popędził w dal, a za nim Gisa.

- Do zobaczenia, Bogumir, kochany, kochany Bogumir! - zawołała głośno Karpala rozpościerając ramiona, po czym opuściła je i patrzyła za nim tak długo, jak tylko pozwolił na to wschodzący świt.

Dopiero kiedy Numer Dziesiąty zniknął jej z oczu, Karpala odjechała popędzając konia do galopu. Jej wewnętrzne wzburzenie mógł zrównoważyć jedynie gwałtowny, fizyczny ruch, a do tego taki szaleńczy galop nadawał się najlepiej.

Niebo na wschodzie rozjaśniły pierwsze promienie słońca i wzbily się jarzącym snopem nad rozległą równiną. Od południa zbliżało się kilka małych punkcików. Karpala zauważyła je i zwróciła konia w ich stronę. Im była bliżej, tym wyraźniej widziała, że to dwa wozy ostrym kłusem posuwały się w kierunku Wierchnieudinska. Na przedzie jechała trojka zaprzężona w trzy konie, z których środkowy, największy i najsilniejszy, miał przymocowaną na głowie obręcz z dzwoneczkiem. Drugi wóz okazał się lekką kibitką, ciągniętą przez dwa konie.

W trojce siedział jakiś pan, a kibitkę wypełniały bagaże, których doglądał służący.

Wozy toczyły się blisko jeden za drugim. W swoim melancholijno-szczęśliwym nastroju Karpala była skłonna do żartów jakie mogą przyjść do głowy jedynie Buriatce albo Tunguzce. Znów popędziła konia, pocwałowała ukosem prosto na wozy i jak strzała dostała



się pomiędzy nie. chociaż odległość między trojką a końmi drugiego zaprzęgu wynosiła zaledwie metr.

Potem pognała dalej równiną, aż jej wzburzenie ucichło nieco, i po godzinie mogła wrócić do miasta. Nie przypuszczała, że właśnie spotkała tego, który tak fatalnie wmieszał się w życie jej ukochanego.

## Diabeł i jego babka

Kiedy trojka dotarła do miasta, siedzący w niej pasażer kazał woźnicy zatrzymać się przed domem naczelnika, gdzie wysiadł.

- Czy tu mieszka naczelnik powiatu? - krzyknął do służącego.  
- Jak, rozkażesz, ojczulku.  
- Chcę z nim porozmawiać.  
- Chyba jeszcze śpi.  
- Obudź go, a mnie wprowadź zaraz do kancelarii!  
- Nie wolno mi. Musisz poczekać, aż wstanie. Zapewne zatrzymasz się w zajeździe, to tam zaczekaj. Zawiadomię cię, jak tylko naczelnik się wyśpi!

- Czy naczelnik ma rodzinę?  
- Tak. Żonę, naszą mateńkę i syna, naszego rotmistrza.  
- W takim razie może da się porozmawiać z rotmistrem?  
- Nie. On także jeszcze śpi.  
- Do diabła! Cała rodzina śpi!  
- Nie, maleńka już się obudziła. Przed chwilą zanosilem jej herbatę.  
- Zamelduj mnie u niej!  
- Nie wolno mi  
- Ja ci zaraz powiem, co ci wolno, a czego nie! Jeżeli mnie natychmiast nie posłuchasz, każę cię wychłostać! Powiedz tej mateczce, że hrabia Mikołaj Polikow życzy sobie przedstawić się jej i nie ma czasu zbyt długo czekać na odpowiedź!

Dopiero teraz służący rzucił się pędem wykonać rozkaz hrabiego. Ten ostatni zaś wszedł do budynku. Rozejrzał się pobieżnie po sieni, aby zorientować się, gdzie należy szukać pomieszczeń mieszkalnych. Dzięki swej bystrości dobrze trafił. Właśnie kiedy zamierzał wejść do mieszkania, wychodził zeń służący, który ujrawszy go, cofnął się i pobiegł go zameldować.

Żona naczelnika stała na środku pokoju i powitała gościa głębokim ukłonem. Kiedy uniosła głowę, spojrzenie, jakim obrzuciła przybysza, nie zdradzało raczej radości Hrabia w ogóle jej nie pozdrowił. Zmierzył kobietę ostrym, przenikliwym wzrokiem, a przez jego twarz przemknął zagadkowy uśmiech.

- Czy to pani jest żoną naczelnika? - spytał wyniośle.

- Według rozkazu! - odpowiedziała, a w jej głosie dał się słyszeć 'lekki opór przeciwko temu aroganckiemu hrabiemu.

- Wasze nazwisko?

- Rapnin.

- W każdym razie dawniej była pani w Irkucku?

- Oczywiście.

- Gdzie pani mąż?

- Śpi jeszcze.

- A syn?

- - Także śpi.

Hrabia wykrzywił twarz w szyderczym grymasie.

- Czy panowie zawsze tak długo śpią?

- Śpią, jak długo im się podoba! - odparła rozdrażniona.

- Absolutnie nie mam nic przeciwko temu. Chciałem jedynie poprosić o gościnę na dzisiejszy dzień, a jutro rano ruszyć w dalszą drogę, lecz w międzyczasie zmieniłem postanowienie i zamierzam zamieszkać u państwa troszkę dłużej.

Na twarzy naczelnikowej zdumienie walczyło ze złością.

- Myślę, że od tego jest zajazd. Czy jest pan upoważniony na podstawie swojego paszportu do mieszkania w budynkach rządowych? - spytała śmiało.

- Nie. Czynię to na skutek wieloletniego przyzwyczajenia.

- My także mamy swoje przyzwyczajenia i nie mamy obowiązku poświęcać ich dla obcych, proszę pana.

- Jest pani nieuprzejma, pani Rapnin!

- Pana zachowanie i pańskie wymagania są więcej niż nieuprzejme! - wybuchnęła kobieta.

- Nie wezmę pani za złe tej szorstkiej uwagi. Pani poglądy nie są dla mnie miarodajne.

- Nazywam pana hrabią i w zamian żądam tytułowania także mnie. Poza tym pan nawet nie okazał dokumentów

- Pani również nie jest panią Rapnin!

- Ja nie muszę tego udowadniać. My tutaj mieszkamy, a pan jest obcy. Bardzo łatwo uchodzić za hrabiego, a tak naprawdę być kimś zupełnie innym.

- I widocznie równie łatwo jest podawać się za panią Rapnin, a w rzeczywistości być panią Sałtykow.

Słowa te wypowiedział z gryzącą ostrością i natychmiast osiągnął zamierzony skutek. Żona naczelnika cofnęła się i zmierzyła hrabiego złym spojrzeniem.

- Co pan ma na myśli? Nie rozumiem pana.

- Chodzi mi o to, iż wkrótce może się okazać, że pani powróci do nazwiska Sałtykow.

Twarz kobiety mocno pobleadła.

- Dalej pana nie rozumiem - wyjąkała.

- Tym lepiej zrozumie mnie pan naczelnik. Usilnie proszę o obudzenie go. Chyba zdaje sobie pani sprawę, że nie odwiedzam was ot tak sobie, dla żartu.

Kobieta wyglądała na załamana, lecz pozbierała się jakoś i skłoniła przed hrabią:

- Proszę usiąść! Mój mąż zaraz się tu pojawi - po czym chwiejnym krokiem opuściła pokój.

Hrabia Polikow gładził sobie wąsy z drwiącym zadowoleniem, następnie wyjął z kieszeni cygaro i zapalił je, jak gdyby znajdował się u siebie.

Upłynęło może dziesięć minut. Wtem dały się słyszeć donośne głosy i pośpieszna biegająca. W końcu drzwi otworzyły się gwałtownie i pani tego domu ponownie weszła do pokoju. Jej twarz wykrzywiał strach.

- Przepraszam! - wystękała. - Właśnie zauważyliśmy, że ani mój mąż, ani mój syn nie kładli się tej nocy. Nie możemy ich znaleźć.

- To coś osobliwego! - uśmiechnął się hrabia. - Czy pozwoli mi pani wejść do sypialni? W przeciwnym razie pomyślę, że zamierza mnie pani oszukać.

Pomimo ogarniającego ją lęku kobieta uznała tę uwagę za obraźliwą i odparła z uporem:

- Jestem gotowa zezwolić na przeszukanie domu przez uprawnioną do tego władzę zwierzchnią, pan jednak jest mi zupełnie obcy.

Hrabia skłonił się kpiąco.

- Jak pani chce. Bez pani pozwolenia nie mogę rzecz jasna wdrzeć się do pomieszczeń mieszkalnych, jednak nie sprawdzwszy faktów nie jestem w stanie znaleźć rozwiązania dla tych jakże nieprzyjemnych dla pani wydarzeń. Chce pani wkroczyć na ścieżkę wojenną, więc dobrze, będziemy walczyć! Rezygnuję z gościny u państwa i wycofuję się. W gospodzie powitają mnie bardziej ochoczo, aniżeli tutaj. Lecz potem niech pani nie oczekuje ode mnie żadnego zrozumienia.

Na skutek tej ukrytej groźby zmienił się nieco uparty wyraz twarzy wyniosłej kobiety. Zachowanie hrabiego przestraszyło ją i odebrało jej pewność siebie. Zmusiła się jakoś do uprzejmej odpowiedzi.

- Nie musi pan zatrzymywać się w zajeździe. Cały nasz dom stoi do pańskiej dyspozycji i zobaczy pan, że zostanie dobrze ugoszczony. Zechce pan pójść ze mną do pokoju gościnnego! Oczywiście tu, na Syberii nie mogę panu zaoferować tych wszystkich wygód, do jakich jest pan z pewnością przyzwyczajony.

Skierowała się właśnie ku drzwiom, gdy wtem rozległo się głośne pukanie i do pokoju wkroczył porucznik.

- Ja do pana rotmistrza! - rzekł, zapomniawszy z pośpiechu pozdrowić obecnych.

- Nie ma go tu, - odparła pani domu.

- A naczelnik?

- Także go nie ma!

- Do wszystkich diabłów! W takim razie mam straszny kłopot. Obok więzienia stoją dwaj wartownicy, których nie mogę zwolnić bez zgody pana naczelnika lub pana rotmistrza, ponieważ panowie wydali im surowy rozkaz, aby do ich powrotu nie ruszali się z miejsca.

- Bogu dzięki, przynajmniej jest jakiś ślad! - zawołała kobieta z ulgą, - Kiedy mój mąż i mój syn rozmawiali z wartownikami?

- Diabli wiedzą! Chciałem ich wypytać, ale nie wyostałem z nich żadnej rozsądnej odpowiedzi. Może pani wie, dokąd panowie poszli?

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- To trzeba ich poszukać.

- Proszę, niech pan to zrobi jak najszybciej i powiadomi mnie o rezultacie!

Oficer oddalił się, a pani naczelnikowa poprowadziła hrabiego do pokoju gościnnego.

\* \* \*

Kiedy porucznik opuścił budynek, natknął się na trzech mężczyzn, którzy właśnie zamierzali do niego wejść. Byli to trzej przybysze z Ameryki i na ich widok twarz porucznika natychmiast spochmurniała. Wczorajszego wieczora był również obecny na balu, wiedział więc o wszystkim, co się tam wydarzyło.

- Czego tu panowie szukacie? - zagadnął obcesowo wchodzących.

Sam spojrzał mu w twarz z uśmiechem.

- Czy pan mieszka w tym domu?

- Nie.

- W takim razie nie powinno to pana obchodzić, po co tu przyszliśmy.

- Za pozwoleniem, to jest budynek rządowy!

- Wiem o tym,

- A ja jestem urzędnikiem państwowym i żądam odpowiedzi! Sam Hawkens spoważniał.

- Człowieku, czyżbyś sądził, że damy się strofować jakiemuś kozakowi? Nie wyobrażaj sobie za wiele! Jeżeli powiesz jeszcze choćby jedno nieuprzejme słowo, napiszę do mojego przyjaciela, generalnego gubernatora Wschodniej Syberii, jeśli się nie mylę. On już się o to postara, żebyś był grzeczniejszy!

Wyglądało na to, że Sam znalazł właściwy sposób na zaskarbienie sobie szacunku porucznika,

- Wybacz, ojczulku! - wystękał porucznik zbity z tropu. Przypomniał sobie wczorajsze wystąpienie Sama, szczególnie opowieść o picciu kawy i grze w karty w Carskim Siole.

- Nie wiedziałem, że generalny gubernator jest pańskim przyjacielem - dodał.

- I bez tego mógłby pan zachowywać się uprzejmiej! - - zgaśnił go Sam, ciągle jeszcze udając urażonego. - Chcemy rozmawiać z naczelnikiem.

- Nie zastaniecie go. Zniknął. Musimy go najpierw znaleźć. \_\_\_\_\_/w takim razie chcemy się widzieć z jego synem, rotmistrzem.

- Ten także zniknął - pośpieszył usłudźnie z wyjaśnieniem.

- I nie wiecie, gdzie są?

- Nie.

- No, jakoś do tego dojdziemy. Obcemu może się to czasem łatwiej powieść niż miejscowemu. A co to za ludzie, ci dwaj? Stoją tak sztywno, jakby połknęli kij.

- Wartownicy.

- To może wiedzą, dokąd udali się tamci dwaj.. Z miejsca, gdzie stoją musieli ich przecież widzieć.

- Przesłuchiwałem ich już. Nie wiedzą nic

- Prawdopodobnie niewłaściwie pan pytał. Byłem kiedyś prezydentem sądu i nauczyłem się tak stawiać pytania, aby zawsze otrzymać pożądaną odpowiedź, hihihih!

- Niech więc pan będzie tak dobry i pomoże mi przy powtórnym przesłuchaniu wartowników! - prosił porucznik.

Jego uznanie dla małego trapera wzrosło ogromnie. Puścił całą trójkę przodem, a sam pozostał skromnie w tyle.

Sam stanął przed wartownikami w szerokim rozkroku.

- Moi kochani synkowie! Wiecie, gdzie podziewa się pan rotmistrz?

- Nie, panie - odparł jeden z nich.

- Kto wam kazał tu stać?  
- Nasz ojczulek, rotmistrz.  
- A więc jednak widzieliście go. Kiedy to było?  
- O północy.  
- Był sam?  
- Nie, z naszym ojczulkiem, naczelnikiem.  
- Po co tu przyszli?  
- Nie wiemy.  
- Musieli przecież coś powiedzieć. Zresztą, pokaż no się tu! Na twojej kurtce widać mnóstwo pręg. Kto cię tak pobił? Kto?  
- Ojczulek rotmistrz.  
- To nieładnie z jego strony. A dlaczegoż to musiał uciec się do użycia knuta?  
- Z powodu żaby.  
- Dzieci, w ten sposób w ogóle nie posuwamy się do przodu. Muszę wyciągać z was niemal każde słowo, a to kosztuje mnie dużo czasu i cierpliwości. Opowiedzcie, co tu się stało!

Mówiąc to Sam Hawkens wyrwał zza pasa pejcz, który nosił na Syberii jako atrybut swej męskości, aby tym gestem wzmocnić jeszcze nieco swoje żądanie.

- A więc, jak to było z tą żabą?  
- Chciała nam pokazać skarb.  
- Skarb? Zapewne miał leżeć tu, w tym miejscu, a kiedy chcieliście go wykopać, pojawili się ojczulkowie, czy tak?  
- Tak, tak właśnie było. Potem młody ojczulek zabronił nam ruszać się z miejsca, dopóki nie wróci.  
- Ale przecież musicie znać kierunek, w jakim się udali. Nie patrzyliście, dokąd idą?  
- Nie. Po pierwsze było bardzo ciemno, a po drugie nie wolno nam było zmienić pozycji.

Sam nie mógł się powstrzymać i wybuchnął gromkim śmiechem. Głupie twarze tych dwóch kozaków, niewiele mądrzejsza mina porucznika i cała ta sytuacja, to wszystko było tak pocieszne, że nie mógł już dłużej zachować powagi. Ci dwaj zachowywali się jak maszyny trwające w takim położeniu, w jakim je zatrzymano. Kiedy rotmistrz i jego ojciec odchodzili, akurat stali odwróceny tyłem do więzienia, a ponieważ nakazano im pozostanie w tym miejscu, wytrwali całą noc bez ruchu, jak wkopani w ziemię i nawet się nie odwrócili. Nie zauważyli więc, że ich przełożeni wspinali się po drabinie.

Na placu przed więzieniem zebrało się w międzyczasie sporo ludzi, w większości kozaków,- tworząc wokoło tej małej grupy krąg ciekawskich.

- A więc nie wiecie, gdzie ojczulkowie zniknęli? - kontynuował Sam. - O północy nie chodzi się przecież na spacer, to pewne. Musieli zdążać do jakiegoś celu, kiedy przechodzili obok was. Byliście tu tylko po to, żeby wykopać skarb?

- Nie, mieliśmy stać na warcie przed więzieniem.

- Więzienie? Gdzie to jest?

Pytanie to skierowane było do porucznika.

- Zaraz tutaj! - odparł pokazując ręką na nędzną budowlę na palach.

- Aha, pewnie chcieli wejść do więzienia. Czy ktoś w nim jest?

- Kozak Numer Dziesięć.

- W takim razie chcieli się przekonać o jego obecności. Nie pozostaje panu nic innego, jak wejść tam i sprawdzić, czy wszystko w porządku. A może panom coś się przydarzyło? Pana obowiązkiem jest więc pomóc im.

Słowa Sama brzmiały dla porucznika przekonywająco, ruszył więc, ale powoli i niechętnie, ponieważ obawiał się gniewu rotmistrza, w razie gdyby jego działanie okazało się niezgodne z wolą tego ostatniego.

- Pójdzie pan ze mną? - spytał małego trapera z wahaniem.

- Tak. Ja i moi dwaj kompani będziemy panu towarzyszyć. Gapie pośpieszyli za nimi i zatrzymali się przed strażnicą. Oficer

zastanawiał się po raz kolejny, czy może się poważyć na samodzielne działanie i dopiero gdy Sam go do tego przekonał, zaczął powoli piąć się w górę po drabinie.

W pewnej odległości od niego stali ciekawscy w niemym oczekiwaniu. Współczuli bardzo kozakowi Numer Dziesięć, którego księżniczka Karpala wyróżniła wczoraj zaproszeniem do tańca i który tak odważnie zachował się względem rotmistrza. A do tego wszystkiego doszło jeszcze tajemnicze zniknięcie naj znaczniej szych osób w mieście. Być może zagadka zaraz zostanie rozwiązana i każdy chciał przy tym być.

Porucznik pokonał te kilka szczebli dzielących go od drzwi sraźni-cy, wyjął zatyczkę, ostrożnie otworzył drzwi, spojrział do środka i nagle cofnął się przerażony.

- Wszyscy Święci! - wrzasnął.

- Co się stało? - spytał Sam Hawkens.

Oficer nie odpowiedział, tylko jednym skokiem znalazł się na dole, z twarzą białą jak kreda i drżąc na całym ciele.

- No, co tam zobaczyłeś?



- Dia... diabeł! - ryknął porucznik aż rozległo się po całym placu.

Sam sprawiał wrażenie, jak gdyby uważał osobiste odwiedziny diabła w Wierchnieudinsku za absolutnie niemożliwe.

- Diabeł? Naprawdę? - spytał niewinnie.

- Tak, tak, tak! Tam u góry!

Porucznik drżącą ręką wskazał na stojące otworem drzwi. Tłum zbliżył się natychmiast, aby nic nie uronić z toczącej się rozmowy.

- Nie myli się pan? - powątpiewał traper.

- Nie, nie! Widziałem wyraźnie. Tam jest diabeł, ojczulek z ma-teńką, swoją babką!

- O nieba! Widział pan dwa diabły?

- Tak, to jest on i ona.

- Diabeł i jego babka! - zaszemrał tłum i cofnął się natychmiast.

- Nie chce mi się w to wierzyć - rzekł Sam i zaczął wychodzić do góry.

To, co tam ujrzał rzeczywiście mogło przerazić, i to nie tylko prostego i zabobonnego człowieka. Sam uspokoił się nieco stwierdziwszy, że obaj uwięzieni ruszają się. Czynili kurczowe wysiłki, żeby uwolnić się z więzów, nie doznali jednak przy tym zbyt dużego uszczerbku na zdrowiu.

Sam także wydał głośny krzyk i zeskoczył z drabiny.

Również Dick i Will weszli kolejno do więzienia i wyskoczyli z niego z oznakami gwałtownego strachu.

- Pańscy przyjaciele są tak samo odważni, jak pan i ja - zaśmiał się porucznik z przymusem. - Co oni na to?

- Podzielają pańskie zdanie, że jest to diabeł ze swoją babką.

W tłumie zapanowało wielkie poruszenie. Diabeł i jego babka, przerażające! Wiadomość ta rozeszła się błyskawicznie. Dotarła także na plac targowy i sprawiła, że kto żyw, Rosjanie, Wogułowie, Samoje-dowie, Buriaci, Sojoci i Kałmucy napływali tłumnie na plac przed strażnicą. Wszyscy ci ludzie, ogromnie wzburzeni i wypełnieni bezmiernym strachem, wymieniali między sobą poglądy na temat ukazania się diabła zastanawiając się gorączkowo, dlaczego się pojawił i co uczyni.

Plotka nie ominęła także „wypędzacza diabłów” z Wierchnieudin-ska. Funkcję tę sprawował sędziwy pasterz Bibikow, który cieszył się wielkim poważaniem wśród prostego ludu z powodu swoich cudownych kuracji ziołowych oraz sporządzanych przez siebie maści. Był odczytanym człowiekiem, co stanowiło nadzwyczajną rzadkość wśród tamtejszych ludzi i zajmował się metafizyką. Odkąd przed wieloma laty wyleczył z „opętania” niedorozwiniętego

syna pewnego myśliwego, w całej okolicy uchodził za „pana nad duchami i diabłami” . Wprawdzie sam nie widział jeszcze diabła, ale w starych, pożółkłych książkach i rękopisach napotykał na wskazówki, jak wypędzać szatana. Teraz więc sięgnął po swoją książeczkę z zaklęciami i udał się w drogę.

Oczywiście nie czuł się zbyt pewnie, ponieważ wypędzenie diabła nie było łatwą sprawą, a cóż dopiero, gdy ten miał przy sobie babkę. Jego książki nie wspominały też ani słowem o sposobach traktowania babki diabła. Mógł stracić życie, a nawet duszę. Dlatego postanowił działać z największą ostrożnością.

Kiedy przybył wreszcie na plac i zobaczył tłum ludzi usuwający mu się ze złości z drogi, miał uczucie, jakby cierpiał na morską chorobę, a im bardziej zbliżał się do strażnicy, tym gorzej się czuł.

I tak dotarł do grupy, którą tworzyło kilku oficerów, porucznik i trójka amerykańskich przyjaciół. Niepostrzeżenie dołączył do nich także hrabia Polikow.

Staremu pasterzowi pot wystąpił na czoło. Zdjął czapkę, żeby osuszyć głowę, ponownie nasadził ją i kroczył powoli prosto w kierunku drabiny.

Ociągając się wszedł na pierwszy szczebel i upłynęło sporo czasu, zanim postawił stopę na drugim.

Jego oczy znalazły się na tej samej wysokości co dolna krawędź drzwi. Podniósł książkę z zaklęciami, aby pokazać ją diabłu.

- Czy widzisz tę kłatwę? - spytał. Odpowiedziało mu chrapliwe rżenie.

- To moja ochrona. Nie myśl sobie, że możesz mi coś zrobić, dopóki noszę ze sobą tę księgę!

W środku chrząknęło coś jakby przyzwalająco. Dodało mu to tyle odwagi, że postąpił jeszcze o jeden szczebel wyżej i mógł zajrzeć do środka. Zaledwie jednak ujrzał obydwie postacie, z krzykiem upuścił książkę.

- Pomóżcie mi anioły w niebie, pomóżcie!

Osunął się z drabiny lądując na ziemi w pozycji na siedząco z rozkraczonymi nogami.

Jednak pozbierał się jakoś, podniósł swoją książeczkę i odważnie, donośnym głosem zaczął wypowiadać zaklęcia.

Tłum słuchał go z nabożnym przestraczem.

- Wychodź! - nakazał w końcu i ostrożnie usunął się nieco na bok.

Ale ani diabeł, ani jego babka nie ukazali się.

- Rozkazuję ci! Wyjdź! - powtórzył zaklinacz. Jednak i to wezwanie pozostało daremne.

- Rozkazuję ci po raz trzeci i ostatni, wyjdź... - tutaj jego głos przeszedł w krzyk. - O nieba! Posłuchał mnie! Wychodzi!

Obaj uwięzieni przeżyli straszliwą noc. Gdy nastał dzień mieli nadzieję na uwolnienie, ale na próżno. Nareszcie usłyszeli zbliżających się ludzi, którzy wprawdzie otworzyli drzwi i zajrzeli do środka, jednak natychmiast zniknęli nie udzielwszy im pomocy.

Rotmistrza ogarnęła straszliwa wściekłość. Nie przestawał szarpać więzów, aż sznury rozluźniły się nieco.

Akurat w tym momencie zajrzał do środka zaklinacz i z przerażenia spadł z drabiny. Gniew rotmistrza wzmógł się niemal do szaleństwa. Szarpał i ciągnął ze wszystkich sił i udało się, uwolnił przynajmniej jedno ramię.

Teraz przede wszystkim wyrwał sobie z ust knebel, żeby móc lepiej oddychać, zdjął opaskę z oczu i skoro tylko świeże powietrze dodało mu nieco sił, wyswobodził także drugie ramię, po czym usunięcie pozostałych więzów nie przedstawiało już większych trudności. Przeciągnął się i rozprostował zeszywniałe członki. Głośny jęk przypomniawszy mu o ojcu, więc wyjął mu knebel z ust i zabrał się do uwalniania go z pęt.

- Nareszcie, nareszcie! - wystękał sprawnik. - O mało się nie udusiłem!

- Chodź! - powiedział szorstko rotmistrz i postąpił kilka kroków do przodu, żeby wyglądać na zewnątrz, ale zaraz cofnął się z przestachem.

- Na milion diabłów! Na zewnątrz czekają wszyscy mieszkańcy miasta i wioski namiotowej! Ha, a tam stoją oficerowie obok tych trzech przeklętych obcych, i ktoś jeszcze tam jest, kto wydaje mi się znajomy! Czy to możliwe? Popatrz na tego mężczyznę, który właśnie rozmawia z porucznikiem! Znasz go?

- Hrabia! - wyszeptał wstrząśnięty naczelnik.

- Tak, to Polikow. Nie może nas zobaczyć w tym położeniu!

- Absolutnie!

- Ale jak stąd uciec, przez ten tłum? Żaden z tych łajdaków nie odejdzie, dopóki się nie dowie, kim jesteśmy.

- Najlepiej zostanmy tutaj - radził stary - aż .. ach, ten zwariowany Bibikow!

- A czego ten tu szuka? - złościł się rotmistrz.

- Czyni znak krzyża. Do pioruna! Uważają nas za złe duchy.

- Bez wątplenia, a Bibikow chce pewnie odczynić uroki, do zwariowania z tymi głupcami! Ci ludzie widzą w nas wcielonych diabłów!

- Bo też wyglądamy podobnie do nich. Mam pomysł, jak teraz zejdziemy i pobiegniemy prosto w tłum, to wszyscy się rozpierzchną!

- Ty, to zupełnie możliwe! No to schodzimy?

- Chyba nie mamy innego wyjścia - zdecydował isprawnik. - Kiedy znajdziemy się w domu, jakoś ich może oszukamy.

- A więc naprzód! Nie zapomnij kurtki i czapki! Nikt nie musi wiedzieć, kim były te diabły.

Rotmistrz poszedł przodem, a za nim jego ojciec.

Na skutek poczynionych obserwacji obaj sądzą, że nikt ich nie zauważy. Nie docenili jednak przebiegłości Sama Hawkensa, który zobaczył już ich twarze w szczelinie drzwi i usłyszał, jak szeptali do siebie. Tak, udało mu się nawet zrozumieć kilka słów, ponieważ rotmistrz tak był wzburzony pojawieniem się hrabiego, że mówił znacznie głośniejszym głosem niż powinien i w ten sposób Sam usłyszał wyraźnie nazwisko Polikow. Z początku oniemiał ze zdumienia. Czyżby ten tak tęsknie wyczekiwany był już na miejscu? Ale gdzie? Sam rozejrzał się dookoła i jego oczy spoczęły na mężczyźnie, który stał w niedbalej pozycji obok oficerów obserwując wydarzenia wokół strażnicy. Był niewysoki, szczupły. Twarz bladą i bez wyrazu ocieniały gęste, ciemne wąsy. Jego silnie rozwinięta szczęka wskazywała na bezwzględność i siłę woli.

Sam zwrócił się cicho do swoich towarzyszy.

- Obejrzyjcie sobie dyskretnie tego człowieka, tam obok oficerów!

Dick i Will spełnili żądanie.

- Well, co w nim takiego niezwykłego? - spytał Dick Stone.

- To nasz człowiek, jeśli się nie mylę.

- Który? Nie znam go.

- Wierzę ci, hihihhi! Ja też go widzę po raz pierwszy. To hrabia Polikow.

- Egad\ Skąd to wiesz?

- Diabeł, który siedzi tam w środku wymienił to nazwisko. A może to była jego babka? Dokładnie nie wiem.

- No to mielibyśmy go! Ale czy dobrze słyszałeś? - wtrącił Will Parker.

- Sam Hawkens zawsze dobrze słyszy, jeśli się nie mylę. \ - Co zrobimy? Zagadniemy go?

- Will, ty jednak jesteś i pozostaniesz niepoprawnym żółtodziobem! To byłoby najgłupsze, co moglibyśmy wymyślić. Nie, tego mustanga trzeba okiełznać inaczej.

- Jak?

- Pozwól tylko Samowi Hawkensowi działać! Myślę, że teatr zaraz się zacznie. Założę się o mój skalp, że ci dwaj wypadną wkrótce ze strażnicy i prawdopodobnie ludzie się

rozpierzchną. Pobiegnę do budynku rządowego, bo tam ta komedia dobiegnie końca i ja chciałbym to zobaczyć. A więc zmykam.

Właśnie kiedy Bibikow, stary pasterz, usiłował pozbierać się po swoim upadku i rozkazał diabłu, żeby się ukazał. Sam wymknął się z tłumu i podążył do budynku rządowego. Nikt me zwracał na niego uwagi, więc niezauważony dotarł do celu.

Jeżeli jego przypuszczenie o ucieczce diabłów ze strażnicy okaże się słuszne, to należało oczekiwać, że pobiegną do domu i zamkną za sobą drzwi, żeby nikt niepowołany nie mógł się tam wedrzeć. Należało więc najpierw znaleźć w domu bezpieczną kryjówkę.

## Wśród ludzi honoru

Sam Hawkens rozejrzał się po budynku. Po prawej stronie znalazł drzwi z napisem „piwnica”.

W tej samej chwili na zewnątrz podniósł się straszliwy wrzask.

- Ach! - uśmiechnął się. - Już nadchodzą. Nie mam czasu na szukanie innej kryjówki. A więc do piwnicy!

Klucz tkwił w zamku. Prędko otworzył drzwi, przemknął do środka, po czym zatrzymał się na pierwszym stopniu, żeby zbadać zamek. Składał się on jedynie z żelaznego rygla, który przy pomocy klucza mógł być przesuwany tam i z powrotem, tak że otwarcie go od środka nie nastęczało żadnych trudności. Sam zasunął rygiel i nasłuchiwał.

Wydawało mu się, że hałas coraz bardziej zbliżał się do budynku. Równocześnie usłyszał pośpieszne kroki, ktoś gwałtownie otworzył drzwi i do jego uszu dotarł zasapany głos:

- Zamknij dobrze! Nikt nie może tu wejść! Rygiel zazgrzytał i inny głos odpowiedział:

- Ale w tym ubraniu też nie możemy wejść do izby, bo nas służba zobaczy.

Dało się słyszeć coś, co zabrzmiało jak stłumione przekleństwo.

- Masz rację. Musimy zawołać matkę. I zaraz rozległo się w całym domu

- Natalia! Natalia!

Jakiś żeński głos odpowiedział:

- O co chodzi?

- Pośpiesz się! To ja. Chodź tu, ale sama!

- Zaraz, zaraz!

Pomimo hałasu szalejącego przed budynkiem Sam Hawkens złowił uchem odgłos szybkich kroków, po czym rozległ się przeraźliwy wrzask.

- Wszyscy Święci! Diabeł!

- Bzdura! To my Iwan i ja!

- O nieba! Wy? Co się z wami stało?

- Dowiesz się później. Nie możemy się tak pokazać. Musimy się skryć w piwnicy!

- Wejdźcie do mieszkania!

- Smoła da się zmyć tylko naftą albo smołowcem, a jedno i drugie mamy na dole. Przynieś nam czyste ubranie, wodę i światło! Nasze stare rzeczy nie nadają się już do użytku. Ale nie wpuszczaj nikogo do domu!

- Nawet hrabiego Polikowa? Zakwaterował się tutaj i szuka was.

- Niech go diabli wezmą!

- Co wy macie z nim wspólnego?

- Nic. Ale wiesz, byłoby lepiej, gdybyś była dla niego uprzejma i wpuściła go. Tylko nie do nas do piwnicy! A więc światło, wodę i ubranie! Szybko! My tu zaczekamy!

- Zaraz przyniosę! Naczelnikowa oddaliła się prędko. Samowi zrobiło się ciepło pod peruką.

- Do pioruna! - pomyślał. - No to wpadłem w niezłe tarapaty! Co robić? A może to nawet dobrze? Muszę zejść niżej. Mam szczęście, że czekają na górze.

Cichutko schodził w głąb piwnicy macając po omacku każdy stopień. Kiedy znalazł się wreszcie na dole, zapalił kilka zapalek, żeby się nieco rozejrzeć.

Piwnica była niewielka i zawierała pokaźną ilość beczek różnej wielkości, trochę innych rupieci, a z przodu naprzeciwko drzwi drewnianą półkę, na której leżały butelki z winem.

Półka nie stała wzdłuż ściany, lecz na ukos, a za nią Sam znalazł w samym rogu beczułkę.

- Tam się ukryję! - wymamrotał. - Lepiej być nie może, jeśli się nie mylę.

Wślizgnął się do kąta, co oczywiście nie było takie proste, ponieważ ruchy utrudniała mu stara strzelba Liddy, z którą rozstawał się nadzwyczaj rzadko. Zadowolony rozsiadł się na małej beczce. Nikt nie mógł go tam odkryć, chyba że ktoś chciałby akurat tę beczkę wyciągać z piwnicy.

Zaledwie Sam zdążył się schować, drzwi na górze otworzyły się i naczelnik wraz z rotmistrzem zaczęli schodzić w dół, a za nimi pani domu z odzieżą przewieszoną przez ramię, podczas gdy obaj mężczyźni nieśli światło i dzban z wodą. Światło postawili we wnęce muru a wodę na ziemi.

- Cóż wyście robili, na miłość boską? Przecież to okropne! - biadała kobieta.

- Milcz! - warknął sprawnik. - Dowiesz się w swoim czasie.

- Gdzieście się wczoraj podziewali?

- Nie pytaj! Idź lepiej do góry i dopilnuj, żeby nam tu nikt nie przeszkadzał. Marsz!

Kobieta posłusznie opuściła piwnicę zamykając za sobą drzwi, a umazani smołą mężczyźni zaczęli się czyścić, klnąc i złorzecząc przy tym. Po chwili kobieta pojawiła się raz jeszcze przynosząc im kilka ręczników.

- Przed domem stoi tłum ludzi! - utyskiwała - Na miłość boską, co mam robić? Wszyscy krzyczą, że u nas jest diabeł! Aten hrabia Polikow dobija się do drzwi i chce wejść!

- Otwórz mu! Ale w żadnym wypadku nie wpuszczaj go do nas!

Kobieta pobiegła na górę i otworzyła drzwi. Hrabia wszedł do środka, odepchnąwszy wszystkich innych, którzy próbowali wdrzeć się do budynku i zaryglował za sobą drzwi.

- Gdzie pani mąż? - spytał.

- Jeszcze nie wiem. - odparła.

- A pani syn?

- Tego też nie mogę powiedzieć. Uśmiechnął się z wyższością i drwiną.

- Czy sądzi pani, że jestem tak samo głupi, jak ci Jakuci? Niech mi pani przynajmniej powie, gdzie ukryły się te dwa diabły!

Mówiąc to, hrabia kroczył dalej, a żona naczelnika wielce zakłopotana postępowała za nim. Kiedy przechodził obok drzwi do piwnicy, zatrzymał się i wciągnął powietrze przez nos.

- Ach! Ależ tu wspaniale pachnie smołą i naftą! Gdzie są panowie? ~

- W swoich pokojach.

- Tak?

Spojrzał na nią ostro, a kiedy spuściła oczy, szybko przekręcił klucz w drzwiach do piwnicy i w głębi, skąd dochodziły stłumione głosy, ujrzał odbłask światła.

- - Kto jest tam na dole? - spytał szeptem kobietę.

- To jest... to jest...

- To diabły! Nieprawdaż?

Nie miała już innego wyjścia i przymuszona odpowiedziała:

- Tak.

- Dobrze! Może pani teraz odejść! Sam do nich zejdę.

Hrabia wyciągnął klucz z zamka, schował go do kieszeni i odepchnął kobietę. Wszedł na schody wiodące do piwnicy, zamknął drzwi od środka i cichutko zaczął się skradać w dół. Mógł teraz usłyszeć, o czym rozmawiali mężczyźni, którzy przecież nie mieli pojęcia, że ktoś ich podsłuchuje.

- Za każdym razem, kiedy przyjeżdża Polikow, przydarza nam się jakieś nieszczęście - narzekał właśnie naczelnik. - Ledwie pojawił się w mieście, a już zostaliśmy unurzani w smole.



- Chciałbym, żeby to jego zamiast nas spotkało coś takiego! - złościł się rotmistrz.

- Czego on może dzisiaj od nas chcieć?

- Dowiesz się na pewno, nie będzie robił z tego tajemnicy. Jesteśmy zależni od jego łaski. Żebym tylko znał jakiś sposób, żeby się go na zawsze pozbyć, nie żałowałbym mu trucizny albo porządnej dawki prochu.

- Tak byłoby oczywiście najlepiej, ale on jest na to zbyt wielkim spryciarzem, żebyśmy mogli mu dać radę. Jeżeli... no, wysłucham, czego chce. Jak będzie żądał za dużo, dostanie muchomora.

Narody Syberii stosują muchomory w różnej postaci jako środka pobudzającego i odurzającego. Potrafią także sporządzić z niego pewną truciznę i to właśnie naczelnik miał na myśli. Przestraszył się więc okropnie, gdy nagle od strony schodów rozległo się pytanie:

- A czy będzie tak głupi, żeby zjeść waszego muchomora? Polikow zszedł z ostatniego stopnia i zbliżył się do nich.

- Hrabia! - jęknął naczelnik.

- Tak. To ja. Jesteście wielkimi łajdakami, ale jeszcze większymi głupcami. Aż płakać się chce. Coście znów narozrabiali, wy tępaki?

Naczelnik i rotmistrz zaczęli się co dopiero ubierać i akurat naciągali koszule. Tym dziwniej wyglądał gniew rotmistrza, który zacisnął pięści i dreptał bosymi stopami w miejscu.

- Panie, kto panu dał prawo obrażać nas w taki sposób? Jestem carskim oficerem, a mój ojciec naczelnikiem powiatu!

Polikow roześmiał się głośno.

- Moje uszanowanie, panie rotmistrzu! Ale któż to was nimi uczynił?

- Car!

- Car? Akurat car się będzie o was troszczył!

- Panie!

- No, nie kłóćmy się! Zawdzięczacie to mnie, nikomu więcej. Myślę, że za dobrze się znamy, żebyśmy nie wiedzieli, czego od siebie oczekiwać. Lepiej usiądźmy wygodnie i rozsądnie porozmawiajmy!

Z tymi słowami rozsiadł się na jednej z beczek.

- Możemy to zrobić u góry - warknął naczelnik. - Widzi pan przecież, że nie jestem w nastroju do odbywania rozmów.

- Och, nie róbcie ceregieli! Chciałbym zostać tutaj, bo po pierwsze nikt nas tu nie może obserwować, a po drugie podoba mi się tutejsze powietrze. Kocham zapach nafty i zazdroszczę wam tego szczęścia, że możecie się myć tą wonną cieczą!

Naczelnik stracił z takim trudem zachowywane panowanie nad sobą i aż podskoczył z wściekłości.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby służyć za cel pańskim kiepskim dowcipom! W końcu nawet największa poufałość nie powinna przekraczać pewnych granic! \_ - Hola, hola!

- drwił Polikow. - Tylko nie zapominajcie, kim i czym właściwie jesteście!

Zeskoczył ze swojej beczki i stanął groźnie przed rozgniewanym naczelnikiem.

- Do diabła! - wrzasnął ten ostatni i rzucił spodniami, które właśnie miał zamiar ubrać. - Jesteśmy...

- ... buhajami! - dokończył hrabia. Naczelnikowi odjęło mowę.

- Będziemy...

- Nic nie będziecie! - przerwał mu Polikow bezceremonialnie. - Czy nie znaliście przypadkiem pewnego Sałtykowa?

Obaj usmoleni wzdrygnęli się jak pod ciosem bicia. Ale poza nimi ktoś inny jeszcze pilnie nastawił uszu. Sam Hawkens. Sałtykow! To było przecież to nazwisko, które przypisano hrabiemu Wasylkowiczowi i Gotfrydowi von Adlerhorst, kiedy aresztowano ich wbrew prawu.

- Albo nie, źle się wyraziłem - kontynuował Polikow nie dając się zbić z tropu. - Było dwóch Sałtyków, ojciec i syn. poszukiwanych z powodu różnych przestępstw. Znaleźli jednak przyjaciela, albo protektora, który ich uratował...

- Panie! - wykrztusił naczelnik ochryłym głosem.

- Panie hrabio! - przerwał mu rotmistrz.

Ale Polikow nie pozwolił sobie przeszkodzić. Sycił się wyrazem ich twarzy, na których walczyły ze sobą wściekłość i strach.

- Ach! - śmiał się szyderczo. - Teraz śpiewacie już na inną nutę! Powiedziałem: protektora, który ich uratował załatwiając im papiery na nazwisko Rapnin. W ten sposób obaj uniknęli nie tylko dożywotniego zesłania, lecz dzięki moim stosunkom i mojemu wstawiennictwu zostali nacz. .

\_ - Nie może pan tego udowodnić!

- Naprawdę? Ach, teraz was rozumiem! Sądzicie, że po tak długim okresie czasu zapomniałem o tym papierze, albo, że go może zgubiłem? W takim razie nie znacie mnie

dobrze! Ten papier jest dla mnie tak ważny, że nigdy go nie wypuszczam z ręki. Także teraz mam go przy sobie, drodzy przyjaciele!

Hrabia poklepał się w lewą stronę piersi, gdzie znajdowała się kieszeń.

Oczy naczelnika błyszczały.

- Kto w to uwierzy! - zgrzytnął.

Polikow dobył powoli pistoletów i odwiódł oba kurki.

- Znacie mnie i wiecie, że w takich sprawach dotrzymuję słowa. Pokażę wam ten papier z daleka. Jeżeli uczynicie choćby najmniejszy ruch, aby mi go wyrwać, zastrzelę was.

- Ojcie! - ostrzegął rotmistrz. - Tylko bez przemocy! On na pewno strzeli!

- W ogóle nie mam zamiaru odbierać mu tego papieru. Od dawna nie przedstawia żadnej wartości i nie może nam zaszkodzić.

- Nie? - szydził hrabia. - No to popatrzcie!

To mówiąc, wyjął z kieszeni na piersi złożoną kartkę papieru i podszedł bliżej światła. Jego pistolety leżały w zasięgu ręki. Mógłby wystrzelić do ojca i syna, zanim zdołaliby przejść trzy kroki.

- To jest pismo, w którym zaświadczacie, że naprawdę nazywacie się Sałtykow. Posłuchajcie!

Rozłożył papier i czytał drwiącym, wyniosłym tonem: Wyznanie:

Na żądanie hrabiego Palikowa zaświadczam zgodnie z prawdą, że jestem Wassilij Sałtykow, który wraz ze swoim synem Iwanem został skazany na dożywotnie zesłanie i łowienie soboli. Nasze papiery wystawione na nazwisko Rapmn są sfałszowane Poranków 11 października 18... Wassilij Rapnin, naczelnik powiatu

Hrabia złożył papier, wetknął go z powrotem do kieszeni na piersi i skłonił się szyderczo.

- Zadowoleni? Naczelnik śmiał się ochryple.

- Tą pisaniną nie ma pan nad nami najmniejszej władzy, panie hrabio!

- Tak się tylko mówi! - rzekł Polikow pogardliwie.

- Mogę to panu udowodnić.

- Bardzo jestem ciekaw.

- No więc, kto napisał i przypieczętował to wyznanie?

- Pan, mój przyjacielu.

- Kto ułożył jego treść?

- Pan!

- Tak, ja, panie hrabio! Popełniłby pan wielkie głupstwo, gdyby to pan sam je układał. Ale postąpił pan równie głupio zgadzając się na moją wersję.

- Jak to?

- Początkowe słowa brzmią: Na żądanie hrabiego Mikołaja Poli-kowa.-Ten wstęp dobrze sobie wy kalkulowałem. Jeżeli popełniam wykroczenie „na pańskie żądanie”, to znaczy, że musiał pan o tym wiedzieć. Jest więc pan moim współnikiem\* Hrabia bawił się pistoletem.

- Dalej! - śmiał się, ale jego mina zdradzała wyraźnie, w jaką konsternację wprowadził go wywód naczelnika.

- Przechytryłem pana, panie hrabio! Mogę przebić każdą pana kartę.

- Naprawdę pan tak sądzi?

- Mam nawet niezbitą pewność. Z jakiego powodu zdobył pan dla nas papiery na nazwisko Rapnin?

- Z litości!

- Ach, jakąż pan ma z gruntu dobrą duszę!

- Jakież inny mógłbym mieć powód? Chciałem was tylko uratować.

- Czy jest panu może znany hrabia Wasylkowicz?

- Nie powinno to pana obchodzić.

- A może jednak? Ujęto go wraz z synem na pańskie polecenie i obaj zostali uznani za zbiegłych Sałtykowów. Starego zamiast mnie wysłano»w lasy, a młodego wcielono do kozaków.

- I...? - rzucił Polikow przez zęby.

- Reszta jest już bardzo prosta, mój drogi panie hrabio! Skoro zamiast nas ujęto obu Wasylkowiczów, my musieliśmy otrzymać inne nazwiska. I tylko dlatego dostarczył nam pan papiery opiewające na nazwisko Rapnin. Realizował pan w ten sposób jedynie swoje plany, które z pewnością zostaną odkryte, gdyby pan chciał zaszkodzić nam tym „wyznaniem”. Myślę, że jesteśmy kwita!

Sam Hawkens nadstawił uszu. Oto bez zadawania sobie jakiegokolwiek trudu otrzymał właśnie wyjaśnienie zagadki. Oczywiście jego znajomość języka nie wystarczyła, aby mógł zrozumieć każde słowo tej ważnej rozmowy, jednak udało mu się znakomicie uchwycić jej sens. Kiedy Polikow odczytywał pismo, musiał się mieć bardzo na baczności, aby nie wyskoczyć ze swojego kąta i nie zawładnąć tym ważnym dowodem. Cokolwiek by to nie kosztowało, musiał zdobyć ten papier, zawierał bowiem klucz do całej tajemnicy.

- Myli się pan, - odparł Polikow, który zdążył się już opanować. - Mogłem podać hrabiego za każdego innego przestępcę, ale wybrałem akurat was, ponieważ, współczułem wam.

- Wspaniale! Jednak życzylibym sobie, żeby to współczucie miało już swój koniec. W każdym razie dla obu stron byłoby to godne polecenia, żebyśmy się już więcej nie znali.

Polikow wzruszył ramionami.

- Niestety nie mogę wyświadczyć wam tej łaski.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ was jeszcze potrzebuję.

- Jako narzędzia pańskich planów? Nie będziemy już z panem współpracować'

W międzyczasie ojciec i syn nałożyli na siebie ubranie. Wprawdzie bił od nich okropny zapach nafty, poza tym jednak nic w ich wyglądzie nie zdradzało nocnej przygody.

Hrabia wydawał się tracić pewność siebie. Dostrzegł niebezpieczeństwo wymknięcia się Rapninów z jego rąk i postanowił działać bardzo ostrożnie. Siedział cicho na swojej beczce i skrzyżowawszy ramiona na piersi pograżył się w myślach.

- Chcę być z wami szczerzy - powiedział po zastanowieniu. - Możemy się przecież rozstać w pokoju.

- To byłoby najlepsze wyjście z sytuacji. Wystarczy, że odda nam pan papier.

- Proszę bardzo. Zgodzę się na to pod pewnym warunkiem.

- Co to za warunek?

- Szukam hrabiego Wasylkowicza i jego syna. Koniecznie muszę ich mieć, jeśli oczywiście jeszcze żyją.

- Po co?

- Nie powinno to pana obchodzić.

- Nie, wręcz przeciwnie! Byłoby mądrze z pana strony, powiedzieć wszystko otwarcie. Być może jesteśmy w stanie podać panu jakąś informację, która pomoże panu ich odnaleźć.

- W takim razie dobrze. Muszę z nimi koniecznie porozmawiać.

Naczelnik zmierzył go ostro.

- Czy to wszystko?

- Tak. Cóż innego mógłbym chcieć? Naczelnik wykrzywił się drwiąco.

- Niech pan nas nie nabiera! Sądzi pan, że jestem aż tak głupi, aby zadowolić się tym wyjaśnieniem?

- Nie mogę panu podać innego.

- Niech pan lepiej powie, że pan nie chce! Znam pana i jestem przekonany, że chodzi panu o coś innego.

- W takim razie wie pan więcej niż ja.

- Domyślam się, co pan chce zrobić i powiem panu - podszedł do hrabiego. - Może pan spokojnie odłożyć pistolet!

- Ani mi to w głowie! Nasza przyjaźń jest tak serdeczna...

- Nie mogę więc wyszeptać panu tego do ucha i muszę wyrzec na głos: pan chce ich zamordować!

Polikow odskoczył jakby go wąż ukąsił.

- Pan zwariował!

- Przejrzałem pana! Nie czuje się pan pewny swojego podstępnie wyłudzonego spadku. Wprawdzie to nieprawdopodobne, ale może się tak zdarzyć, że Wasylkowicz i jego syn wydostaną się jakoś na wolność i wtedy pan byłby zgubiony. Chce pan temu zapobiec, dlatego tamci dwaj powinni zniknąć na zawsze.

- Powtarzam! Pan zwariował!

- Śmieszne! Oszukuje pan siebie i nas. Może pan sobie zaoszczędzić tego trudu. Nie chcę się wtrącać w pańskie tajemnice, więc chyba mogę uznać tę rozmowę za zakończoną, powiedział naczelnik i uczynił gest, jak gdyby szykował się do odejścia. Nie pasowało to jednak absolutnie do planów hrabiego. Chwycił starego za ramię i przytrzymał go.

- Niech pan jeszcze nie ucieka! Porozmawiajmy jeszcze chwilkę! Co panu z tego przyjdzie, że mi pan nie zdradzi tej informacji?

- Źle się pan wyraził. Nie mnie, lecz panu, a mianowicie wyniknie z tego dla pana szkoda, jeżeli zachowam dla siebie miejsce pobytu hrabiego.

- Zachowani dla siebie? To znaczy, że pan wie, gdzie podziewa się hrabia?

- Tak.

- Widział go pan?

- - Tak. Dokonajmy uczciwego handlu wymiennego: towar za towar! Papier za informację, gdzie można znaleźć hrabiego! Jeśli teraz dojdziemy do porozumienia, dogoni go pan za dwa dni.

- Dobrze. Niech mi pan powie, co muszę wiedzieć, a ja zwrócę panu papier.

Ponownie wyjął „wyznanie” i podsunął je naczelnikowi. Niemало się też zdziwił, kiedy ten wykonał gest odmowny.

- To jeszcze nie wszystko!

- Co jeszcze?

- Tak tanio nie sprzedam moich wiadomości.
- Tanio?
- Tak, tanio. Wszystko zależy od moich informacji. Zatrzymanie tak ogromnego majątku powinno być dla pana warte parę rubli.
- Żąda pan więc jeszcze pieniędzy?
- Jasne.
- Jestem gotów ponieść koszty. Ile pan chce?
- Przy pięciu tysiącach rubli mogę rozważyć pańską sprawę.
- Niech pana diabli wezmą! Pięć tyś...
- Ani kopiejki mniej!
- Jest pan rzeczywiście zatwardziałym łotrem.
- Dziękuję!
- Czy aby na pewno dotrę do hrabiego za kilka dni?
- Z całą pewnością!
- Oto papier! Pieniądze dostanie pan po moim powrocie.
- Nie, drogi panie hrabio, to byłby układ na wiarę, a kiedy się człowiek porusza wśród łotrów, nie może liczyć na zaufanie. Dwa tysiące natychmiast, pozostałe trzy tysiące później!
- Niech będzie, jak pan chce. Ale za to zażądam od pana więcej: musi mi pan jeszcze powiedzieć, gdzie mogę znaleźć syna hrabiego Wasylkowicza.
- O tym nie było mowy. Ale niech tam, powiem to panu. A więc proszę, niech pan płaci!
- Najpierw „towar”, potem pieniądze! - szydził Polikow.
- Dobrze Stary hrabia, teraz łowca soboli Numer Osiemdziesiąty Czwarty był tu do wczoraj na jarmarku i przyłączył się do grupy myśliwych, którą zwerbował kupiec z Orenburga, Fedor Łomonow.
- W którą stronę poszli?
- Do ujścia Selengi. Stąd można dojść w te okolice za dwa dni.
- Czy tam się zatrzymają?
- W każdym razie muszą tam dzień odpoczywać.
- Wobec tego spróbuję ich dogonić. Może mi pan dać świeże konie?
- Jeżeli pan dobrze zapłaci, to tak.
- Nie poskapię pieniędzy. Ale bez eskorty nie da się w tym kraju podróżować.
- Przydzielę panu dziesięciu kozaków i przewodnika, na którego znajomości terenu może pan polegać.

- Kiedy mógłbym wyruszyć?
- Już za godzinę, jeżeli to panu odpowiada.
- Wspaniale! A teraz druga informacja! Gdzie syn hrabiego?
- Powoli! Nie tak szybko! Spełniłem pańską wolę i podałem miejsce pobytu hrabiego, teraz żądam najpierw papieru i pieniędzy!
- Niech tam! - powiedział hrabia podając naczelnikowi papier. Ten sprawdził go dokładnie, a także otrzymane dwa banknoty tysiąc rublowe, a następnie włożył wszystko do zewnętrznej kieszeni kurtki.
- A więc, gdzie ten drugi? - niecierpliwiał się Polikow.
- To kozak Numer Dziesięć i znajduje się tu w okolicy Wierch-nieudinska.
- Bardzo dobrze! Oczywiście przede wszystkim bardziej zależy mi na spotkaniu ze starym, ale to, że wiem, gdzie szukać jego syna, ma dla mnie również duże znaczenie.
- Jednak cała ta historia nie jest całkiem prosta.
- Dlaczego?
- Numer Dziesiąty musi wprawdzie przebywać w pobliżu, ale jego miejsce pobytu nie jest mi dokładnie znane, uciekł dziś w nocy.
- Do diabła!
- Tylko nie tak nerwowo! - roześmiał się naczelnik. - Na pewno nam nie ujdzie
- Jest pan tego pewny? To dopiero byłaby piękna historia, gdyby ten dawny Orłowski, a późniejszy Wasylkowicz pojawił się pewnego dnia w Petersburgu! Wołałbym wtedy...
- Co takiego?
- Nic!
- Rozumiem. Ale niech się pan nie martwi! Uciekinier nie zajdzie daleko, tylko niech mi pan pozwoli działać!
- Chyba zarządził pan już pościg? - - Jeszcze nie.
- Głupiec! Dlaczego?
- Proszę, tylko bez obelg! Do tej pory nie miałem możliwości. Jego ucieczkę wykryto dopiero teraz.
- Niech go pan złapie, a ja dobrowolnie wypłacę nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy rubli!
- To już coś. Za takie pieniądze zrobię wszystko i musiałby się chyba pokumać z diabłem, żebyśmy go wkrótce nie pojмали. Natychmiast wydam odpowiednie dyspozycje.
- Tego właśnie oczekuję. I tak stracił pan już zbyt dużo czasu.
- To wszystko przez ten przeklęty Numer Dziesiąty.



- Ach?

Naczelnik zrelacjonował pokrótce nocną przygodę, lecz zanim opowieść dobiegła końca, zgasło światło. Nikt nie zwrócił na to uwagi, że świeca całkiem się wypaliła.

- A niech to diabli! - zaklął hrabia. - No i siedzimy w ciemnościach!

- 'Nic nie szkodzi. Po ciemku też znajdziemy drogę. Proszę, tędy!

Nic nie mogło bardziej ucieszyć Sama Hawkensa jak zgaśnięcie światła. Aż płonął z żądzy zdobycia tego ważnego papieru. Już prze-myśliwał, jak najlepiej tego dokonać, ale nie wpadł na żaden pomysł.

Ze swojej kryjówki widział dokładnie, gdzie naczelnik schował dokument. Teraz kiedy zgasło światło, nagle przyszła mu do głowy świetna myśl. Bezszelestnie wy dostał się z za półki i przemknął w pobliże schodów

- Stój! - wstrzymał Polikow obu mężczyzn - Przede wszystkim nikt nie może się dowiedzieć, o czym tu rozmawialiśmy!

- Może pan na nas polegać. Ale teraz chodźmy stąd. Iwan pójdzie przodem i poprowadzi pana. a ja za wami.

Trzej mężczyźni posuwali się z wolna ku wyjściu. Znajdowali się po jednej stronie schodów. Sam Hawkens po drugiej. Teraz wyciągnął rękę, ale tylko tak daleko, jak daleko sięgał wykusz Wychodzący po schodach ocierali się kurtkami o jego palce myśląc, że dotykają muru.

W ten sposób Sam wyczuł najpierw rotmistrza, potem hrabiego i wreszcie naczelnika, za którym cicho podążył do góry. Ponieważ wszyscy trzej potykali się szukając po omacku drogi, nie mogli go usłyszeć. Nie zaniepokoił się nawet, kiedy przez nieuwagę zawadził lufą swojej strzelby o mur, każdy bowiem zakładał, że dźwięk ten spowodował któryś z nich.

Mimo wszystko mały traper poczuł się nieswojo, kiedy sięgał do kieszeni isprawnika, ponieważ w zawodzie kieszonkowca nie posiadał najmniejszego doświadczenia. Niedostatek zręczności rekompesowało na szczęście silne wzburzenie mężczyzn i głęboka ciemność.

Teraz odważnie wsunął palce do odstającej kieszeni i wszystko udało się wysmienicie. Już na czwartym stopniu trzymał w dłoni jej zawartość. Bezszelestnie przemknął z powrotem, stanął na dole i nasłuchiwał.

Trzej „ludzie honoru” dotarli w międzyczasie do drzwi.

- Zatrzymaj się, Iwan! - szepnął naczelnik. - Całkiem zapomniałem o tłumie przed drzwiami. Wyjdź narazić sam, uchyl drzwi i sprawdź, czy te baranie łby ciągle jeszcze tam sterczą!

Rotmistrz posłusznie wykonał polecenie, po czym wymamrotał jakąś niezrozumiałą odpowiedź.

- Tak też myślałem - powiedział naczelnik. - Nie odejdą stąd dopóki nie dostaną batów. Te psy uważają, że diabeł i jego babka uciekli do tego domu. Co robić?

- Grajcie dalej tę komedię! - roześmiał się hrabia. - Spalcie w jakimś kominie albo piecu trochę siarki, tak żeby ją było czuć! Potem powiecie, że szatan i jego babka ulotnili się przez komin. Czy ten dureń zaklinacz też tam jest?

- Stoi tuż obok drzwi.

- No to niech go pan wpuści do środka! Jak poczuje siarkę uwierzy w to, a potem uwierzą w to i inni. A więc do dzieła! Nie ma czasu do stracenia.

Opuścili piwnicę i zamknęli drzwi od zewnątrz. Natychmiast Sam Hawkens znalazł się na najwyższym stopniu i nasłuchiwał. Kroki całej trójki przebrzmiały, sięń była pusta. Sam szybko odsunął rygiel, wyszedł z piwnicy i zatrzasnął za sobą drzwi.

Ale dokąd uciekać? Przed domem tłoczyli się ciekawscy, a więc do tylnego wyjścia! Sam znalazł się na podwórzu okolonym po większej części płotem z desek, wokół placu znajdowały się stajnie. Nie widać było żywej duszy. Najwyraźniej wszyscy zaszyli się w jakichś kryjówkach ze strachu przed diabłem. Sam zamierzał właśnie przeleźć przez płot lub oderwać kilka zmurszałych desek, kiedy nagle zauważył furtkę i to tak blisko domu, że mógł się do niej zakraść idąc wzdłuż muru. Wszystko układało się wspaniale. Prędko przemknął i znalazł się najwidoczniej w przydomowym ogródku.

Rozejrzał się dookoła i po lewej stronie odkrył wyjście z ogrodu. Rzecz jasna Sam nie wiedział, dokąd go ono zawiedzie, ale chodziło mu głównie o to, aby jak najbardziej oddalić się od domu. Dlatego posuwając się wzdłuż płotu dotarł do furtki, której zamknięcie stanowił jedynie drewniany rygiel. Odsunął go i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Przed nim znajdowało się coś na kształt ciasnej uliczki utworzonej przez drewniane płoty. Również tutaj nie było widać ani jednego człowieka.

- Na dobrego Manitou! - odetchnął z ulgą. - Moja przygoda znalazła szczęśliwe zakończenie, jeśli się nie mylę!

Biegł dalej, wiele razy skręcał i mijał różne domy, aż doszedł od drugiej strony na plac, na którym ciągle jeszcze stał tłum ludzi czekających na wyjaśnienie zagadki, co diabeł nabroił w budynku urzędowym.

Dick Stone i Will Parker stali nieco na uboczu, wsparci o kilka bali, z niewiadomego powodu wbitych w tym miejscu w ziemię i z zatroskanymi minami obserwowali fasadę budynku. Wiedzieli, że ich przyjaciel Sam Hawkens jest w środku i sądzili, że sytuacja w

jakiej się znalazł prawdopodobnie wymaga ich pomocy. Dlatego też jak tylko go ujrzeli, ich miny natychmiast się rozpogodziły.

- Ależ, stary Samie, skąd to cię przywiał wiatr? - spytał Will. - Myśleliśmy, że jesteś w starym wigwamie tutejszego naczelnika a ty przybiegłeś z całkiem innej strony! Martwiliśmy się o ciebie!

- Martwić się, co to za pomysł? Czyżbym był żółtodziobem, żebyście musieli się o mnie martwić?

- Nie. Ale nawet na naszej Ziemi Obiecanej, na Dzikim Zachodzie nawet najdzielniejszy człowiek może wpaść w tarapaty i stracić przy tym swój skalp.

- Mój skalp opłaciłem uczciwie bobrzymi futrami i niech cię o niego głowa nie boli, kochany Willu!

- Ale tutaj nie jesteśmy ani w puszczy, ani na prerii, lecz na tej przeklętej Syberii, gdzie mówią językiem, którego żaden diabeł nie zrozumie. I jak tam było w tym pałacu?

- Pięknie Nawet fantastycznie, jeśli się nie mylę. • - Miło to słyszeć!

- Poszło tak dobrze, że przyniosłem ze sobą dwa karteluski, hi-hihihi!

Sam pokazał przyjaciołom oba banknoty.

- Co to za obrazki?

- Dwa banknoty tysiącrublowe.

- Jak zdobyłeś tyle pieniędzy?

- Jak każdy porządny hultaj, hihihih! -Tyje...?

- ...zwędziłem. Tak. Panu naczelnikowi.

- Jak to zrobiłeś?

- Wziąłem mu trochę z kieszeni.

- Dick, słyszysz? Zwędził! I to z kieszeni!

- No, stary Samie - pokiwał głową Dick, - hultajem nie jesteś, więc myślę, że te pieniądze przykleiły ci się do palców w czasie załatwiania jakiejś uczciwej sprawy.

- Zgadłeś, Dick. Buchnąłem coś innego, a te pieniądze tylko przypadkiem.

- A więc jednak coś buchnąłeś?

- Tak. Kiedy taki człowiek jak ja bierze kurs na więzienie, to idzie na całość. Sam Hawkens nie lubi połowicznych rozwiązań.

I zadowolony z siebie zachichotał w swoją rozczochraną brodę.

- Mój Boże, mówisz jak herszt zbójców! - wtrącił Will.

- Przecież nim jestem, a wy jesteście moją bandą, hihihih!

- Dziękuję! Nie mam zamiaru pewnego pięknego dnia bujać się na szubienicy.

- Odciąłbym cię, Will, jeśli się nie mylę. Ale patrzcie, drzwi się otwierają! Wychodzi pan rotmistrz. Ma na sobie mundur kozacki, a dopiero co był w...

- ...smole i pakulach!

- Nie, zmył to naftą, potem nałożył całkiem zwyczajne ubranie, spodnie, kamizelkę i kurtkę. Awięc odkąd opuścił piwnicę jeszcze raz zmienił skórę.

- Piwnica? Czy był w piwnicy?

- Tak, on, dwóch innych, a także niejaki Sam Hawkens. Spójrzcie, woła do środka zaklinacza diabłów! Teraz wywiedzie go w pole.

- Skąd wiesz?

- Słyszałem. Ale oto i nasz zaklinacz. Słuchajcie!

Stary podniósł głos. Dick i Sam nie rozumieli oczywiście ani słowa i Sam -musiał im wszystko tłumaczyć.

- On mówi, że na skutek wypowiedzianego przez niego zaklęcia diabeł i jego babka uciekli do budynku rządowego i tam ze strachu ulotnili się przez komin. Niebezpieczeństwo dla ich kochanego miasta zostało zażegnane i można się spokojnie rozejść do domów. Patrzcie, ludzie żegnają się potrójnym znakiem krzyża i rzeczywiście opuszczają plac! Oto, jak załatwia się takie sprawy w tym szczęśliwym kraju. W Ameryce zatłukliby go na śmierć, albo powiesili na najbliższym drzewie, hihihih!

- Idziemy stąd?

- Nie. Pan rotmistrz na pewno wda się zaraz w pogawędkę z oboma wartownikami. Chciałbym posłuchać, co powie.

Sam Hawkens nie pomylił się. Jeszcze zanim tłum całkowicie się rozproszył, rotmistrz ponownie wyszedł z domu. Kiedy ujrzał trójkę Amerykanów, których przywódca tak szorstko potraktował go podczas wczorajszego balu, uznał, że należy wzbudzić w nich więcej szacunku dla siebie i w tym celu posłużył się godnymi pożałowania wartownikami.

Przejechał każdemu z nich kilka razy pejczem po grzbiecie wrzeszcząc przy tym:

- Macie, psy! Już ja was nauczę zaniedbywania obowiązków! To wasza wina, że diabeł i jego babka uwolnili więźnia! A to macie za karę! - piniąc się ze złości wymierzał im cios za ciosem. - Staliście już całą noc i postoiście jeszcze do wieczora, bez jedzenia i picia. A potem dostaniecie po sto batów na gołe plecy!

- Ojczulku! - jęczał jeden. - Przecież umrzemy! Tak długo stać, a potem jeszcze sto batów, och, tego nikt nie wytrzyma!

Rotmistrz roześmiał się grubiańsko.

- Takich jak wy nie szkoda! Wasze mięso każę rzucić wilkom na pożarcie.

- Łaski!

- Milcz, bo każę cię związać na godzinę przed chłostą i nasypać wam pieprzu do oczu!

j

Kozacy zamilkli przerażeni. Rotmistrz odszedł z podniesioną głową rzucając nienawistne spojrzenie na myśliwych z prerii.

- Sto batów! - - zawołał oburzony Dick Stone, kiedy Sam Haw-kens przetłumaczył naprędce słowa rotmistrza. - Mój dobry Samie, jakby to było, gdyby on sam je otrzymał?

- Zobaczymy!

- I pieprz do oczu! Ucieszyłbym się, gdyby choć raz doświadczył swoich rozkazów na własnej skórze - dorzucił Will.

- Może nam się to uda, albo przynajmniej coś podobnego. Sam Hawkens pomaszerował wolno w stronę kozaków.

- Dobrzy ludzie - zaczął, - słyszałem, co rotmistrz do was mówił. Czy naprawdę to zrobi?

- Możesz być pewien.

- To oznaczałoby dla was śmierć!

- Cóż my, ojczulku, możemy na to poradzić? Musimy się z tym pogodzić.

- Mówisz to tak ulegle?

- Mam płakać? To nic by nie zmieniło.

- Czy nie ma ani jednego człowieka, który by was oplakiwał? Oczy kozaka zrobiły się wilgotne.

- Moja stara, dobra mateńka, och, zapłacze się na śmierć! I moja Marianka umrze, serce jej pęknie.

- Czy Marianka to twoja narzeczona?

- Tak. Od dwóch lat jestem żołnierzem i miałbym jeszcze do odsłużenia osiem. Marianka miała na mnie czekać, żebyśmy się mogli pobrać. Teraz wszystko przepadło. O Boże, zatłuką mnie jak psa!

Drugi kozak także przejechał ręką po oczach.

- A ty? - spytał go Sam Hawkens. - Czy też masz narzeczoną?

- Tak, ojczulku, moją słodką Ruszinkę. Ona jest bardzo biedna, a mimo to żywi moje małe rodzeństwo, ponieważ moi rodzice umarli.

- To dzielna dziewczyna, jeśli się nie mylę.

- Och! - zaszlochał. - Mój towarzysz ją zna, jesteśmy z jednej i tej samej wsi. Będzie dobrą matką dla sierot.

Słowa tych prostych ludzi poruszyły go do żywego. Sam zawrzał świętym gniewem.

- Do diabła, czyżbyście chcieli bez oporu poddać się temu nieludzkiemu wyrokowi?

Na waszym miejscu próbowałbym ucieczki.

- Ojczulku, nic nie rozumiesz. Przecież złapaliby nas i byłoby jeszcze okropniej niż przedtem.

- Ale musi przecież istnieć jakaś możliwość, żeby was ochronić przed nadużyciem władzy!

- Nie.

• - Mimo wszystko spróbuję wam pomóc.

Kozak zmierzył Sama Hawkensa od stóp do głów i leciutki uśmiech przemknął po jego twarzy.

- Wybacz mi, ojczulku! Nie wyglądasz na kogoś, kto mógłby nam pomóc.

- Tak myślisz? Hm! Czy u was każdy musi służyć w wojsku?

- Nie. Tylko ten, na którego padnie los. A kto ma pieniądze, może opłacić sobie zastępcę.

- Ile kosztowałby taki zastępca?

- Za dwieście rubli można by było kogoś znaleźć, ale za trzysta zgłosi się tylu, ilu się chce.

- Jak się za to zabrać!

- Trzeba powiedzieć o tym policjantowi. Jak mu się da pięć rubli, to za pół godziny przyprowdzi dziesięciu ratników.

- Co to za ludzie?

- Młodzi mężczyźni w wieku poborowym, którzy nie zostali wylosowani.

- Gdzie zawiera się taką umowę?

- U rotmistrza.

- A jeśli odrzuci tych ratników?

- Nie może tego zrobić, jeśli tylko nadają się do służby.

- Powiedzcie mi wasze nazwiska, chcę je sobie zapisać!

- Po co?

- Dowiecie się tego jeszcze przed śmiercią, hihihih!

Sam zapisał sobie nazwiska i odszedł bez jakichkolwiek wyjaśnień, a kozacy patrzyli zaniem kiwając głowami. Kiedy ponownie znalazł

się obok swoich towarzyszy, cała trójka stanęła za drewnianym płotem, gdzie mogli rozmawiać nie obserwowani przez nikogo.

- Opowiem wam, co podsłuchałem w piwnicy - oznajmił Sam i złożył przyjacielom wyczerpującą relację ze swej niedawnej przygody.

- A więc kozak Numer Dziesięć to Adlerhorst!

- To już wiedzieliśmy - powiedział Will Parker.

- Ale jego ojczym też tu jest i hrabia Polikow chce go odnaleźć. Musimy temu absolutnie przeszkodzić. Każemy pojmać tego łajdaka.

- Czyżby naczelnik miał to zrobić?

- Oczywiście.

- Jesteś niepoprawnym żółtodziobem. Przecież isprawnik jest jego współnikiem!

- Ale my mamy przecież nasze dobre paszporty!

- Mimo to na pewno znalazłby jakiś sposób, żeby nas oszukać.

- To w ogóle nie chcesz przeszkodzić mu w wyjeździe?

- W najmniejszym stopniu.

- Ależ zastanów się tylko, Sam, co będzie, kiedy hrabia dopadnie Wasylkowicza.

Zabije go bez zbędnych ceregieli.

- Tak szybko się nie zabija!

- A kozak Numer Dziesięć, czyli Gotfryd von Adlerhorst, pojechał tą samą drogą i towarzyszy mu jedynie ten Buriat, Gisa. Co się stanie, jak hrabia go spotka?

- Temu nie mogę zapobiec.

- Dojdzie do bijatyki.

- Hm. W każdym razie nie możemy się dać ponieść emocjom. Musimy poczekać tu na mister Hermana. Prawdopodobnie nadjedzie już jutro. To by wystarczyło. Niech sam zadecyduje, co mamy dalej robić, ponieważ cała ta sprawa dotyczy głównie jego.

Początkowo Dick i Will nie zgadzali się z Samem, jednak kiedy im wszystko wyjaśnił, przyznali mu w końcu rację.

- A więc ten łajdacki naczelnik sam jest zbrodniarzem - Will nie posiadał się ze zdumienia. - Przydałoby się wytargać go porządnie za czuprynę.

- Pozostawmy i to mister Hermanowi. Tymczasem dam mu przedsmak przyszłej szczęśliwości. Powinien wiedzieć, że jego samowola ma jednak jakieś granice.

- A jak chcesz się do tego zabrać?

- Zaraz zobaczycie. Oto nadchodzi ktoś, kogo potrzebuję do tego celu.

- Policjant? Czego od niego chcesz?

- Powiem wam, jak tylko to z nim załatwię.

Policjant wyszedł z sąsiedniego domu i właśnie ich mijał. Miał potężną brodę i nos, który można było zobaczyć dopiero po dłuższej obserwacji jego twarzy. Było to absolutne przeciwieństwo pełnego godności organu powonienia należącego do Sama Hawkensa, nosa, który przyniósł swemu właścicielowi wojenne przezwisko Tszikone, Świecący Nos. Ten syberyjski policjant posiadał najśliczniejszy perkaty nosek, który sterczał mu milutko pod prostodusznymi oczkami. Nie można znaleźć bardziej trafnego określenia niż „milutko”. Ale nosek miał kolor sinoczerwony, może mniej z powodu przemrożenia, co raczej dzięki temu, że jego właściciel kochał dobrą wódkę.

Pozdrowił uprzejmie mijanych mężczyzn.

- Stój, ojczulku! - zawołał Sam. - Czy miałbyś czas odpowiedzieć mi na jedno pytanie?

Strażnik porządku zatrzymał się, patrzył przez chwilę na trapera, po czym poufale obmacał mu boczne kieszenie.

- Masz przy sobie flaszeczkę, ojczulku?

- Nie.

- No to nie mam czasu.

Zamierzał odejść, ale Sam złapał go za rękaw.

- Masz apetyt na łyczek wódki?

- Zawsze.

- No to możemy chyba temu zaradzić.

- To chodź ze mną!

Milutki nosek powtórnie się odwrócił, jednak traper trzymał go mocno, sięgnął do kieszeni i pokazał mu rubla.

- Ile wódki za to dostaniesz?

- Święta Kalinko! Więcej niż mogę wypić w ciągu godziny!

- Należy do ciebie.

Policjant złapał prędko monetę i wrzucił do obszernej kieszeni swoich spodni.

- Ojczulku, morowy chłop z ciebie! - promieniał z radości. - Czym mogę ci sprawić przyjemność?

- Tym, że wykonasz pewne zlecenie. Czy można tu znaleźć ratni-ków?

- Pewnie. Jest wielu takich, którzy nie wyciągnęli losów i potrzebowaliby parę rubelków. Znam ich wszystkich.

- Czy są wśród nich ludzie, którzy daliby się zwerbować na zastępców?

- Tak jest. Ilu chcesz, pięciu, dziesięciu czy dwudziestu?



- Tylko dwóch.  
- Ale chyba nie za siebie albo za tych dwóch długich ojczulków?  
- Nie. Za dwóch moich znajomych.  
- Ile latek muszą jeszcze odsłużyć?  
- Tylko osiem - roześmiał się Sam Hawkens. - Ile musiałbym zapłacić za to zastępstwo?

- Jak będziesz hojny, to dasz każdemu po dwieście pięćdziesiąt rubli.  
- Tyle mogę zapłacić.  
- W takim razie mogę ci wyszukać dwóch najzdatniejszych. Mam do nich iść?  
- Proszę cię o to.  
- Dobrze. Mam iść teraz? Zaraz?  
- Oczywiście!  
- Nie mogę.  
- Dlaczego?  
- Bo zapomniałeś o najważniejszej rzeczy.

Policjant przybrał bardzo godną minę i wskazał palcem na siebie. - .O mnie!

- Tak, masz rację. Ty jesteś tu najważniejszy. Ile żądasz, pod warunkiem, że handel dojdzie do skutku?

- Jesteś szczodrym, szlachetnym ojczulkiem, dlatego i ja będę szlachetny. Za każdego zapłacisz mi trzy ruble, razem sześć.

- Sześć rubli?

- Czy to dla ciebie za dużo? Och, tak mi przykro! - narzekał \* policjant.

- Nie. Nawet za mało. Dam ci za każdego pięć, a więc razem dzie- < sieć rubli.

v Przerażony policjant sięgnął do milutkiej ozdoby swego oblicza, '» jak gdyby chciał się upewnić, czy dobrze słyszał i nie śni. Potem po- Jj rwał dłoń Sama i ucałował ją żarliwie.

l - Tak, tak. ojczulku, od razu wiedziałem, jesteś wielkim panem "l i dobrze cię obsłużę.

- A oprócz tego zapłacę za to, co wypijesz dzisiaj z tamtymi dwoma.

Mężczyzna gapił się przez chwilę w uśmiechniętą twarz trapera.

- Mówisz poważnie? - wypytywał niepewnie.

- Tak.

- Jestem uczciwym człowiekiem i muszę cię o coś spytać: Czy ty wiesz, ile może wypić trzech takich mężczyzn jak ja?

- Mogę to sobie wyobrazić. Myślę, że pijecie dotąd, aż leżycie pod stołem.

- Widzisz, że nie wiesz? Pijemy jeszcze pod stołem!

- Cieszę się.

- I rzeczywiście chcesz za to płacić?

Pokonany przez tak wielką ojcowską dobroć, jakiej nie zakosztował dotąd w całym swoim życiu, strażnik syberyjskiego prawa rozłożył ramiona, przyciągnął Sama Hawkensa do piersi i cmoknął aż się rozległo:

- Ojczulku, kochaneńki, serduszko! Jesteś aniołem wśród ludzi, wybawcą z wszelkiego utrapienia, pocieszycielem smutnych, zbawicielem wszystkich.

- Już dobrze! - uspokajał Sam upojonego radością policjanta, skoro tylko udało mu się wyrwać z jego czułych objęć i przesunąć na właściwe miejsce kapelusz wraz ze skalpem. - Zapłacę i na tym koniec! Ale nie jestem zobowiązany do przyjmowania twoich pocałunków. Zatrzymaj je dla siebie! Jeszcze tylko jeden warunek: nie wypijecie ani łyka, zanim nie zawrzemy umowy u rotmistrza!

- Och, to będzie trudne!

- Muszę przy tym obstawać.

- Jeśli tak rozkażesz, to oczywiście musimy posłuchać. Ale mnie chyba pozwolisz przepić wcześniej mojego rubla?

- Nie. Mógłbyś się opić. Policjant zrobił zatroskaną minę.

- Ojczulku, jakżesz ty mnie obrażasz! - powiedział z wyrzutem. - Za rubla dostanę tylko trzy flaszeczki wódki. Jak mogę się tym upić? To nawet nie wystarczy, żeby zaspokoić pragnienie niemowlęcia.

- Do pioruna! Ależ wy macie na tej Syberii chwackie niemowlęta, hihihih!

- Czy u was maluchy nie dostają wódki?

- Nie.

- Biedne dzieci!

- To jest nawet prawnie zabronione.

- Cóż to za zły rząd! Nieprawda ojczulku? Car u was nie rządzi?

- Nie.

- Tak też myślałem. On ulitowałby się nad tymi biednymi robaczkami. A więc wolno mi przepić tego rubla?

- Nie, w interesach lubię trzeźwość. Przyrowadź dwóch ratni-ków, a potem możesz chlać, aż ci się wódka będzie wylewała wszystkimi porami!

- Słucham. Dokąd mam ich przyrowadzić?

- Do gospody. Przyjdę tam za pół godziny.

- Dobrze, ojczulku, już biegnę!

Odszedł kilka kroków, po czym zatrzymał się i wrócił.

- Wybacz, ojczulku! Mam żonkę, dobrą, zgodną kobietę. Ona też bardzo lubi wódkę.

Czy może z nami pić?

- Niech pije.

- Dziękuję ci! Jesteś słońcem łaski i hojności. Już biegnę! Ale znów zawrócił.

- Mój dobry ojczulku, twoje serce chyba nie zechce, żeby ta, która nie zasłużyła sobie na żadną krzywdę, nic nie dostała. Mam córeczkę z policzkami jak syrop i oczami okrągłymi jak owoce dzikiej tarniny. Czy ją też...?

- Ile ma lat?

- Piętnaście wiosen i szesnaście jesieni.

- Czy może ona pije za każdą wiosnę i za każdą jesień po fla-szczeczce?

Policyjny czciciel wódki zastanowił się.

- Jak ma duże pragnienie, to potrafi tyle wypić, jeżeli jej troszkę pomogę!

- Do pioruna! Czy masz jeszcze kogoś, kto ma tak spragnioną wątrobę?

- Moją teściową, dobry ojczulku; matkę mojej zoneczki.

- Ona też tyle pije?

- Och, więcej niż ja, szczególnie, gdy ma zły humor! A ma go zawsze.

- No to przyprowadź ją także !

- Ojczulku, brakuje mi słów, żeby ci powiedzieć, jak cię kocham! Ale chcę cię... - przy tym od nowa rozłożył ramiona oraz przybliżył swój milutki nosek na niebezpieczną odległość od brody Sama Haw-kensa.

- Już dobrze! - bronił się mały traper i uskoczył w bok.

- Moja żona będzie cię szanować...

- Bardzo pięknie!

- Moja córka kochać...

- Jeszcze piękniej!

- A moja teściowa uściska cię, żeby ci wyrazić nasze zobowiązanie i wdzięcz...

- Wypraszam to sobie! Zmykaj stąd, przyjacielu! Jeżeli jeszcze raz zawrócisz, to odwołam moje zlecenie i nie zafunduję wam wódki!

- Niech Bóg broni! Biegnę, śpieszę, pędzę! Załatwię wszystko za pół godziny

Pognał, jakby chodziło o jego życie.

Sam Hawkens splótł ręce na brzuchu i chichotał patrząc za odchodzącym.

W końcu Will Parker trącił go niecierpliwie.

- Czy bybyś tak dobry i wyjaśnił nam, jaki to handel skuteczniałeś z tym stróżem prawa i dlaczego tak prędko się oddalił? - spytał. - Wiesz przecież, że nie rozumiemy po rosyjsku. Jedyne słowo, które zrozumiałem, to wódka.

- No, prawdziwy myśliwy z prerii nie potrzebuje wiele więcej, żeby odgadnąć resztę, hihihih!

- Najpierw nam pokaż, jak się to robi! Poza tym nie powinieneś się tak pysznić tymi paroma okruchami języka, które umiesz To nie po koleżeńsku. Zrozumiałeś mnie?

- Słuszajusj!

Will obrzucił Sama nieufnym spojrzeniem, po czym zwrócił się do do Dicka Stone. »

- Wiesz może, co on powiedział?

- Nie mam pojęcia.

- A może to jakieś wyzwisko?

- Możliwe.

- Ty, na to sobie nie pozwolę. Ja bym... ja bym... hm...

- Hihihih! - zachichotał Sam. - Co byś zrobił? Ale nie denerwuj się! Wszystko ci wyjaśnię. Pytałeś mnie, czy cię rozumiem, a ja ci odpowiedziałem: Słuszajusj] To po prostu znaczy „Rozkaz”, jeśli się nie mylę.

- Well - powiedział Will udobruchany, - to mi się nawet podoba.

- Jesteś teraz zadowolony, stary szopie?

- Tak, drogi Samie. Ale..

- Chciałbyś wiedzieć, o czym tak rozprawiałem z policjantem? Zaraz się dowiedzie.

I opowiedział pokrótce przebieg rozmowy ze spragnionym stróżem porządku w Wierchnieudinsku.

- Lack-a-day\ - rzeki Will. - Cóż to za społeczeństwo! To wykracza przecież poza wszelkie amerykańskie pojęcia!

- Tak. Sprawimy sobie tę przyjemność i odwiedzimy całe towarzystwo, kiedy zasiądzie już przy butelce

- Ale będziesz musiał płacić!

- To nic. Mam przecież tanie pieniądze, dwa tysiące rubli! Chcę oddać te banknoty prawowitym właścicielom. Domyślcie się już moich zamiarów?

- Wiem, kto dostanie te pieniądze - powiedział Will. - Sam, jesteś nie tylko sprytny, ale i dobry. Chcesz wykupić tych wartowników sprzed więzienia. Mam rację?

- Hihihih, trafiłeś! Porozmawiam z tym panem rotmistrzem aż włosy staną mu dęba. On mi... słuchaj, turkot wozu, tam trzeba patrzeć!

Skrećili za róg w samą porę, aby ujrzeć jak hrabia Polikow odjeżdżał dwoma wozami w towarzystwie dziesięciu konnych kozaków.

- Tyleśmy go widzieli! - odezwał się Dick, a Will dorzucił potrząsając głową:

- Chciałbym siedzieć za nim, żeby móc mu patrzeć na ręce.

- Zostaw go! - zachnął się Sam. - Nie zginie nam. Najpierw sprawdźmy, czy w tym szczęśliwym mieście istnieje coś takiego jak bank. Chciałbym rozmienić moje banknoty na drobne.

- Aha, teraz rozumiem - odezwał się znów Will, którego bawiło odgrywanie szczwanego lisa, - pan naczelnik nie powinien nic zauważyć!

- Tak jest, mój synu! - pochwalił go mały traper. - Być może naczelniczek nie odkrył jeszcze swojej straty, ale gdybym mu podstawił pod nos banknoty tysiącrublowe jako wykup za kozaków, mógłby nabrać podejrzeń. Oprócz tego potrzebuję drobnych jeszcze w innym dobrym celu. W gospodzie na Sama Hawkensa, szlachetnego fundatora, czekają bardzo sprawgnione gerdła. Nie możemy pozwolić, żeby zbyt długo czekali. Chodźcie!

## Wódka i knut

Przyjaciele nie znaleźli wprawdzie w Wierchnieudinsku banku z prawdziwego zdarzenia, natrafili jednak na kantor, w którym Sam wymienił oba banknoty rysiácrublowe na pięćdziesięciórublowe, po czym zaprowadził Dicka i Willa do gospody.

Tutaj siedział już policjant z dwoma młodymi, silnymi mężczyznami. Sumiennie przyprowadził też z sobą żonę i córkę, natomiast teściową wolał chyba zostawić w domu.

Kiedy stróż prawa ujrzał wchodzących, wstał z miejsca.

- Ojczulku, to są ci dwaj mężczyźni, których zwerbowałem. Będziesz zadowolony zarówno z nich jak i ze mnie.

- Zobaczymy. Mogą okazać jakieś dokumenty?

- Tak. Przynieśli ze sobą papiery zwalniające ich ze służby wojskowej. Tak więc są rzeczywiście ratnikami.

- Pokażcie

Młodzi ludzie podali Samowi swoje dokumenty i chociaż maty traper nigdy dotąd nie miał okazji na dobre oswoić się z rosyjskim pismem, to jednak jego umiejętności wystarczyły do odcyfrowania kilku słów. Resztę odgadł z pomysłowością zawodowego tropiciela śladów. Wkrótce dobito targu. Traper uzgodnił z rolnikami uczciwą cenę i poprosił, aby natychmiast udali się wraz z nim do rotmistrza.

- Ależ ojczulku - przypomniał mu policjant, - co z wódką, którą nam obiecałeś?

- Dostaniecie ją.

- A moje pieniądze?

- Zapłacę dopiero wtedy, gdy doprowadzę sprawę do końca.

- Masz rację, ale my jesteśmy spragnieni. Mamy czekać tak długo?

- Kaźcie podać sobie narazie jedną flaszeczkę!

- Jedną, jedyłą? Czy moja słodka żoneczka ma umrzeć z pragnienia i moja córka wraz z nią?

- Myślę, że to wam wystarczy, zanim wrócę.

- Wystarczy? - zawołał rozczarowany policjant.

- No, mój drogi wielbicielu wódki, czy te buteleczki tam nie są wystarczająco duże?

Mówiąc to wskazał na szynkwasy, gdzie stała pokaźna ilość pełnych butelek.

- Duże? O dobry ojczulku, czy mam ci pokazać, jakie one duże?

- Tak.
- Ale ty płacisz?
- Oczywiście.
- Zaraz zobaczysz!

Policjant wziął ze stołu-butelkę, przyłożył ją do ust i opróżnił do połowy, po czym mlasnął językiem i wywrócił oczyma.

- To jest napój! Cztery takie flaszeczki na godzinę! To byłoby niebo!
- No, nie chcę być okrutny. Weź sobie jeszcze jedną na zapas i daj też swojej słodkiej żoneczce i córce po jednej!

Tego nie trzeba było temu dzielnemu człowiekowi powtarzać dwa razy. Trzymając lękliwie „zapas” w lewej ręce, prędko opróżnił pierwszą butelkę. Kobiety nie śpieszyły się aż tak bardzo, ale ciągnęły tak dobrze, że najprawdopodobniej wkrótce nie miały już ani kropli.

Sam pokręcił z niedowierzaniem głową i wraz ze swoimi dwoma towarzyszami oraz ratnikami udał się w drogę. Przyjaciele kroczyli wolno i z godnością, a kozacy dreptali tuż za nimi. Trzej myśliwi wzbudzali ogólne zainteresowanie przy każdym ognisku nawet na Dzikim Zachodzie, a cóż dopiero we wschodnich rejonach Syberii. Mały traper i jego dwaj wysocy jak drzewa przyjaciele tak bardzo odcinali się od otoczenia, że przyciągali spojrzenia wszystkich napotkanych ludzi, ale nie przejmowali się tym.

Przy drzwiach budynku rządowego służący spytał, czego sobie życzą.

- Chciałbym rozmawiać z rotmistrzem - odparł Sam Hawkens. Służący zmierzył - westmana trwożliwym wzrokiem. W Wierchnieudinsku szybko się rozniosło, że z tym małym nie warto zadzierać.

- Czego od niego chcesz? - spytał ostrożnie.
- Coś, czego nie musisz wiedzieć, braciszku. - - W takim razie nie mogę cię zameldować.
- Możesz robić, co ci się podoba. Ja w każdym razie idę do niego.
- Niezaanonsowanym nie wolno.
- Kto mi tego zabroni?
- Ja. Tak brzmi regulamin.
- Pięknie. Rzetelnie spełniłeś swój obowiązek i możesz z czystym sumieniem odmaszerować! - powiedział Sam spokojnie, bez dalszych ceregieli odsunął wartownika i wraz z przyjaciółmi i ratnikami wkroczył do sieni.

Cóż mógł począć ten biedny człowiek, któremu powierzono ochronę domu? Nie odważył się na otwarty opór, lecz zaczął wołać i krzyczeć.

Wtem jakieś drzwi otwały się gwałtownie i do sieni wpadł ispraw-nik.

- Co to za hałasy?

- Ci ludzie chcą się dostać do pana rotmistrza - wyjaśnił pokornie sługa.

- Nie można z nim rozmawiać.

- Mówiłem im to już, ale oni wciskają się na siłę.

- Do kata! Kto się na to poważyl w moim domu? '

- Nie pleć bzdur, drogi ojczulku! - roześmiał się Sam Hawkens. - Ten dom wcale nie należy do ciebie, lecz do cara. A więc nie.można rozmawiać z twoim synem?

- Nie. Nie ma dla was czasu.

- Zaraz sprawię, że go znajdzie. Gdzie jest?

- Nic was to nie obchodzi.

Sam Hawkens uderzył z hukiem o podłogę kolbą swojej starej Lid-dy.

- Człowieku, pytam, gdzie on jest! - krzyknął z groźbą w oczach.

- W swojej izbie - odrzekł isprawnik spuściwszy nagle z tonu, bo przypomniał sobie wystąpienie Sama podczas balu. - Myślę, że zasnął na chwilę.

- Rozumiem, po zmęczeniu ostatniej nocy! Mimo to będziemy mu musieli przeszkodzić. Przychodzimy w sprawach służbowych.

- A ja już myślałem...

- Co myślałeś, ojczulku?

- Och, nic takiego!

- No to nie zatrzymuj nas niepotrzebnie - przemawiał Sam bardzo uprzejmie.

Dobrze wiedział, że naczelnik miał na myśli niezalatwione jeszcze wyzwanie i chciał go trochę postraszyć.

- Śpieszy nam się - kontynuował natarczywie. - Obstawę przy tym, żebyś natychmiast zaprowadził nas do swojego syna.

Isprawmk przełknął swój gniew i uznał, że lepiej będzie ustąpić.

- Chodźcie!

Otwarł drzwi i wpuścił do środka nieproszonych gości. Rotmistrz siedział na sofie, z ust niedbale zwisało mu cygaro.

- Ach! - powiedział Sam Hawkens. - Byliśmy dla niego niesprawiedliwi. On przecież nie śpi. Przeciwnie. Widać, że jest bardzo zajęty. Dzień dobry!

Oficer skoczył na równe nogi i zmierzył małego traperę wściekłym spojrzeniem.

- Czy wam nie powiedziano, że nie mam czasu? Dlaczego mimo to wtargnęliście tutaj?



Sam Hawkens nie dał się zbić z tropu.

- Przychodzimy w pilnej sprawie służbowej - powiedział spokojnie. - Wyjaśniłem to już twojemu ojcu, naczelnikowi. Chcesz czy nie chcesz będziesz nas musiał wysłuchać.

- Teraz nie pora na to. Nikogo teraz nie przyjmuję - odpysknął rotmistrz.

Nic to jednak nie pomogło. Mały traper tracił powoli cierpliwość.

- Tak? - spytał. - No to kiedy? W nocy tkwisz w strażnicy, a w dzień śpisz. Kiedy można załatwiać z tobą sprawy służbowe? Powiem ci coś, jak mnie natychmiast nie wysłuchasz, to wyślę list do Irkucka, do gubernatora, jeśli się nie mylę. No to krótko! Masz czas, czy mam napisać list?

Zachowanie Sama było tak pewne siebie, że rotmistrz nie odważył się mu dłużej przeciwstawić.

- Wejdźcie do środka! - burknął.

Przyjaciele weszli uśmiechając się zwycięsko, a za nimi ratnicy. W chwilę później do pokoju wsunął się również naczelnik. Chciał usłyszeć, jaką to sprawę do jego złotego synka mają ci trzech wicherzyciele.

- Co tu robią ci dwaj? - spytał rotmistrz grubiańsko.

- To ratnicy. Chcą zastąpić na służbie dwóch innych. Dlatego przychodzimy z tym do ciebie.

- Kto im płaci?

- Ja. Proszę o sporządzenie odpowiednich papierów!

- Kim są ludzie, których mają zastępować?

- Proszę, sprawdź najpierw, czy ci dwaj mogą zostać przyjęci!

- - Znam ich. Obaj się nadają. Żebyście zrozumieli, że mimo wszystko jestem wam przychylny, przyjmę ich w nadziei, że i wy oddacie mi drobną przysługę.

- Jakiej przysługi oczekujesz od nas?

- Milczenia na temat tej historii z diabłem - szepnął do Sama, żeby ratnicy nic nie usłyszeli.

- Jeżeli sam nie dasz nam ku temu powodu, nie piśniemy o tym ani słowa.

- W takim razie doszliśmy do porozumienia, pod warunkiem, że okażesz się rozsądnym także w innej sprawie.

- Zawsze jestem rozsądny.

- Dobrze. Trzymam cię za słowo. A teraz sporządzimy wreszcie umowy. Ci dwaj muszą je podpisać, a ja potwierdzę.

Wyjął ze skrzynki dwa druki, sięgnął po pióro i zaczął wypełniać rubryki od czasu do czasu zadając ratnikom pytania. Kiedy doszedł do nazwisk tych, których mieli zastępować, jeden z ratników pokazał na trapera.

- Tego jeszcze nie wiemy. Ten ojczulek powie ci to.

- Pięknie, a więc nazwiska! - zażądał rotmistrz patrząc na Sama.

- Znasz je na pewno - zachichotał Sam chytrze. - To ci dwaj wartownicy, którzy dziś w nocy stali przed więzieniem.

Na te słowa rotmistrz podskoczył jak sprężyna.

- Ci? To niemożliwe! Tych nie mogę puścić! Kto mógł wiedzieć, że chodzi ci akurat o tych dwóch!

- Jak chcesz. W takim razie cały Wierchnieudinsk dowie się za pół godziny, kim były te dwa diabły. Usłyszysz o tym nawet gubernator. I niech sąd honorowy rozstrzygnie, czy człowiek, który ośmieszył się w taki sposób, może w dalszym ciągu pozostać oficerem.

- Ale... ale... - jękał się rotmistrz, - zrozum przecież, że ci dwaj muszą zostać ukarani!

- Nie mam nic przeciwko temu. W ten sposób zatrzymam moje pieniądze, ty jednak stracisz swoją rangę.

Wzburzony rotmistrz przemierzał pokój tam i z powrotem. Nie mógł się zdecydować, aż Sam Hawkens podniósł się zniecierpliwiony.

- Nie mogę już dłużej czekać. Albo, albo! Wypełnisz te papiery?

- W imię diabła, tak!

- I wartownikom nic się nie stanie?

- Nie.

- I mogą bez przeszkód wrócić w ojczyste strony?

- Nawet do piekła!

- Tam byłoby im troszkę za gorąco. Syberyjski kozak nie jest przyzwyczajony do takiego upału, hihihii! Bądź tak dobry i każ ich zawołać!

- Można to załatwić krócej.

Rotmistrz otworzył okno i przywołał kozaków. Pojawili się strwożeni i drżący, ponieważ byli przekonani, że teraz właśnie zostanie wykonana ta straszliwa kara. Dopiero, gdy zobaczyli trapera, wstąpiła w nich otucha, ponieważ obiecał im przecież pomoc.

- Chodźcie tu, psy - warknął na nich oficer. - Groziły wam baty, ale zlitowałem się nad wami i daruję je wam.

- Bzdury! - wtrącił się Sam. - Nie strój się w obce piórka! Pośpiesz się z tymi umowami i nie mów nic, co nie opierałoby się na prawdzie!

Rotmistrz przełknął z wysiłkiem przekleństwo, sięgnął ponownie po pióro i podczas pisania tylko od czasu do czasu rzucał niezbędne pytania.

Obaj kozacy nie mieli pojęcia, o co tu chodzi. Do błęgiego szczęścia wystarczyło im samo darowanie kary.

- Tak! A teraz podpiszcie! - nakazał oficer. - Tu jest pióro! A kto nie umie pisać, postawi w miejsce swojego nazwiska krzyżyk.

Oczywiście nie można było nazwać tej czynności umiejętnością pisania, jednak kozacy nauczyli się chociaż tyle, że byli w stanie nagryzmolić na papierze swoje nazwiska. Kosztowało ich to tyle trudu, że z wysiłku pot wystąpił im na czoło. W końcu rotmistrz podpisał oba dokumenty i zwrócił się do kozaków.

- Wiecie, coście podpisali? Potrząsnęli przecząco głowami.

- Wy głupie psy! A to dobre! Podpisują, a iu'e wiedzą, co? Ludzie, zostaliście zwolnieni z wojska! Nie musicie dalej służyć!

- Święta Matko Boska z Kazania! Zwolnieni z wojska, kto nas wykupił? - i odwróciwszy się do Sama Hawkensa: - Chyba nie ty, ojczulku?

Sam tylko skinął głową uśmiechając się chytrze. Obaj gapili się na niego przez chwilę. Nie przypuszczali, że pod tą powierzchownością kryje się bogacz, który ma taki nadmiar pieniędzy, iż wykupuje od wojska dwóch absolutnie obcych sobie kozaków.

- Ty, rzeczywiście ty? - pytał wnuk owej słynnej babki, która pierwsza ujrzała ducha pod postacią żaby.

- No tak! - śmiał się Sam i naraz zrobiło mu się gorąco pod peruką. Zdjął stary filcowy kapelusz wraz ze skalpem i położył go na stole. Wszyscy oprócz dryblasów gapili się na przemian to na jego kapelusz, to na jego czerwoną, łysą czaszkę, ale Sam zdawał się tego nie zauważać. - Tu macie wasze zaświadczenia o wykupieniu was ze służby i jak długo te papiery będą w waszych rękach, nikt nie ma prawa powołać was do wojska. Pokażcie je w domu waszemu popu i pytajcie go o radę, w razie gdyby ktoś się was czepiał! Jak daleko macie do domu?

- Kilka dni marszu.

- To musicie sobie kupić konie, do tego karmę dla zwierząt i żywność dla was.

- Ojczulku, łatwo ci mówić, ale my nie mamy pieniędzy.

- To niedobrze. Nie możecie ich skądś dostać? Powiedzcie to tutaj waszemu dobremu rotmistrzowi! Musi wam przecież dać, czego potrzebujecie!

- Tak, zrobię to - roześmiał się rotmistrz ochryple. - Dostaną tyle, aż im oko zbieleje! Jak się pośpieszą, za trzy dni będą w domu. Dlatego wypłacę im żołd za trzy dni i każę dać im komiśnego chleba.

- Nic więcej? Na szczęście żaba miała więcej zrozumienia.

- Jaka żaba?

- Duch. Wicie przecież, co mam na myśli? Pytanie to Sam skierował do kozaków.

- Czyżbyś mówił o tej żabie... - wyjąkał wnuk babki, - ... która strzeże skarbu?

- Tak.

- Ojczulku, mów szybko, szybko! Co o niej wiesz?

- Chcielibyście się dowiedzieć, hihihhi! A więc pokrótce: żaba zwierzyła mi się, że strzegła skarbu, który mogą wykopać jedynie kozacy. Dzisiejszej nocy o mały włos poszczęściłoby się dwóm takim, gdyby im ktoś w ostatniej chwili nie przeszkodził.

- Słyszałeś? - spytał wnuk swego towarzysza. - Mówiłem prawdę!

- Zdziwiałe! - stęknął ten drugi. - Mów dalej, ojczulku!

- Żabie zrobiło się was żal, bo jesteście dobrymi ludźmi i chcieliście poczęstować ją wódką.

- On wie wszystko, naprawdę wszystko! - szepnął pierwszy kozak.

- Na końcu naszej pogawędki żaba zniknęła i powróciła z kilkoma banknotami pięćdziesięciurublowymi. Jej ostatnie słowa brzmiały: „Weź te pieniądze! Znajdziesz dwóch silnych ratników, którzy zastąpią na służbie tych dwóch kozaków i zapłacisz im. A co zostanie rozdzielisz pomiędzy nich, żeby mogli kupić sobie konie. Niech jadą do domu i żenią ze swoimi ukochanymi.”

Sam Hawkens zakończył swoją fantastyczną opowieść. Opowiadał ją w karkołomnej ruszczyźnie, za to z tym większą powagą. Naczelnik milczał cały czas, a i rotmistrz nie przerywał małemu traperowi. Patrzyli na niego, jakby wątpili w jego władze umysłowe.

Ale ratnicy i kozacy nie spuszczaali oka z ust trapera wierząc w każde jego słowo. Szczególnie obaj poszukiwacze skarbów stali przejęci dziwnym dreszczem. Gdy Sam skończył, wnuk odezwał się:

- O wszyscy święci! Rzeczywiście dała ci dla nas pieniądze?

- Same pięćdziesięciurubłówki.

- Mój Boże! Ile ich jest?

- Zaraz zobaczymy. Ale coś mi jeszcze przyszło do głowy. Żaba postawiła warunek, o którym o mało nie zapomniałem.

- Jaki to warunek?

- Ja sani mam wam kupić konie i żywność, żeby nikt was nie oszukał.

- To dobrze, to bardzo dobrze!

- A potem macie natychmiast opuścić miasto i wyruszyć w swoje strony.

- Och, nie będziemy zwlekać ani chwili!

- Podejdźcie do stołu i patrzcie, ile pieniędzy wam wyliczę! Sam Hawkens wypłacił najpierw całą kwotę ratnikom, którzy z zadowoleniem schowali je do kieszeni.

- Tak - śmiał się mały traper. - Dostaliście swoje pieniądze. Wam żaba nie stawiała żadnych warunków. Możecie więc wypić tyle wódki, ile chcecie, nawet jeżeli przechlejecie całą sumę, hihihih!

Ratnicy spojrzeli po sobie, potem na niego i uśmiechnęli się szeroko.

- Tyle pieniędzy! Za to dostaniemy beczki pełne wódki! Idziesz z nami?

- Nie.

- Bądź zdrow! Znajdziesz nas w gospodzie!

I pośpiesznie zniknęli za drzwiami. Jeżeli rotmistrz nie kazał ich przyprowadzić po odbiór munduru, z pewnością nie przestali pić, dopóki większa część pieniędzy nie przepłynęła przez ich gardła.

Sam rozdzielił pozostałe pieniądze na dwie równe części, tak że razem wypadło bez mała tyle, ile zabrał naczelnikowi. Odliczył jedynie niewielką kwotę na zapłacenie rachunku za policjanta, jego żonę i córkę.

- Proszę, to dla was! - powiedział. - Przeliczcie!

Obaj kozacy patrzyli oszołomionym wzrokiem na pieniądze. Brakło im słów na wyrażenie swojego zachwytu, a i czasu na przeliczenie banknotów. Padli przed Samem na kolana i pochwycili jego ręce, żeby je ucałować.

- Bzdura! - rzekł Sam Hawkens wzruszony nasadzając na czerwoną czaszkę swój znoszony kapelusz wraz ze skalpem. - Jeżeli chcecie mi podziękować, to zróbcie to raczej w ten sposób, że wstaniecie i zaczniecie się rozsądnie zachowywać! Schowajcie te pieniądze!

Kozacy nie dali się prosić dwa razy i pieniądze natychmiast zniknęły w'ich kieszeniach.

- Tak! A teraz wynoście się! To znaczy wyjdźcie! Ale nie odchodźcie daleko, bo byłoby to ze szkodą dla was. Chciałem omówić z wami jeszcze jedną sprawę. Czekać więc na mnie! Muszę tu jeszcze coś załatwić. Marsz!

Kozacy zmknęli tak szybko, jak przedtem ratnicy i podobnie jak tamci zapomnieli o zasalutowaniu przed rotmistrzem, co zresztą w wypadku ratników można by usprawiedliwić

tym, że nie czuli się jeszcze jak żołnierze, podczas gdy tych drugich usprawiedliwiał fakt, że ich stosunek służbowy został już rozwiązany.

Kiedy za oboma szczęśliwcami zamknęły się drzwi, w pokoju zapanowała cisza. Sam znów ostrożnie zdjął kapelusz, który w momencie wzburzenia nasadził sobie na głowę. Dick i Will stali sztywno i niemo jak drewniane lalki.

Z kąta, w którym ciągle jeszcze stał naczelnik, milczący, ze skrzyżowanymi ramionami, dobiegło znaczące chrząknięcie. Rotmistrz wiedział, że przeznaczone było dla niego i zawierało ukrytą przestrożę, żeby się miał na baczności. Spojrzał na Sama pytająco.

- Czego jeszcze ode mnie chcesz?

- Właściwie sam to powinienes wiedzieć.

- W takim razie moje pytanie było zbyteczne.

- I takie jest - burknął Sam. - Po co ta długa gadanina? Żądam jedynie respektowania mojego prawa: satysfakcji!

- Ach! - odezwał się przeciągle rotmistrz. - Sądzę, że ta sprawa jest już załatwiona?

- - Załatwiona? Nic o tym nie wiem. Wiadomo mi jedynie, że przeszkodzono ci dziś rano w stawieniu się na pojedynek. Wraz ze swoim ojcem tkwiłeś w tym czasie w strażnicy, gdzie odgrywaliście role diabła i jego babki.

- My? To wykluczone! - wtrącił się nagle naczelnik. - My byliśmy w domu.

Sam Hawkens odwrócił się w jego stronę z wyniosłym uśmiechem.

- Hihihih, i tam hrabia szukał was na próżno?

- Co wiesz o hrabim ?

- Więcej niż wy. A poza tym wasza wymówka jeil śmieszna. Dopiero przed kilkoma minutami twój syn dobrowolnie [M zywał, że obaj straszyliście w strażnicy.

- To kłamstwo! - wybuchnął naczelnik, który nil zrozumiał wyszeptanej naprędce prośby rotmistrza o milczenie IIM temat historii z diablami i najwyraźniej opacznie pojął następującą po niej wymianę słów.

Sam Hawkens zmarszczył czoło.

- Ojczulku! - napomniął go. - Radzę ci nie złoilczyć. Po pierwsze nie jesteś kimś, kto mógłby sobie pozwolić na coś takiego w mojej obecności, po drugie negocjuję nie z tobą. lecz z twoim synem, a po trzecie usta Sama Hawkensa nigdy nie skalaly się mówieniem nieprawdy. Kto tak jak ja ma za sobą życie pełne uczciws) walki, gotowości do poświęcania życia i możliwości spotkania śmie u i, przed oczami boską naturę, w dzień i w noc nad głową błękitne nidio, ten pogardza podstępem i intrygą. Ten jest zbyt dumny by kłamać Zrozumiano?

Dick i Will podziwiali skrycie swego towarzysza Mówił po rosyjsku, jednak czuli, że jego przemowa była czymś szc/>^ólnym.

Mały traper był w widoczny sposób wzburzony. Spojrzał wyzywająco na tego, który go znieważył, ale na szczęście rotmistrz interweniował.

- Zaszło tu pewne nieporozumienie - powiedział szybko. - Historia z diabłem jest skończona i pogrzebana.

- Stop! - przerwał mu Sam. - Najpierw oddaj uześć prawdzie! Czyż nie prosiłeś po kryjomu, abym milczał w tej spin wie?

- Tak było, a ty...

- A ja się na to zgodziłem. Tym samym jednnk przyznałeś, że odgrywałeś diabła, a twój ojciec jego babkę albo na wjwrót.

- Tak jest.

- A więc nie kłamałem, panie isprawnikul Zapamiętaj to sobie! A teraz wreszcie do rzeczy! Jak będzie z naszym poji-ilynkkiem?

- Przecież zrezygnowałeś z niego - stwierdził ml mistrz. - Obiecałeś mi zachować się w tej kwestii rozsądnie, jeśli tylko przyjmę twoich ratników.

- Ach tak! - ciągnął Sam. - Kiedy ja cię puszczam, to jest rozsądnie?

- Nie przekrećaj teraz! - mruknął młody Rapnin. - Mam ttyoje słowo, czy nie?

Sam roześmiał się rozgniewany.

- O ty cwaniaku, dekowniku, tchórze! Tak, masz moje slc3\*vo! Teraz je masz! Nie będę się z tobą bił. Rezygnuję. Moja dzielna L j4dy - tak mianowicie nazywa się ta strzelba - wstydziłaby się, gdybym chciał z niej strzelać do ciebie. Między nami kwita. Ale strzeż się! Nie próbuj wchodzić mi w drogę! Mogłoby się to źle dla ciebie skoń^ać. To samo dotyczy ciebie! - burknął do osłupiałego naczelnika. - I nadzieję, że już nigdy się nie zobaczymy!

Po tych słowach Sam Hawkens dumnym krokiem opuścił Teraz ruszyli się wreszcie także Dick i Will.

- Good bay, stary szelmo! - powiedział Dick, wsparłszy chodem kolbę o palce stóp naczelnika.

- Farewell, łajdaku! - Will uśmiechnął się krzywo do rotmi^jrza podstawiając mu na pożegnanie pięść pod nos.

W końcu drzwi zamknęły się za nimi.

\* \* \*

Naczelnik i jego syn znajdowali się w nastroju nie do opisania. Oni, którzy dotąd sprawowali niczym nieograniczoną władzę jiad całym okręgiem, musieli nagle wykonywać rozkazy tych obcych, nie wiadomo skąd przybyłych chłystków.

- Niech mnie diabeł porwie, jeśli nie przyłożę solidnie temu Bezczelnemu małemu człowieczkowi! - penił się rotmistrz waląc pięścią w stół.

- Możesz liczyć na moją pomoc - warknął jego ojciec. - Pełniej-rzewam tych trzech łajdaków, że maczali palce w tym figlu, który tt am spleatano.

- Niemożliwe!

- Dlaczego nie? Już wczoraj ujęli się za tym kozakiem Numer Dziesięć, a poza tym nurzanie w smole i oblepianie piórami to przecież zwyczaj amerykańskich westmanów. Czy to wszystko nie pasuje do siebie?

- Niech diabeł porwie tę nikczemną hołotę! Po co właściwie mieszają się w nasze sprawy?

- Też sobie zadaję to pytanie - przyznał naczelnik, - i robię się coraz bardziej nieufny. Mają w tym jakiś tajemniczy cel i musimy się ich diabelnie strzec.

- Boisz się ich?

- Boję czy nie, ostrożność nie zawadzi. Aluzja tego małego do hrabiego wydała mi się bardzo podejrzana. On chyba rzeczywiście coś wie.

- Przekłęta historia! A co powiesz na te pieniądze? Na pewno są w zмовie z tymi dwoma kozakami, no bo jak inaczej wytłumaczyć ten fakt, że nagle wykupują tych głupków ze służby?

- W samej rzeczy! Coś tu się nie zgadza. Coraz bardziej nabieram przekonania, że to ten mały człowieczek wraz tymi dryblasowatymi sztachetami uwolnili Numer Dziesiąty. A wartownicy pomogli im w zamian za obietnicę wykupienia i nagrodę pieniężną.

- Dręczy mnie ogromnie to, że musiałem puścić wolno tych dwóch kozaków. Chciałbym im przynajmniej odebrać pieniądze.

- Jak i gdzie? Nie ma po temu żadnej prawnej podstawy.

- Cóż mnie obchodzą podstawy prawne! Wezmę po prostu kilku ludzi i zacznę się na tych dwóch, jak będą opuszczają miasto i odbiorę im wszystko, pieniądze i papiery, które zmuszony im byłem wystawić.

- Tak nie można!

- Dlaczego nie? Jestem ich przełożonym i z łatwością wytłumaczę się pułkownikowi z mojego postępowania.



- Tym się nie martwię. Ale jeżeli ten niesamowity człowiek z czerwoną czaszką dowie się, że ograbiłeś jego podopiecznych, znów będziemy- mieć go na karku.

- A czy musi się o tym dowiedzieć? Chciał kupić dwa konie. To nie potrwa długo. Potem tamci dwaj mieli natychmiast wyruszyć. Znam drogę, którą muszą obrać. Będą przejeżdżać obok zarośli koło Wiklinowych Skał.

- Oczywiście byliby dobrze odzyskać te papiery.

- Pieniądze też. Ten obcy pies pomyśli, że odjechali i nie będzie się już o nich troszczył. Jak tylko opuści Wierchnieudinsk, dostaną obiecane sto batów. W ten sposób osiągnę to samo, co ty osiągnąłeś u hrabiego: zwrot papierów i pieniądze. Chyba je dobrze schowałeś?

- Tak.

- Zamknąłeś?

- Bzdura! Po co miałem zamykać ten świstek? Tylko nam zaszkodzi jak go ktoś znajdzie. Musimy go spalić, ale pieniądze zamknę, bo jak je twoja matka wyniucha, od razu będzie miała tysiąc potrzeb!

- No to, gdzie je masz?

Isprawnik sięgnął beztrąsko do bocznej kieszeni, po czym zastygł w bezruchu i wybałuszył oczy na syna. W tej chwili stanowił uosobienie przerażenia i nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- No?

- Pusta, pusta! - wystękał naczelnik z trudem.

- Zwariowałeś!

- Nie ma ich, naprawdę nie ma! Stary wywrócił obie kieszenie.

- Nie włożyłeś ich gdzieś indziej?

- Nie.

Ręce mu drżały ze zdenerwowania. Szukał i szukał, ale nic nie znalazł.

- Może je upuściłeś. Leżą pewnie w piwnicy.

Pognali na dół z latarnią, ale pomimo poszukiwań i chociaż świecili w każdy kąt, za każdą beczkę, nie znaleźli ani śladu pieniędzy i pisma.

- Na Boga, wszystko zniknęło! - wrzasnął rotmistrz.

- Ja... nie mogę... nie mogę tego pojąć! - stękał naczelnik.

- Ja tym bardziej! - wściekał się Iwan. - Tyle pieniędzy i tak ważny papier trzeba było przecież porządnie schować!

- Z całą pewnością wszystko włożyłem do kieszeni, wszystko! Ktoś musiał mi to wyciągnąć! Inaczej to niemożliwe.

- Przypomnij sobie! Kto by to mógł być?

- Nie wiem!

- Kto stał tak blisko ciebie, że...

- Jedyne ty! - ryczał isprawnik.

- Ja?

- Tak, ty!

- To ja miałbym cię okraść?

- To jedyna możliwość!

- Niesłychane!

- Iwan! Oddaj pieniądze, natychmiast!

- Ja, okraść ciebie! To niedorzeczność!

- Nie odgrywaj tu komedii! Czyżbyś był aniołkiem, po którym nie można spodziewać się podobnych rzeczy?

- Nie posuwaj się za daleko, mówię ci! Nie mam ich i basta!

W zaciętym milczeniu wrócili do mieszkania. Iwan chodził wzburzony po pokoju, wyglądając od czasu do czasu przez okno.

- Widzisz, miałem rację - powiedział złośliwie. - Przed gospodą stoją dwa konie. Znasz je?

Stary wyrzwał mu przez ramię. Szkapy karczmarza.

- Sprzedał je kozakom. Popatrz, obcy wychodzi przed gospodę i przygląda się koniom! To pewne, że należą teraz do kozaków. Wkrótce wyruszą, a ja muszę ich wyprzedzić.

Rotmistrz pośpieszył ku stajniom, kazał sobie szybko osiodłać konia i zaledwie minął kwadrans, cwałował już z sześcioma kozakami na spotkanie tamtych dwóch. Nie zauważony przez nikogo, jak mniemał.

## **Anioł, rabuś i spryciarz**

Wykupieni kozacy dowiedzieli się, że karczmarz chce się tanio pozbyć dwóch silnych koni stepowych. Dlatego też przyjaciele udali się wraz ze szczęśliwymi posiadaczami rzekomego skarbu do gospody, aby Sam Hawkens mógł dokonać dla nich zakupu.

Po ostatnich godzinach, tak obfitych w wydarzenia, gospoda była pełna ludzi żywo komentujących zdarzenia z sali balowej, oraz sprzed budynku rządowego. Skoro tylko ujrzeli małego trapera wchodzącego z towarzyszami, powitali go głośnymi okrzykami radości. Poprosili też zaraz całą piątkę, aby przysiadła się do gawędzących i pijących.

Ale Sam odmówił, ponieważ przede wszystkim musiał wyposażyć na drogę swoich podopiecznych. Jeżeli zaczęliby teraz pić, nie skończyliby tak prędko. Dlatego karczmarz musiał od razu zaprezentować swe konie. Spodobały mu się i kupił je całkiem niedrogo. Karczmarz dostarczył prędko i tanio także żywność i wszystko, co jest potrzebne w podróży.

Kiedy zwierzęta zostały przyprowadzone przed gospodę i Sam oglądał je kolejny raz, zauważył przy jednym z okien budynku rządowego rotmistrza, który żywo o czymś rozprawiając pokazywał na niego.

- Egad\ - zamruczał Sam. - Rotmistrz, a za nim stary! Czemu tak zażarcie dyskutują o mnie? Hoppla! Poszli sobie. To zastanawiające. Trzeba bardzo uważać!

Ponownie wszedł do gospody i nakazał kozakom dyskretnie obserwować budynek i meldować mu natychmiast o każdej zmianie. Już po chwili wrócił z wiadomością wnuk babki.

- Ojczulku, rotmistrz wyjechał, a wraz z nim sześciu kozaków.

- Dokąd?

- Na zachód, w stronę stepów.

- To także wasza droga?

- Dokładnie ta sama.

- Tak! Hm!

Sam zamienił kilka słów z Dickiem i Willem i pytał dalej.

- Znacie dokładnie okolice, przez którą pojedziecie? Jak wygląda? Czy jest górzysta?

- Nie, to równina.

- Nie ma jakiegoś lasu, albo czegoś innego?

- Nie, tylko o dobrą godzinę stąd leżą skały, jakby porozrzucone w nieładzie. To wilgotna okolica, dlatego rośnie tam dużo wikliny. Z tego powodu miejsce to nazywane jest Wiklinowymi Skałami.

- Jak wysokie są te skały?

- To wygląda jak ogromny dom, w którym kiedyś mieszkały olbrzymy i który się zawalił. Niektóre stopy kamieni są tak wysokie jak wieża.

- Stamtąd można chyba zobaczyć każdego, kto zbliża się od strony miasta?

- Nie, nie możesz mnie dostrzec, kiedy pojedę drogą przez bród i dalej zataczając łuk w prawo, tak że w rezultacie zamiast od wschodu, dotrę do Wiklinowych Skał od północy.

- To dobrze. Obiorę ten kierunek.

- Jak? Chcesz, ojczulku udać się do tych skał?

- Tak, mój synku, żeby was chronić.

- Chronić? Przed czym?

- Przed rotmistrzem.

- Myślisz, że będzie chciał nas zatrzymać? - zawołał przerażony kozak.

- Przypuszczam, że będzie tego próbował i to właśnie, przy tych Wiklinowych Skałach. Jest przecież oficerem i musi wiedzieć, że to miejsce najlepiej nadaje się do realizacji jego planu. A więc pojedę łukiem w prawo, a moi przyjaciele będą mi towarzyszyć. Wy natomiast wyruszyście kilka minut po nas i skierujecie się w stronę skał, ale powoli, krok za krokiem, w przeciwnym razie dotrzecie tam wcześniej od nas i rotmistrz was dopadnie, zanim będziemy mogli wam pomóc. Zawołaj swojego towarzysza i poczekajcie, aż odjedziemy!

Sam Hawkens udał się pośpiesznie do obozu, gdzie w pobliżu jurty księcia Buriatów pasły się ich konie.

Karpala widziała, jak nadchodził i wyszła mu naprzeciw.

- Będziesz się strzelał z rotmistrzem? - spytała.

- Teraz nie, może w ogóle nie.

- Och, to bardzo dobrze! Jesteś moim przyjacielem i musiałabym płakać, gdybyś był ranny. Dokąd chcesz teraz jechać?

- Na step. Najwidoczniej rotmistrz ma zamiar popełnić jakąś nie-godziwość i chcę temu zapobiec.

- Jesteś rzeczywiście bohaterem!

- No, oprócz mnie są jeszcze inni bohaterowie, jeśli się nie mylę.

- Mówisz tak tylko przez skromność. Znam niewielu tak nieustraszonych ludzi.

- Czy mają to być może zawołowane oświadczenia, hihihhi? Co powiedziałyby Bogumir, gdyby cię słyszał!

- Bogumir! Dobrze, że wymieniasz jego imię. Martwię się o niego. Pojechał w stronę Selengi, Komarzej Rzeki. I pomyśl tylko, goni go porucznik z dwudziestoma ludźmi. Jakucki handlarz, który często tu bywa i zna Numer Dziesiąty zameldował, że uciekinier zmierza właśnie w tę stronę.

- Uspokój się, moje dziecko! Oczekuję jedynie na przybycie jego brata i zaraz wszyscy udamy się nad Komarzą Rzekę. Nie bój się więc o Numer Dziesiąty!

- Ulżyłeś memu sercu. Ufam ci.

- Hihihhi! - zachichotał Sam dobrodusznie - Całe twoje dziewczęce serce należy chyba do niego"

Karpała popatrzyła otwarcie w jego wesołe oczka.

- Chcesz mnie sprawdzić. Ale mówię ci, że moje serce należy do wszystkich nieszczęśników. Co myślisz o tych biednych zesłańcach?

- To samo, co ty! Potrząsnęła niecierpliwie głową.

- - To samo, co ja? Przecież w ogóle nie znasz moich poglądów.

- Czy nie powiedziałaś biedni zesłańcy? Żałujesz ich, więc litujesz się nad nimi. Czy tak?

- Jesteś bardzo bystry - skinęła, a po krótkiej chwili zamyślenia spytała: - Słyszałeś może kiedyś o „aniole zesłańców” ?

- Tak, ale dopiero w ostatnich dniach. Nawet w małych osadach mówi się o nim.

- Wiesz może, kto to jest?

- Nie. Ludzie gubią się w domysłach. Wielu uważa, że to rzeczywiście anioł, albo przynajmniej dobry duch, wróżka, lub coś podobnego. Mądrzejsi wiedzą oczywiście, że to jest człowiek, ale nie są zgodni co do tego, czy to mężczyzna, czy kobieta.

- A co się o nim opowiada?

- Że uwalnia każdego zesłańca, który znajdzie się w jego pobliżu, o ile wart jest pomocy. Niegodnych anioł wydaje nawet władzom.

- To prawda! - zapaliła się Karpała.

- O tym też wiesz?

- No, przecież wszędzie się o tym mówi, uzasadniała ostrożnie swoje przekonanie.

- To jeszcze niczego nie dowodzi - upierał się maty traper. Szukała jakiejś odpowiedzi, a kiedy nie znalazła, wzruszyła ramionami.

- Niejednemu taki wybawca może rzeczywiście wydać się anio-\* łem - kontynuował Sam poważnie. - Na pewno jest wielu zesłańców, którzy nie zasłużyli sobie na taki smutny los, jeśli się nie mylę.

- Och, setki, tysiące! - wykrzyknęła Karpala gwałtownie. - Właśnie dlatego anioł postawił przed sobą zadanie bezpiecznego przeprowadzenia przez granicę każdego, kto na to zasłużył!

- Mówi się, że wojskowi bardzo chcieliby poznać tego anioła.

- Och, do tego nigdy nie dojdzie! Znają go tylko jego własni ludzie i woleliby umrzeć, niż go zdradzić.

- Tylko jego ludzie? Hm! Znam całkiem obcego człowieka, który zna dobrze tego anioła.

- To niemożliwe!

- A jednak! Jest rodzaju żeńskiego. Zgadza się?

Spod runda kapelusza oczka Sama z napięciem wpatrywały się w twarz Karpali.

- Tak.

- I jest niezamężny?

- Tak.

- Nie jest zwykłą dziewczyną, lecz córką szanowanego księcia?

- Tak.

- I ma bardzo ładne imię?

- Jak ono brzmi?

- Karpala.

Zaskoczona cofnęła się kilka kroków. Dopiero teraz zauważyła chytry, szelmowski uśmieszek obcego, któremu w zapamiętaniu tak chętnie udzieliła informacji. • - Kar...! Kogo masz na myśli?

- Ciebie! - zaśmiał się Sam.

- Mnie? Myślisz, że to ja jestem aniołem zesłańców?

- Tak, moje serduszko, tak myślę. A teraz powiedz mi, czy mam rację!

Karpala przełknęła ślinę.

- Czy też mi nie ufasz? - dodał Sam poważnie.

- Och, jak można nie mieć do ciebie zaufania! Dopiero wczoraj ująłeś się za tym biednym kozakiem Numer Dziesięć i... - przerwała i spojrzała wnikliwie w jego twarz. - Nie zaszkodziś mi i nie powiesz o rym nikomu?

- Prędzej stary Sam odgryzie sobie głowę!

- No więc dobrze! Tak, nazywają mnie aniołem zesłańców, ponieważ niejednemu już pomogłam. Ach, jesteś obcy w naszym kraju i nie znasz głębokiej niedoli tych nieszczęśników!

- Oto moja ręka! Na pewno dochowam twojej tajemnicy. Szczerze mnie zadziwiłaś, Karpalo!

- Dlaczego?

- Trzeba mieć dużo odwagi, aby zostać aniołem zesłańców i nie podejrzewałem tego u tak młodej dziewczyny.

Karpala pokiwała głową.

- My kobiety jesteśmy inaczej odważne niż wy, mężczyźni. Wy macie odwagę niszczyć, my ratować i pomagać.

Nagle dokonała się w niej jakaś zmiana. Jej pełne, miękkie usta zadrgały krótko, niemal po męsku, a z oczu wyzierało zdecydowanie, po którym można było spodziewać się niezwykłych czynów.

- Karpala, ja nie tylko się dziwię, lecz także podziwiam ciebie - rzekł Sam Hawkens żarliwie. - Nie możesz przecież zapewnić bezpieczeństwa żadnemu więźniowi bez narażenia siebie!

- Tak, to jest troszkę niebezpieczne - uśmiechnęła się. - Ale musisz wiedzieć, że mam wielu współników. Pomagają mi wszystkie plemiona Buriatów i Tunguzów. Przyjmujemy u nas zbiegłych zesłańców, ukrywamy ich pojedynczo w różnych miejscach i potem przeprowadzamy przez granicę. W buriackich lub tunguzkich przebraniach są nie do rozpoznania. Ale wiesz, to wszystko wcale nie jest takie proste. Często natrafiamy na żołnierzy, którzy usiłują wytropić uciekinierów i wtedy trudno jest czasem uniknąć zdemaskowania.

- W takim razie twoi rodzice zorientowani są w całej tej sprawie?

- Oczywiście! Cały nasz lud wie o tym. Właśnie z tego powodu miałam zostać żoną rotmistrza. Kiedyś z winy mojego ojca i lamy duża grupa uciekinierów, która znajdowała się już blisko chińskiej granicy, została otoczona przez wojsko. Ci biedacy postanowili, że prędzej umrą niż się poddadzą. Rzucili się do rzeki i wszyscy utonęli.

- Okropne!

- Tak. Na moim ojcu i lamie wywarło to takie wrażenie, że przysięgli ratować od tej pory każdego uciekiniera, który został niesłusznie skazany. Od tamtego dnia przeprowadzili szczęśliwie setki zbiegów przez granicę. Niedawno lama wpadł na pomysł, że wszystko byłoby dla nas o wiele prostsze, gdybym została żoną jakiegoś wpływowego oficera. I tak

mój ojciec musiał mu przyrzec, że wyjdę za rotmistrza Iwana Rapnina, żeby od razu dowiadywać się o wszystkich posunięciach przeciwko zesłańcom.

- To było bardzo krótkowzroczne. Gdyby odkryta, że odgrywasz rolę szpiega, jaki los by cię czekał? Do końca życia praca pod ziemią w kopalniach Nerczyńska!

- Wiem - odrzekła dziewczyna spokojnie. - Ale czym byłaby moja miłość dla zesłańców, gdybym nie chciała się na to powazyć?

- Kochasz tego rotmistrza? Karpala wzdrygnęła się.

- Jakże bym mogła. Pogardzam nim!

- I mimo to chcesz go poślubić?

- Przecież muszę! Przysięga mojego ojca...

- Bzdura! - burknął mały traper. - Przysięga ma znaczenie jedynie pod warunkiem, że dzięki temu małżeństwu rzeczywiście będziesz mogła pomóc zesłańcom lepiej niż do tej pory. Atak naprawdę, to wychodząc za tego gwałtownika stracisz jedynie wolność.

Nic nie odpowiedziała, tylko spuściła głowę.

- Teraz możesz pomóc wielu - mówił dalej Sam Hawkens. - Ale po ślubie? Zastanów się tylko: co zrobisz, jeżeli rotmistrz zostanie przeniesiony z Syberii?

- Masz rację. Ale co mam robić? Oczka trapera zabłyśły wesoło.

- Co masz robić? Zaufać Samowi Hawkensowi. Hihihih! On także nie cierpi tego łajdaka rotmistrza i już się o to postara, żeby go odpowiednio załatwić, jeśli się nie mylę!

- Wierzę ci - powiedziała podając mu dłoń.

- Naprawdę? - zachichotał. - Tak jak wczoraj, kiedy znalazłem cię w wodzie i wystrzeliłem dziurę w czapce rotmistrza?

- Jeszcze więcej! - śmiała się rozbawiona. - Bo teraz cię znam. Mogę ci to nawet udowodnić. Właśnie planujemy konwój do granicy. Ale brakuje nam czegoś, co musimy zdobyć, a mianowicie broni. Dla uciekinierów to sprawa najważniejsza, ponieważ muszą się jakoś bronić przed prześladowcami i zdobywać pożywienie. A jak mają polować bez broni? Potrzebujemy więc strzelb, prochu i ołowiu dla nich i dla siebie.

- Nie możecie kupić tego wszystkiego?

- Zakup takiej ilości broni musi wzbudzić podejrzenia. Pilnowano by nas w przekonaniu, że planujemy powstanie przeciw rządowi.

- To chcecie sobie tę broń, no, powiedzmy, potajemnie przywłaszczyć?

- Tak.

- Nieźle! Pytanie tylko, gdzie zamierzacie znaleźć to, czego wam brakuje.



- Naczelnik ma pod dostatkiem prochu, ołowiu, a także strzelb. Do tego jeszcze odpowiednie formy do odlewania kul.

- Aha! A gdzie znajduje się magazyn?

- W budynku rządowym, obok sypialni Rapnina.

- Dziwne! Śpi obok prochowni? Jakież to niebezpieczne!

- Nie tak bardzo, ponieważ nikt poza członkami rodziny nie ma o tym pojęcia.

- I tam mam się wdrzeć? Posłuchaj, Karpalo, ta sprawa nie podoba mi się. Jak już powiedziałem, absolutnie nie jestem przyjacielem rotmistrza i jego ojca. Ci dwaj to łajdacy, którym zawsze chętnie splećmy jakiegoś figla, ale kraść? Pruj! Do tego stary Sam Hawkens się nie posunie.

Karpala spuściła głowę jakby zawstydzona.

- A gdyby zaszły jakieś nadzwyczajne okoliczności?

- Okoliczności? - zdumiał się Sam. - Co masz na myśli?

- Dowiedzieliśmy się przez pewnego godnego zaufania człowieka, który jest naszym posłańcem, że naczelnik planuje zdradę. Negocjował z przywódcą pewnego mongolskiego plemienia po tamtej stronie granicy. Chce mu nielegalnie odsprzedać powierzona sobie broń i dostać za to sutą zapłatę.

- A potem? - dopytywał się traper. - Przecież nie da się tego ukryć.

- Potem Rapnin chce zrzucić winę na innych. Podobno ma upozorować zamach. Kto wie, komu przyjdzie za to zapłacić?

- Hihihih! - chichotał Sani. - Tak to wygląda? W takim razie jestem gotów zdobyć dla was tę broń, zanim uczynią to inni. Wtedy kara, jaka spotka naczelnika za utratę broni, nie będzie tak całkiem niesprawiedliwa. Jestem gotów wziąć w tym udział. Powiedz, czy nie można tych rzeczy wynieść przy pomocy jakiegoś podstępu? Gdyby tak na przykład mieć klucze? Coś mi przyszło do głowy: wczoraj wieczorem na balu widziałem, że naczelnikowa nosiła przy sobie torebkę.

- Och, już wiem, co chcesz zrobić! Tak, nosi w niej klucze, kiedy wychodzi wieczorem.

- Tak myślałem. Uważaj, Karpala: twoi rodzice muszą zaprosić dzisiaj wieczorem naczelnika z żoną i z synem i zatrzymać ich możliwie długo. Da się to zrobić?

- Tak, z łatwością. Jeśli okażę rotmistrzowi nieco więcej uprzejmości, wszyscy troje będą tak zachwyceni, że zapomną o pójściu do domu.

- Dobrze. Podczas ich nieobecności Sam Hawkens wykona swój majstersztyk, hihihih! Czy moglibyśmy pozbyć się jeszcze służby?

- Tak. Poślę do nich dwóch spośród moich Buriatów, którzy wyciągną ich do gospody. Służący pomyślą sobie, że skoro państwo tak świetnie się bawią w naszym obozie, oni także mogą pozwolić sobie na szklaneczkę wódki.

- Przede wszystkim chodzi nam o klucze. Pożyczymy je sobie dzisiejszego wieczora od pani naczelnikowej, oczywiście bez jej zgody.

- To będzie ogromnie trudne!

Sam Hawkens zachichotał z rozbawieniem.

- Jak trzeba, potrafię nawet wyjąć isprawnikowi z kieszeni dwa tysiące rubli, jeśli się nie mylę!

Wkrótce plan był gotów. Ustalono także miejsce, gdzie przyjaciele Karpali znajdą broń. Aby odsunąć od siebie podejrzenia, Sam i jego towarzysze postanowili upozorować konną przejażdżkę na step i dopiero później wrócić do obozu Buriatów.

Karpala zniknęła w jurcie rodziców, a Sam osiodłał konie.

Chociaż narada trwała dosyć długo, to jednak nikt nie zwrócił na nią uwagi. Obcy mógł przecież rozmawiać z córką swego gościnnego gospodarza tak często i tak długo, jak tylko chciał, a poza tym oboje starali się wyglądać absolutnie niewinnie.

Sam pocwałował do gospody, gdzie oczekiwano go z największą niecierpliwością.

- Gdzieś ty się podziewał? - pytał Dick Stone.

- Można wrosnąć w ziemię z tych nudów - mruknął Will Parker.

- Wrosnąć? - chichotał Sam. - Ależ by to było zabawne, gdybyście wy, takie tyczki chmielowe, stali się jeszcze dłużsi i cieńsi, niż jesteście. Ale żarty na bok! Dowiedziałem się o czymś ważnym. Opowiem wam po drodze. Na koń!

Jeszcze raz nakazał kozakom surowo, aby wyruszyli dopiero w jakiś kwadrans po nich i jechali tak powoli, jak im to już radził, po czym cała trójka udała się w drogę.

Aż do brodu posuwali się krok za krokiem, potem klusem i w końcu puścili się galopem.

Przed nimi rozpościerała się rozległa równina. Powietrze było czyste i przejrzyste, i widoczność znakomita.

Po pewnym czasie ujrzeni po lewej stronie unoszące się opary.

- Jesteśmy już na miejscu? - spytał Will Parker.

- Tak - odpowiedział Sani. - Tam, gdzie rośnie wiklina, panuje wilgoć, a gdzie jest wilgotno, powstają mgły. Wniosek z tego, że dotarliśmy już niemal do Wiklinowych Skal. Kierujmy się w tamtą stronę!

- Ta mgła jest dla nas bardzo korzystna, ponieważ dzięki niej rotmistrz nie może nas wypatrzeć.

- I na odwrot, my też nie możemy zobaczyć ani jego, ani jego ludzi.

- Nic nie szkodzi. Tacy doświadczeni westmani jak my potrafią sobie poradzić z odnalezieniem ich śladów.

Zbliżali się do Wiklinowych Skał od północy. Jakiś czas posuwali się wśród zarośli i drzew, po czym przystanęli, zsiadli z koni i przywiązali je. Wzięli strzelby i dalej skradali się już na piechotę.

Przed nimi wznosiły się nagie skały. Gęste zarośla wiklinowe i liczne kałuże przeszkadzały przyjaciom w szybkim posuwaniu się do przodu. W końcu znaleźli się tuż obok pokruszonej masy skalnej i dopiero teraz zobaczyli, jak daleko rozciąga się to kamienne rumowisko i że znajdują się akurat w jego środku.

Sam skinął z zadowoleniem.

- To dobrze. Z tamtej strony ukrył się rotmistrz ze swoimi ludźmi i czatuje na kozaków. Na pewno siedzi tam, za tymi skalami. Musimy się tam dostać, ale ostrożnie, żeby nas nie zauważył!

Wkrótce wspięli się na kamienne wzniesieni i z góry obserwowali okolicę. W dole na stepie wypatrzyli jakiegoś kozaka penetrującego równinę w kierunku miasta.

- To warta - powiedział Dick. - Rotmistrz nie może być daleko.

- Widzę go już - roześmiał się Sam. - Siedzi z innym tam, z lewej strony, za tym dużym czworokątnym blokiem skalnym, jeśli się nie mylę. A więc jednak się nie myliłem. On rzeczywiście chce się dostać do skóry tym biedakom. No, ale się przeliczył!

- Schodzimy już na dół?

- Sądzę, że tak będzie najlepiej. Zejdźmy tą rynną! Nikt nas tam nie zobaczy i podkradniemy się tak blisko, że usłyszymy każde ich słowo. Och, widzicie ten mały punkcik?!

Sam Hawkens machnął ręką w kierunku miasta.

- Yes - odrzekł Will. - To nasi kozacy.

- - Niedługo tu będą. Patrzcie, wartownik już ich zauważył! Cwałuje z powrotem, żeby o tym zameldować, no i nasi bohaterowie dosiadają koni! Wypadną z zasadzki jak rabusie. Wspaniały kraj, ta Syberia, a jakie miłe stosunki! Ale teraz prędko na dół! Im szybciej znajdziemy się tam, tym lepiej, jeśli się nie mylę.

Ostrożnie opuszczali wzniesienie. Na dole przywarli ciasno do cienkiej skały tworzącej coś w rodzaju wysokiej ściany, za którą znajdował się rotmistrz ze swoimi ludźmi. Tak jak Sam się tego spodziewał, mogli usłyszeć każde wypowiedane przez nich słowo.

Właśnie jeden z kozaków wyjechał tak daleko na równinę, że sam nie będąc widziany, mógł ją bez przeszkód obserwować.

- No, daleko są? - spytał go rotmistrz.

- Pół wiorsty.

- Pięknie. Ja pozostanę w ukryciu, a wy zaatakujecie z tego miejsca! Lepiej załatwić to tutaj, niż dalej na równinie. Jak tylko podjadą, popędzicie do nich, otoczycie i przyprowadzicie do mnie! Nie pozwólcie im uciec, bo...!

- Łajdak! - wyszeptał Sam. - Nawet przeciwko tym nieszkodliwym głuptasom nie ma odwagi wystąpić samodzielnie, lecz wysyła swoich ludzi. Poczekaj no, chłoptasiu! Ale teraz cisza, wkrótce zacznie się taniec!

W samej rzeczy nie minęła nawet minuta, kiedy z tamtej strony skalnej ściany rozległo się człapanie koni. Następnie usłyszeli głośne przekleństwa i powracających ludzi rotmistrza.

- Mają ich! - szepnął Dick Stone.

- Pst, cicho, bo nic nie usłyszymy! - ostrzegł go Sam Hawkens. W tej samej chwili zabrzmiał głos rotmistrza.

- Zsiadać z koni, psy! Mam wam pomóc, he?

- Cośmy takiego uczynili, że nas łapiecie?- odważył się sprzeciwić jeden z napadniętych.

Zaraz potem rozległ się trzask bata.

- A masz za to gadanie! Złaż!

- Nie jestem już na służbie - - oburzył się bity. - i nikt nie będzie mi rozkazywał!

- Pięknie! Za te słowa wyliczę ci potem dwadzieścia batów. Teraz oddaj mi papier, który ci dzisiaj wystawiłem! No, dajesz?

- Oto on.

- Tak. A teraz pieniądze!

- Ojczulku, przecież mi je podarowano.

- Dawaj, albo...

Tu rozległ się nagły krzyk i znowu trzask bata.

- Nie bij, nie bij! Masz!

Rotmistrz najprawdopodobniej przeliczał pieniądze, ponieważ dopiero po chwili dał się słyszeć jego głos.

- Tak. A teraz ten drugi. Dawaj pieniądze i dokument!

- Mój kochany ojczulku, jakże mam żyć i wziąć sobie żonę, kiedy nie będę miał pieniędzy i tego papieru?

- Ożeń się z babką diabła, ty łajdaku! Wtedy możesz zreć smołę i siarkę. Dawaj sakiewkę! Mówię po raz ostatni; dawaj!

- Tak, tak, tak! - wołał dręczony. - Już ci daję. Niech przyniosą ci więcej szczęścia, niż mnie!

- Macie szczęście, żeście się tak szybko opamiętali. Wy psy, na pewno cieszyliście się z tego ogromnie, że musiałem ustąpić temu obcemu łotrowi? Teraz musicie przyznać, że to ja jestem mądrzejszy. Możecie sobie jechać do domu, ale za przyjaźń z tym łysym łajdakiem dostaniecie na odchodnym po dwadzieścia batów- A za dwa tygodnie znów zostaniecie powołani do wojska. Macie wtedy przyprowadzić ze sobą te konie i dostaniecie te sto razów, które wam obiecałem dzisiejszego rana. Milczcie! Obiecałem wam to, a mant w zwyczaju dotrzymywać słowa. No już, rzucić ich- na ziemię i wychłostać! Niech skrzeczą z bólu jak ta ogromna żaba, która podarował/a im pieniądze.

- Najpierw ty zaskrzeczysz, jeśli się nie mylę! - rozległo się za nim.

Rotmistrz odwrócił się gwałtownie, zobaczył Sama, Dicka i Willa z odbezpieczonymi rewolwerami.

- Do diabła! - zaklął śmiertelnie blady rotmistrz.

- Patrzcie, patrzcie! - szydził Sam. - Cóż to za niezwykła historia! Dokładnie to samo przepowiedziała mi dzisiejszej nocy żaba-widmo, hihihthi!

Sześciu żołnierzy rotmistrza było kompletnie zdezorientowanych i zupełnie nie wiedzieli, jak się mają zachować, patrzyli więc pytająco na osłupiałego przełożonego.

- Chodźcie, moi kochani! - zwrócił się do nich Sam. - Usiądźcie tu, na tym kamieniu!

Podejrzanie uprzejmy ton i widok rewolwerów wywarły natychmiastowy skutek i żołnierze bez oporu spełnili żądanie Sama.

- Pięknie, widzę, że jesteście posłuszni i pełni dobrej woli. Dlatego nic się wam złego nie przydarzy, jeżeli oczywiście będziecie siedzieć spokojnie i nie odezwiecie się ani słowem. Z pewnością było wam przykro, że wasi kamraci zostali w tak łajdacki sposób ograbieni. Teraz będziecie świadkami, jak ich krzywda zostanie naprawiona.

Rotmistrz ciągle jeszcze nie mógł przyjść do siebie. Nie pojmował, jak tych trzech znalazło się tutaj. Teraz jednak sięgnął po pistolet.

- Czego tu szukacie? - wrzeszczał rozwścieczony. - Tutaj ja rozkazuję! Wynocha stąd, albo...

Nie dokończył.

- Ty - odezwał się Sam, - nie ruszaj tej pukawki! Jeszcze wystrzeli, a ja nie ścierpię czegoś podobnego.

- Bezczelny łotrze! Zastrzelę cię jak psa! - ryczał rotmistrz. Sam jednak tak zwinnie uderzył go kolbą w ramię, że pistolet wypadł mu z dłoni.

- Czym chcesz być? Panem i władcą? Lumpem jesteś, i łajdakiem! Oddaj to, co zrabowałeś!

- Wszystko to należy do mnie! - oburzył się rotmistrz jeszcze raz, ale widać było, że się poddał, a gadał jeszcze, żeby zachować resztki pozorów przed swoimi ludźmi.

Jednak Sam nie tracił spokoju.

- Wkrótce wyjaśnimy, do kogo to należy, jeśli się nie mylę. Spójrz no tylko na te piękne rewolwery, mój synku! Daję słowo, za chwilę wystrzelą, jeśli nie przypomnisz sobie, gdzie leży prawda - i podstawił rotmistrzowi obydwie lufy pod nos.

- Nie odważysz się do mnie strzelić! Zastanów się, noszę carski mundur!

- Co mnie obchodzi twój mundur? Sam Hawkens jeszcze nie zgłupiał, żeby strzelać do munduru, hihihih! Jesteś rabusiem i tak właśnie cię traktuję. A więc do kogo należą pieniądze i papiery?

Rotmistrz milczał.

- Szybciej! Ja nie żartuję. Odpowiadaj, albo wystrzelę dziurę w twoim ciele! No więc: raz... dwa...

Rotmistrz nie czekał już na „trzy”. Znał dobrze traperów i wiedział, że nie wolno doprowadzać go do ostateczności.

- Zatrzymaj się! Nie strzelaj! - wydusił drżąc ze wstydu i gniewu.

- Teraz dobrze, mój synku! A więc do kogo należą te sporne przedmioty? Do ciebie?

- Nie.

- Lecz?

- Do tych psów, których diabeł...

- Widzisz, mój synku, jak prędko skruszałeś, hihihih! Słyszeliście to, braciszku - zwrócił się do sześciu kozaków rotmistrza. - Jeżeli by panu rotmistrzowi przyszła chęć, aby później zmienić swoje zdanie, wezwę was na świadków, jeśli się nie mylę. Zrozumieliście mnie?

Ludzie towarzyszący rotmistrzowi śledzili to wydarzenie w milczeniu, z otwartymi ustami. Bezwzględność, z jaką Sam obchodził się z ich przełożonym, wydała im się bajką, a sam traper czarodziejem, który przemienił twardego, zadufanego rotmistrza w postać bezbronną i żalną.

Bez jednego słowa sprzeciwu oficer wręczył Samowi banknoty i dokumenty. Ten przeliczył pieniądze, sprawdził papiery i zwrócił je prawowitym właścicielom.

- Tak - roześmiał się. - Jesteśmy kwita, rotmistrzuniu i życzę ci, żeby ta konna przejażdżka wyszła ci na zdrowie. Możesz wracać do domu.

Straszliwy wstyd, jakiego rotmistrz doznał na oczach swoich ludzi, odniósł swój skutek. Bez słowa usłuchał Sama, wskoczył na siodło, spiął konia ostrogami i popędził jak szalony w stronę miasta.

- Ten ma już dosyć! - śmiał się za nim Will Parker.

Obaj byli poszukiwacze skarbów, którzy w tak niezwykły sposób odzyskali swoją własność, rozplýwali się w podziękowaniach. Potem szybko odjechali, żeby już wkrótce bez przeszkód znaleźć się w ojczystych stronach. Kozacy rotmistrza, którym Sam podarował nieco pieniędzy na wódkę, puścili się kłusem do miasta.

Także trzej przyjaciele pośpieszyli do swoich koni i w drodze powrotnej Sam opowiedział im, co zaplanował na dzisiejszy wieczór. Dryblasom bardzo się to spodobało. Im więcej przygód tym lepiej, uznali. Zaofiarowali się radośnie opróżnić prochownię.

W obozie czekała Karpala. Wypytywała Sama o ostatnie zajście, a on opowiadał jej uśmiechając się pod wąsem swoje przeżycia z okolic Wiklinowych Skał. Potem dosiadła konia i udała się do miasta, aby w imieniu księcia Buriatów zaprosić na wieczór rodzinę naczelnika.

Zarówno ispmwnik, jak i rotmistrz byli niezwykle przygnębieni ostatnimi wydarzeniami, dlatego chętnie przyjęli zaproszenie. Uznali je za szansę naprawienia drastycznie ostatnio rozluźnionych stosunków z rodziną księcia.

Stary zgłosił jednakże zastrzeżenie. Przypuszczał, że zaproszenie otrzymali także trzej obcy z Ameryki i nie ukrywał tego przed Karpalą, iż nie zależy mu raczej na ponownym zetknięciu się z natrętnymi myśliwymi.

Młoda Buriatka uspokoiła jednak isprawnika mówiąc, że Sam Haw-kens i jego towarzysze chcą pojeździć konno po stepie i zamierzają wrócić dopiero późną nocą, tak więc spotkanie ich jest raczej mało prawdopodobne. Taki oto fortel uzgodniła z Samem.

Nastał wieczór i Sam Hawkens wysłał Dicka Stone na przespiegi do budynku rządowego. Całe popołudnie nie opuszczał przydzielonego im namiotu, a dryblasy dotrzymywały mu wiernie towarzystwa. Wszyscy w obozie z wyjątkiem Karpali i kilku Buriatów, którzy mieli pomagać w nocnej awanturze, sądzili, że obcy wyruszyli na konną przejażdżkę w step.

Kiedy zapadła absolutna ciemność Sam Hawkens i Will Parker udali się na tyły książęcego namiotu, gdzie usiedli w trawie i czekali.

Po pewnym czasie pojawiła się Karpala.

- Tu jesteś! - powiedziała uradowana. - To dobrze. Myślę, że goście wkrótce przybędą.

- Goście? Hm! Sądzę, że bardziej pasowałoby do nich inne określenie. To są owce prowadzone na rzeź, hihihih! Gdyby wiedzieli, co ma się wydarzyć podczas ich nieobecności, nie czuliby się tak dobrze w roli drogich gości!

- Nie trzeba ich żałować. Zasłużyli sobie porządnie u tutejszej ludności na taką srogą pamiątkę. Nie ma tu ani jednego biedaka, który nie zakosztowałby ich knuta. Także bogactwo zamożnych jest na wyczerpaniu, ponieważ naczelnik wszystko im zabrał. Mocno nadużywał swojego stanowiska, aby ściągnąć dla siebie jak najwięcej pieniędzy. Kto przy najlżejszym przewinieniu nie chciał płacić, tego kazał chłostać. Teraz spotyka go więc zasłużona kara.

Karpala wróciła do namiotu i wkrótce obaj zauważyli, że w miejscu, w którym siedzieli, dolny rąbek namiotu zwisał całkiem luźno, można więc było bez trudu wsunąć rękę do środka. Po chwili usłyszeli stukot końskich kopyt.

W tamtych okolicach, gdzie nawet najbiedniejsi posiadają konie, przybycie w odwiedziny na piechotę uchodzi za hańbę. Dlatego również naczelnik z rodziną pokonali tę niewielką odległość do obozu konno. Zsiedli z koni i zostali przyjaźnie powitani przez grubego księcia Bulę i jego jeszcze obszerniejszą żonę Kalynę. Także Karpala była tak miła, że rotmistrzowi zrobiło się lżej na duszy.

W namiocie Karpala wskazała gościom miejsca i stwierdziła przy tym, że naczelnikowa jak zwykle ma przy sobie~ swoją torebkę. Karpala wzięła od niej uprzejmie chustę i torebkę i położyła obie te rzeczy w pobliżu rozluźnionego rąbka namiotu. Potrząsnęła przy tym odrobinę torebką i ku swemu zadowoleniu usłyszała dzwonienie kluczy.

Jak tylko wszyscy usiedli, Karpala rozpoczęła serwowanie herbaty, po czym kiedy goście wystarczająco zajęci byli konwersacją, zaczęła majstrować coś przy samowarze nuąc strofy jakiejś buriackiej pieśni.



Przez cały ten czas nie spuszczała z oka torebki naczelnikowej i widziała bardzo dobrze dłoń Sama sięgającą skrycie po łup. Ale już po kilku minutach torebka ponownie leżała na swoim miejscu.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą i w najlepszym humorze przysiadła się do gości.

\* \* \*

Tymczasem Sam i Will zniknęli.

Przed budynkiem rządowym nie paliło się żadne światło. Przed drzwiami podszedł do nich Dick Stone.

- No? - spytał Sam. - Co słyhać?
- W porządku. Nie ma żywej duszy.
- No to do dzieła!

Sam wyjął klucze i próbował jeden po drugim. Już trzeci pasował do zamka. Weszli do środka i zamknęli drzwi za sobą.

Tylne drzwi nie posiadały zamka, lecz jedynie wewnętrzną zasuwę dającą się łatwo odsunąć. Sam wyprowadził przyjaciół na podwórze i do warzywnika, aby zapoznać ich z otoczeniem. Następnie postawił Dicka Stone przy tylnych drzwiach, podczas gdy on sam otworzył drzwi sypialni i zniknął w jej wnętrzu, a za nim Will Parker.

- Szukaj szybko klucza do składu! - powiedział. - To teraz najważniejsze.

Do tej pory wszystko odbywało się szybko i bez hałasu, lecz nagle wyniknęła pewna przeszkoda: żaden klucz nie pasował do drzwi składu.

Co robić? Czy po prostu wysadzić drzwi? Nie obyłoby się wtedy bez hałasu, a tego należało unikać. Traper wyciągnął ślepa latarkę i ostrożnie oświetlił pomieszczenie. Wyposażone było bardzo skromnie i zawierało jedynie łóżko, krzesło i stół. Ale nad posłaniem znajdowała się szafka. Wisiała na jednym gwoździu i z łatwością można ją było stamtąd zdjąć.

Szafka nie była zamknięta i zawierała różne małe nieważne przedmioty, kilka buteleczek i tym podobne rzeczy, jak również na haczyku jakiś klucz. Czy był to ten szukany?

Sam Hawkens włożył go do zamka, rzeczywiście pasował, rygiel przesunął się. Przed nim rozpościerało się znacznie większe pomieszczenie, którego okna zasłaniały okiennice. Bardzo im to było na rękę, ponieważ nie musieli się już obawiać, że jakiś promyk światła wydobędzie się na zewnątrz i zdradzi ich poczynania.

Spora liczba małych beczulek zawierała w każdym razie proch, około tuzin lekkich skrzynek zawierały najprawdopodobniej naboje. Leżały tam także pudełka ze spłonkami i

formami na kule. Nowe strzelby, w ilości dwustu sztuk, wypełniały pomieszczenie do połowy.

- Behold! - śmiał się Sam rozbawiony. - No to mielibyśmy wszystko w komplecie, jeśli się nie mylę. I tak ładnie uporządkowane jak prezenty gwiazdkowe, hihihhi! Idź na schody, Will! Wyniosę ci najpierw proch.

Złapał za jedną z beczulek i podał ją Willemu. Ten zaniósł ją do tylnych drzwi, a Dick odtransportował dalej do ogrodu i ustawił przy płocie. Następnie każdy prędko wracał na swoje miejsce. Ponieważ wszyscy trzej odznaczeni się zwinnością i siłą, opróżnianie pomieszczenia nie trwało zbyt długo. Następnie dokładnie zatarli za sobą ślady, pozamykali drzwi, a klucz od składu powiesili na swoim miejscu w szafce. Dzieło zostało ukończone.

Powróciwszy do obozu Sam przekradł się najpierw do jurty tejsza, wyciągnął ostrożnie torebkę naczelnikowej, włożył do niej klucze i wsunął ją na powrót do namiotu.

Na ten moment Karpala czekała cały wieczór. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od torebki. Teraz oddaliła się pod jakimś pozorem i czmychnęła za namiot, gdzie czekał na nią Sam.

- Udało się? - spytała cicho. - - Tak, jeśli się nie mylę.

- Jakże się cieszę! Każę zaraz moim ludziom ukryć to w bezpiecznym miejscu.

- Jesteś ze mnie zadowolona, córeńko?

- Nawet bardzo!

- Chwała Bogu, Bogu dzięki! Czy masz dla mnie jeszcze jakieś zlecenie? Czy mam może ukraść carowi sygnet z palca? Albo chińskiemu cesarzowi...

- Przestań! - szeptała Karpala rozśmieszona. - Chcę, żebyś teraz poszedł spać. Już dosyć dla nas uczyniłeś.

- Spać? Teraz? Ani mi to w głowie. Nie położę się wcześniej, aż naczelnik i jego syn nie pójdą do domu. Muszę koniecznie wiedzieć, czy od razu odkryją, co zaszło w ich domu.

Jednak gościom zdawało się bardzo podobać w namiocie tejsza, ponieważ dawno minęła jedenasta, kiedy się wreszcie pożegnali.

Sam skradał się za nimi. Will i Dick chcieli mu towarzyszyć, ale mały traper odradził im to.

Doszedł do budynku rządowego nie spotkawszy po drodze nikogo. Jedyne w oknach pokoju dziennego świeciło się światło. Najprawdopodobniej nikt nie wchodził jeszcze do sypialni i należało przypuszczać, że isprawnik po tak obfitym spożyciu alkoholu zrezygnuje dzisiaj z obchodu i położy się szybko spać. Sprytny figiel nie zostanie więc dziś odkryty.

Sam zapuścił się jeszcze w boczną uliczkę, do drewnianego płotu. Furtka była zamknięta. Przez dziurę w płocie sięgnął do środka i otworzył ją. Kiedy wszedł do ogródka, zobaczył, że wszystkie skradzione przedmioty zostały już stamtąd zabrane. Buriaci uporali się z tym nadzwyczaj sprawnie.

## **... a car jest daleko**

W drodze powrotnej do obozu Sam Hawkens usłyszał w pobliżu gospody tętent dwóch koni. Stał i nadstawił uszu. Jeźdźcy rozmawiali ze sobą.

- Teraz prosto, obok gospody! - powiedział jeden z nich. - Stamtąd jest jeszcze tylko parę kroków do budynku rządowego.

- Przyjmą tam gościa?

- Tak, panie, trzeba jechać tam, w lewo!

Ale w tej samej chwili stanął im na drodze mały traper.

- Stop! - zawołał po angielsku. - Właściwa droga nie wiedzie w lewo, lecz w prawo, mister Adlerhorst!

Herman natychmiast rozpoznał głos Sama.

- Sam, to pan? Czyżby stał pan tutaj na straży?

- Nie. Przechodziłem tędy przypadkiem i usłyszałem stukot końskich kopyt. Nie oczekiwałem pana tak szybko.

- Załatwiłem moje interesy w Chabarowsku o pół dnia wcześniej, niż planowałem. Dlatego przyjechałem już dzisiaj.

- Tak samotnie w obcym kraju? Do tego nocą?

- Ten człowiek bardzo dobrze zna drogę. Wynająłem go na ostatnim popasie.

- Każ swojemu przewodnikowi zatrzymać się w gospodzie i niech weźmie ze sobą konie! Znajdzie się w dobrych rękach, jeśli się nie mylę.

- Zna pan gospodarza?

- Tak. Niech się pan nie martw!

Herman zeskoczył z siodła, potrząsnął dłoń Sarna i udał się z nim do gospody.

Gospodarz pośpiesznie spełnił wszelkie życzenia obcego. Kiedy Adlerhorst przekonał się, że kozakowi niczego nie brakuje, a i konie mają właściwą opiekę, opuścił wraz z Samem gospodę.

W ostatnim czasie Herman zmienił się na korzyść. Zmęczenie wywołane tygodniami pełnymi przygód nie przeminęły tak całkiem bez śladu, lecz nadały jego rysom charakter bardziej męski i zdecydowany, a cień smutku w oczach zdradzał, że nie tylko cielesny mózół przyczynił się do procesu dojrzewania tego młodego Niemca.

- No więc, niech pan opowiada! - zaczął. - Dowiedział się pan czegoś?

- Tylko spokojnie! - śmiał się Sam. - Proszę zaczekać, aż będziemy wszyscy razem!  
Wcześniej nie powiem ani słowa.

- Dokąd mnie pan prowadzi?

- Za miasto, do obozu Buriatów. Tam rozbiliśmy nasz wigwam.

- Jak to się stało, że trafiliście do Buriatów? Myślałem, że poszukiwania przeprowadzać lepiej tutaj...

- Pshaw! Nie rozumie pan. Sam Hawkens wie, co robi. A więc cierpliwości. Wkrótce dojdziemy do obozu!

- To brzmi bardzo tajemniczo. Nie mogę się doczekać waszej opowieści. •

- Good - lackl Proszę nie oczekiwać zbyt wiele! Przybyliśmy tu dopiero wczoraj, jeśli się nie mylę. Proszę mi lepiej powiedzieć, dlaczego chciał pan się zatrzymać w budynku rządowym.

- Miałem ku temu szczególne powody. Na ostatnim popasie spotkałem pełnomocnika rządu, który z polecenia namiestnika Irkucka podróżuje po kraju i ^dogląda porządku. Jest wyposażony w nadzwyczajne pełnomocnictwa i przybędzie tu jutro, żeby złożyć wizytę tutejszemu naczelnikowi powiatu.

Sam Hawkens gwizdnął cicho przez zęby.

- Zjawi się w samą porę.

- Co pan ma na myśli?

- O tym później! Sądzę, że dla naczelnika warzy się piwo, którego nie chciałbym pić, hihihih! Ale proszę opowiadać dalej!

- Moje wyśmienite dokumenty podróżne wywarły na tym urzędniku duże wrażenie. Dlatego też. uznał, że nie mogę zatrzymywać się w zajeździe, lecz zażądać locum w budynku rządowym i dał mi pismo polecające do naczelnika powiatu Wierchnieudinsk.

- Tak! Hm. W takim razie może jednak byłoby lepiej, gdyby pan zakwaterował się u naczelnika. Z całego serca życzyłbym mu takiego gościa, hihihih! Liczę jednak, że może pan spróbować spędzić tę jedną noc w buriackim namiocie.

- Dlaczego nie? Nie jestem przecież aż tak rozpieszczony.

- Well\ Tak czy owak, długo pan nie pośpi, podczas gdy naczelnikowi spokój jest niezbędnie potrzebny, szczególnie po przejściach zeszłej nocy, jeśli się nie mylę.

- Znów pan mówi aluzjami, których nie pojmuję.

- Niedługo pan zrozumie, mister. Oto, jesteśmy już na miejscu. Z nocnych ciemności wyłoniły się zamazane zarysy namiotów. Sam

poprowadził przybysza pomiędzy jurtami do namiotu, który zajmował ze swoimi towarzyszami.

Dick Stone i Will Parker położyli się już spać, ale natychmiast ocknęli się i powitali Hermana von Adlerhorst jak westmama, serdecznie i rubasznie. Hermana umieszczono na poduszce, a dryblaszy zabrały się za przyrządzanie herbaty, podczas gdy Sam zatroszczył się o jedzenie. Przyniósł tacę z resztkami kolacji, które mogłyby nasycić dwóch takich mężczyzn jak Herman.

- Well, proszę się częstować, mister, bo będzie pan głodny! Zanim nie sprzątnie pan tej baraniny, nic nie opowiemy.

Herman von Adlerhorst miał mnóstwo pytań na końcu języka, ale nic mu to nie pomogło, musiał spełnić wolę Sama. Nie jadł obiadu i dlatego ochoczo zabrał się do jedzenia. Jednak wkrótce nie wytrzymał.

- Thankyou verymuch, dziękuję bardzo, stary Samie! Chyba nie będzie mnie pan już dłużej dręczył.

- Łącz a day\ Ależ pan jest niecierpliwy, jeśli się nie mylę! Jak myślisz, stary Willu, powiedzieć mu o wszystkim?

- - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, drogi Samie, byłbym za tym. Mister Adlerhorst zdziwi się, ile już zdziałaliśmy.

- Behold! Kogo właściwie masz na myśli mówiąc „my”?

- No, oczywiście całą naszą trójkę!

- Good lack\ Patrzcie no na tego żółtodzioba! Powiedz mi, stary szopie, czego dowiedziałeś się ty, właśnie ty? Gdybym nie czuwał nad wami jak kwoka nad kurczętami, to ciekawe, co by się z wami stało, jeśli się nie mylę!

- Nie przechwalaj się tak! Porównywać nas do kurcząt! Co ty na to, stary Dicku?

- Well, nigdy nie słyszałem, żeby kurczęta osiągały taką wysokość, jak my - odrzekł Dick sucho.

- Tak, na wielkości rzeczywiście wam nie zbywa - śmiał się Sam. - Ale to wszystko, czym możecie się poszczycić. Nie potraficie nawet...

Herman Adlerhorst przysłuchiwał się niecierpliwie tej sprzeczce, której oczywiście nie brał poważnie, ale teraz przerwał potok wymowy małego traperka.

- Stop, master Sam! Proszę sobie z łaski swojej przypomnieć o mojej obecności!

- Egad, ma pan rację! Ale ci dwaj nicponie nie dają mi dojść do słowa, jeśli się nie mylę. A więc, mister Adlerhorst, mamy go!

- Kogo?

- No, jego! Pańskiego brata Gotfryda! Kogóżby innego? Herman von Adlerhorst aż podskoczył na poduszce, tak ogromne

było jego zdumienie.

- Pan żartuje!

- Ani mi to w głowie. Mamy go.

- To znaczy, właściwie go nie mamy - wtrącił się Will Parker.

- Zamknij dziób, stary szopie, kiedy ja mówię! - skarcił go Sam. - Chociaż zresztą niewiele mijasz się z prawdą; właściwie go nie mamy.

- Ale, ale, jednak właściwie mamy go! - zauważył jak zwykle sucho Dick Stone.

- Mamy go... nie mamy... mamy! Co to ma znaczyć? Kpicie sobie ze mnie. czy co?

- Proszę się uspokoić, mister Adlerhorst! Rzadko bywam tak poważny, jak w tej chwili. Dick ma rację: mamy go, to znaczy rozmawialiśmy z nim i wiemy, gdzie obecnie przebywa.

- Wiecie, wiecie to naprawdę? Gdzie on jest? Mówcie szybko, szybko!

- Nad Bajkałem.

- I nie mylicie się?

- Nie.

Herman von Adlerhorst opadł na poduszkę i ukrył twarz w dłoniach. Setki razy powtarzał sobie w duchu, że widoki na odnalezienie Gotfryda są znikome, jednak mimo to uczeplił się tej nadziei jak liny ratunkowej. Teraz, kiedy spełniły się jego najśmielsze oczekiwania, nie mógł się podnieść z wrażenia.

Kilka minut siedział nieruchomo. Ale Samowi ciążyło już to milczenie.

- Jeszcze nie skończyliśmy. Mamy dla pana jeszcze jedną wiadomość. Sądzę, że także radosną, jeśli się nie mylę.

Herman spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Jeszcze jedną wiadomość?

- Tak.

- Czego dotyczy?

- Zaginionego hrabiego Wasylkowicza.

- Nie ma go z Gotfrydem?

- O nie! Poluje teraz na sobole, jeśli się nie mylę.

- Poluje, na sobole? Nie rozumiem pana.

- Nie mam panu tego za złe. Ten mister Wasylkowicz jest bowiem zesłańcem i został zaangażowany przez Fedora Łomonowa na polowanie na sobole.

- Kim jest Fedor Łomonow?

- Kupcem z Orenburga. Dawniej był derwiszem i nazywał się Osman.

- Sam, czy pan jest przy zdrowych zmysłach? Derwisz tutaj? To brzmi jak bajka!

- Niemalże nią jest, hihihih! Ten mister Osman, albo Bili Newton, albo Florin jest w drodze do tego samego miejsca, a mianowicie do ujścia Selengi do Bajkału. I jeszcze ktoś inny również tam zmierza.

- Czy jeszcze długo zamierza mnie pan dręczyć? Kto to taki?

- Hrabia Mikołaj Polikow.

Wtem Herman chwycił trapera za ramiona i potrząsnął nim brutalnie.

- Sam Hawkens, proszę ze mnie nie drwić! Bardzo proszę! Hrabia Polikow także tutaj? To nie do wiary!

- Tak, w wiele rzeczy trudno uwierzyć, chociaż zdarzyły się naprawdę, mister Adlerhorst. Moje podejrzenie okazało się absolutnie słuszne. Hrabia popełnił na swoich krewnych obrzydliwą zbrodnię, a tutejszy naczelnik i jego syn także należą do spisku. W kieszeni mam na to dowód, jeśli się nie mylę. Sądzę, że Rapninowie mają zapewniony bezpłatny pobyt w którejś z syberyjskich kopalni.

- Proszę opowiadać! Po tym, czego się już dowiedziałem, wnoszę, że nadzwyczaj wiele przeżyliście przez ten krótki okres czasu.

- Zgadza się. Pomysł wysłania mnie, Dicka i Willa przodem okazał się zbawienny w skutkach. Gdybyśmy przybyli tu dzień lub dwa później, cała nasza wyprawa na Syberię okazałaby się daremna, jeśli się nie mylę. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin dosłownie potykaliśmy się o wszystkie te osoby, hihihih! Mieliśmy okropne szczęście. Czy jest pan zadowolony z naszej trójki?

- Sam, nie jestem w stanie opisać panu, jak się czuję! Ale proszę zauważyć, że tak naprawdę jeszcze nic nie wiem!

- Egad! Od kwadransa przekazuję temu panu jedną informację za drugą, a ten twierdzi, że ciągle nic nie wie! Przeżyłeś już kiedyś coś podobnego, Dick?

- No. Ale też nie spotkałem jeszcze człowieka, który tak jak ty zapomina o pułapkach, wybierając się akurat na polowanie na bobry.

- Silence, milcz! - krzyknął na niego oburzony Sam. - Skąd taki żółtodziób jak ty może wiedzieć, jak się łapie bobry? Nie nauczysz się tego przez całe życie, hihihih! Ale niech się dzieje wola mister Adlerhorsta, a jeżeli po moim opowiadaniu ciągle jeszcze nic nie zrozumie, to niech mnie za to nie wini.



I Sam Hawkens zaczął w swój pocieszny sposób relację o korzystnym splocie okoliczności, który umożliwił mu w bardzo krótkim czasie wykrycie tajemnicy zaginięcia Gotfryda i jego ojczyma. Herman von Adlerhorst przysłuchiwał się mu z zapartym tchem, nie przerywając, tylko od czasu do czasu jego pierś unosiło przeciągłe westchnienie zdradzające podniecenie, z jakim śledził tę relację.

- To byłoby wszystko - zakończył traper swoje opowiadanie, - a teraz chodzi o to, jakie kroki chce pan najpierw podjąć. Sądzę, że teraz kolej na pana, jeśli się nie mylę.

Herman podał traperowi rękę, a następnie obu dryblasom.

- Panowie, wasze mądre, roztropne działanie ma dla mnie tak niezmiernie znaczenie, że nie wiem, jak ubrać w słowa moje podziękowanie...

- Podziękowanie, pshaw! Ubrać w słowa? Bzdura! - przerwał mu Sam. - Niech pan pozostawi ubieranie krawcowi, hihihhi! Nam wystarczy, jeżeli nam pan powie, że dobrze się aprawiliśmy.

- Chętnie wystawię wam takie świadectwo. Wprawdzie przedstawiliście te zdarzenia tak, jakbyście wszystko zawdzięczali szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Z pewnością okoliczności okazały się korzystne, ale wy wykorzystaliście je z taką bystrością i przebiegłością, że tylko niewielu by tak potrafiło.

- Well, to wystarczy. Więcej nie chcemy o tym słyszeć. I co pan zamysła teraz robić?

- Mamy wszystkie nici w ręce, a to daje nam możliwość odkrycia bezwstydných matactw hrabiego Polikowa. Wspaniale się składa, że jutro przybędzie tu wysłannik namiestnika. Jemu przekażę całą tę sprawę, a on już podejmie odpowiednie kroki, aby dopomóc mojemu bratu i jego ojczymowi w odzyskaniu swoich praw.

- Ja też proponowałbym tę drogę - powiedział Sam.

- Mam jeszcze wątpliwości odnośnie tego Florina. Czy jego pojawienie się w tej okolicy ma jakiś związek ze zniknięciem mego brata? Czy wynika to może jedynie z czystego przypadku?

- Hm! Ja ze swej strony optowałbym raczej za tą drugą możliwością, ponieważ Gotfryd miał uczucfe, że były kamerdyner pańskiego ojca wcale go nie rozpoznał podczas spotkania w budynku rządowym. Z tego wniosek, że Florin nie spodziewał się ujrzeć tu pańskiego brata.

- Tym lepiej. Mimo to nie wolno nam spuścić go z oczu. Ma zbyt wiele na sumieniu.

- Zgadza się z tym. Mam z nim do pomówienia jeszcze od czasu wydarzeń w Dolinie Śmierci.

- A my siedzimy tutaj, zamiast śpieszyć na ratunek mojemu bezbronnemu bratu!

- No, myślę, że tak całkiem bezbronny to on nie jest. Muszę panu coś jeszcze opowiedzieć. Otóż Karpala, córka księcia Buriatów, zakochała się w nim po uszy, jeśli się nie mylę. Będzie nad nim czuwać, jak anioł nad... Egad! Coś mi właśnie przyszło do głowy. Słyszał pan już o aniele zesłańców?

- Tak, w Nerczyńsku.

- Well, wtakim razie będę się streszczał. Niewielu jest ludzi, którzy wiedzą, kto ukrywa się za tym aniołem i do tych niewielu zalicza się także syn mojej matki.

- Zaciekawia mnie pan. Kto to jest?

- Zdradzę panu, ponieważ zakładam, że zachowa pan to dla siebie i nie rozpowie wszystkim dookoła.

- Oczywiście!

- To Karpala, córka księcia.

Herman von Adlerhorst aż podniósł się ze zdumienia.

- Ta dziewczyna musi być nadzwyczajną istotą! Bardzo chciałbym ją poznać.

- Well, jutro spełnię pańskie życzenie, ale radzę nie zakochiwać się w niej!

- Dlaczego? Czy jest taka niebezpieczna?

- - Raczej nie, ale pański brat nie byłby z tego zadowolony. Zdaje się, że beznadziejnie stracił dla niej serce, jeśli się nie mylę.

- Niemożliwe?!

Herman powiedział to ze szczerym przekonaniem. Wiedział przecież, że między nim i piękną Cykimą istniała głęboka, chociaż niewypowiedziana sympatia.

- Dlaczego niemożliwe? Uratował kiedyś Karpalę od śmierci i teraz jest mu przychylna.

- Aon?

- Well, niech mnie pozre moja dobra Mary, jeśli nie poślubi jej natychmiast, skoro tylko będzie to możliwe.

- Czy oboje są zgodni w tym względzie?

- Tak mi się wydaje. W każdym razie nic o tym nie słyszałem, żeby byli niezgodni, hihihih!

Herman nie wiedział, co się z nim działo. Tysiącrotnie próbował przegnać z serca swoją miłość do Cykimy. Dziewczyna należała przecież do jego brata, którego prawa były nienaruszalne I chociaż bardzo się starał zapomnieć o Cykimie, jego usiłowania okazały się daremne.

Kiedy, owego czasu w San Francisco otrzymał od Normanna wiadomość o zniknięciu Gotfryda i uznaniu go za zmarłego, pomimo głębokiego żalu poczuł przez krótką chwilę coś jakby uwolnienie od wielkiego ciężaru.

Jeżeli Gotfryd nie żył, to Cykima była wolna i z czystym sumieniem mógł na nowo starać się o jej rękę. Nikt nie mógł mu niczego zarzucić, gdyby ożenił się z Cykima i wprowadził ją do swego domu. Jednak takie rozwiązanie kryło w sobie ziarno goryczy i Herman rychło pojął, że jego obowiązkiem jest odszukanie zaginionego brata. Gdyby go zastał przy życiu, sam zrezygnuje z Cykimy.

Ale w nocnej ciszy, kiedy sen nie przychodził, nie mógł na to poradzić, że jego myśli frunęły do ojczyzny, do tej, którą kochał każdą cząstką swojego serca i której nie mógł zapomnieć. Następnego ranka był znów tym samym Hermanem, tylko wokół jego oczu tworzył się z wolna rys zdradzający zmęczenie, a cień smutku nadał jego twarzy wyraz powagi, która nie opuszczała go nawet w pogodnym towarzystwie.

I teraz mały traper zdradził mu tak po prostu, że Gotfryd kocha inną.

To czego nie miał odwagi wyobrazić sobie w najśmielszych marzeniach, stało się właśnie rzeczywistością. Cykima była znów wolna. To że Sam mógł się mylić, w ogóle nie przyszło mu na myśl. Zbyt dobrze znał dar obserwacji tego myśliwego.

- No, mister, czemu pan tak na mnie patrzy? Ma pan może coś przeciwko temu, że tych dwoje jest sobie przychylnych? Hihihih! - obudził go mały traper z zamyślenia.

Herman von Adlerhorst czuł się tak, jakby zaraz miał się rozplakać. Podobne uczucia musiał żywić skazany na śmierć, którego w ostatniej chwili ułaskawiono, kiedy stał już pod szubienicą. I naraz roześmiał się serdecznie, po raz pierwszy od bardzo dawna. Śmiech zdjął ciężar z jego duszy i opanował go jakiś obcy, dziwnie miękki nastrój.

Sam Hawkens inaczej tłumaczył sobie wybuch wesołości Hermana.

- Egad! Nie wierzy mi pan? Niedługo sam pan się przekona i przyzna mi rację! Poza tym uważam, że już dostatecznie długo gawędziliśmy. Niech pan zrobi to co ja i położy się spać, żeby pan był jutro wypoczęty!

I wyciągnął się jak długi na podłodze. Dick i Will poszli za jego przykładem i Hermanowi von Adlerhorst nie pozostało nic innego, jak uczynić to samo, chociaż miał w zanadrzu jeszcze mnóstwo pytań.

Jego mózg z trudem radził sobie z przepracowaniem wszystkich zasłyszanych nowości i zaledwie Herman zdrzemnął się na chwilę, już blady odbłask na wschodzie zapowiadał nadejście dnia. Ale uśmiech na twarzy mężczyzny zdradzał, że jego dusza buja w marzeniach. Może wędrowała w błogim zapomnieniu po kwiatnych łąkach u boku tej jednej,

jedynej, która nie musiała czekać już na jego brata, lecz mogła należeć do niego, do Hermana...

Zbliżało się południe, kiedy trójka przyjaciół przedstawiła gościa tejszy i jego rodzinie. Karpala nie ukrywała swego zainteresowania mężczyzną, o którym wiedziała, że jest bratem jej ukochanego, a i Herman obserwował równie gorliwie, chociaż bardziej dyskretnie dziełcynę, którą Gotfryd wołał od Cykimy.

Zdziwił się. Po cichu zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, że wybór jego brata padł na dziewczynę, która była wprawdzie córką księcia, lecz także Buriatką. W jej rysach nie mógł odkryć nic azjatyckiego. Kiedy tak przed nim stała, mogła raczej uchodzić za Niemkę ubraną w buriacki strój ludowy. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że Buła i Kalyna, te okrągłe osóbkę są rodzicami tej uroczej i tak zuchwałej istoty.

Nie miał czasu na dłuższe kontynuowanie swoich obserwacji, ponieważ z zewnątrz dobiegł tętent koni i turkotanie kół, czemu towarzyszyły okrzyki powitania i trzaskanie batów

- Przyjechali jacyś obcy! - powiedział tejsz. - Zaraz usłyszymy, kto to jest.

Rzeczywiście nie upłynęło wiele czasu i do namiotu wszedł jeden z jego Buriatów.

- Przybył właśnie wysłannik rządu ze swoją świką. Chciał jechać do miasta, lecz kiedy dowiedział się, że obcy, którego spotkał po drodze przebywa u nas, tutaj skierował swoje konie i wozy.

- Ach, nie mogło się lepiej złożyć! - zawołał uradowany Herman i wybiegł z namiotu.

Między namiotami zatrzymały się cztery kibitki załadowane rzeczami przybysza. Herman von Adlerhorst zbliżył się do pierwszego powozu i podał rękę mężczyźnie, który właśnie z niego wysiadał. Książę również wyszedł przed namiot, lecz stał zbyt daleko, aby zrozumieć sens słów, którzy ci dwaj wymieniali między sobą. Rychło jednak obaj panowie zbliżyli się do niego i książę mógł wreszcie powitać urzędnika.

- Mój młody przyjaciel - powiedział pełnomocnik, - chciałby przekazać mi ważną informację. Pomimo ograniczonego czasu, jakim dysponuję, uczynię mu tę przysługę i wysłucham go.

- Wasza ekscelencja z pewnością nie zmarnuje swego cennego czasu - odparł Herman uprzejmie, - ponieważ to, co mam panu do opowiedzenia jest jak najściślej związane z celem pańskiego-zadania. Muszę złożyć na tutejsze władze uzasadnioną skargę.

- Czy to możliwe? Przyjechał pan dopiero wczoraj i nie poznał pan jeszcze naczelnika powiatu!

- Nie chodzi tu o moją osobę, lecz o moją rodzinę.

- Zaciekawia mnie pan. Pozwoli pan, książę, że wejdę na chwilę do pańskiego namiotu?

- Będę zaszczycony, wasza ekscelencjo! Mój skromny dach jest pańską własnością! - odpowiedział tejsz z uprzedzającą grzecznością.

Weszli do namiotu, gdzie książę zapoznał wysokiego gościa ze wszystkimi obecnymi i posadził go na honorowym miejscu.

Herman von Adlerhorst przedstawił w zarysie historię swej rodziny i opowiedział, jakie przypuszczenia przywiodły go tutaj, do Wierch-nieudinska. Potem nastąpiła dokładna relacja z wydarzeń, o przebiegu których usłyszał wczoraj.

Urzędnik słuchał z uwagą, nie przerywając ani słowem, podczas gdy książę, księżna i Karpala, którzy dopiero teraz dowiadawali się związków pomiędzy tymi wszystkimi zdarzeniami raz po raz wydawali głośne okrzyki zdumienia. Naturalnie Herman von Adlerhorst przemilczał wszystko, co mogłoby narazić Buriatów na przykrości, jak na przykład ich pomoc jego bratu w ucieczce, tajemnicze zniknięcie broni i to, że Karpala była „aniołem zesłańców”.

Kiedy skończył, urzędnik zamyślił się głęboko, a między jego brwiami zaznaczyła się głęboka groźna bruzda.

- Proszę pokazać mi to pismo, które tak obciąża naczelnika! - zaczął wreszcie.

Sam Hawkens sięgnął do kieszeni i wyjął papier. Urzędnik sprawdził go dokładnie, po czym złożył i schował do kieszeni.

- To nieprawdopodobne, ale ten dokument dowodzi prawdziwości pańskich słów. Wyznanie to prędko zakończy sprawy, które mnie tu przywiodły. Musi pan wiedzieć, że do uszu namiestnika Irkucka od dawna dochodziły różne skargi ludności na zarządzanie powiatem Wierchnieudinsk. Znalazłem się tutaj, aby sprawdzić ich zasadność i nawet nie mogłem marzyć o takim rozwoju śledztwa. Syberia jest wielka, - zwrócił się jakby przepraszająco do Hermana von Adlerhorsta, - a w kraju, którego władca tak bardzo zdany jest na praworządność swoich urzędników, mogą rzecz jasna wydarzyć się sprawy, które gdzieś indziej byłyby nie do pomyślenia. Ale proszę się nie martwić! Winni zostaną osądzeni jak najsurowiej, a hrabia Wasylkowicz i jego syn otrzymają zadośćuczynienie, jakie tylko będzie w tym przypadku możliwe.

- Ekscelencja uszczęśliwia mnie tą obietnicą.

- Już dobrze. Teraz muszę się pożegnać. Proszę przyjść z towarzyszami za godzinę do budynku rządowego' Także pana, książę, proszę o przyjęcie wraz z małżonką i córką. Będziecie wszyscy świadkami mojej rozprawy z tymi łotrami. Do zobaczenia!

Podniósł się z miejsca i prowadzony przez księcia i Hermana opuścił namiot. Wkrótce wszyscy usłyszeli turkot odjeżdżającego wozu.

- Good luck! - powiedział Sam Hawkens. - Sprawy mają się całkiem nieźle. Nie chciałbym tkwić teraz w skórze naczelnika i jego syna, jeśli się nie mylę.

Kiedy niewielka grupa zaproszonych dokładnie po godzinie dotarła do domu naczelnika, natknęła się na spory tłum oblegający budynek. Bardzo szybko rozniosło się, że przybył wysoki urzędnik i wszyscy chcieli go zobaczyć.

Herman von Adlerhorst i jego towarzysze przedarli się jakoś przez ciżbę, podeszli do wejścia i tu zatrzymał ich wartownik.

- Stop! Nikomu nie wolno wchodzić!

- Odsuń się, głupcze! - skarcił go Niemiec. - Zostaliśmy wezwani

- Czy to prawda, ojczulku?

- Myślisz, że kłamię?

Kozak nie odważył się na dalszy opór i ustąpił.

Scena ta powtórzyła się przed drzwiami kancelarii. Ale kiedy i ta przeszkoda została usunięta i mogli wejść do środka, zauważyli natychmiast, że w pomieszczeniu panowała burzliwa atmosfera..

Za stołem siedział wysłannik rządu. Na jego czole wryta była owa groźna bruzda. Ponurym wzrokiem mierzył naczelnika, który stał przed nim w pozie jak najbardziej unizonej i kornej. Rotmistrz, który otrzymał rozkaz powstrzymania każdego, kto ośmieliłby się zakłócać pracę urzędnikowi, ustawił się tuż przy drzwiach.

- Czego tu chcecie? - rzucił gniewne pytanie, jeszcze zanim wchodzący zdołali powiedzieć choćby jedno słowo., - Nie macie tu nic do szukania!

- Kto ci to powiedział, synku'? - odpowiedział uprzejmie Sam Hawkens. - Zostaniemy tu!

- A ja wam rozkazuję natychmiast opuścić pokój!

- Nie masz nam nic do rozkazywania. Milcz, kiedy nikt cię o nic nie pyta!

Rotmistrz wpadł we wściekłość. W ostatnim czasie musiał znosić największe upokorzenia nie mogąc się nawet bronić. Teraz uznał, że

201

nadeszła wreszcie pora na odplacenie się prześladowcom. Miał nadzieję, że obecność przedstawiciela rządu należycie wesprze jego poczynania.

- A więc widoczny opór przeciw władzy państwowej! - zawołał. - Wiesz, co za to grozi?

- Tak, nic!

- Nic! Zaraz się dowiesz...!

- Bzdura! Nie chcemy się niczego od ciebie dowiadywać. To ty zaraz coś od nas usłyszysz, jeśli się nie mylę.

- Psie! Grozisz mi? To będzie ostatnia zuchwałość, jakiej dopuściłeś się wobec mnie!

- otworzył gwałtownie drzwi i pognał do budynku służącego za koszary.

Sam Hawkens chichotał cichutko.

Komenda rotmistrza rozległa się aż w kancelarii i ledwie upłynęło parę minut już wielkimi susami pokonywał schody do budynku rządowego, a za nim sześciu uzbrojonych kozaków.

Na widok wchodzących komisarz skinął krótko, ale uprzejmie, poza tym wstrzymał się od jakiegokolwiek ingerencji i tylko kąciki ust drżały mu z ledwie powstrzymanego śmiechu. Najwyraźniej bawiła go pełna żądzы zemsty gorliwość rotmistrza. Właściwie szacunek względem stanowiska piastowanego przez rotmistrza nakazywałby zwrócić mu uwagę na to, że ludzie ci znaleźli się tutaj na wyraźne jego, komisarza, życzenie. Ale ponieważ rotmistrz bezprawnie nosił mundur oficerski, urzędnik uznał wszelkie względy wobec jego osoby za zbyteczne. Dlatego też ani słowem nie skomentował jego poczynań, lecz udawał, że niezwykle pilnie zajmują go leżące przed nim papiery.

Wtem na zewnątrz rozległ się odgłos kroków i kolb uderzających o podłogę. Drzwi znów otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich rotmistrz.

Rzucił Samowi Hawkensowi miażdżące spojrzenie i położył mu dłoń na ramieniu.

- W imieniu cara aresztuję cię!

- Ty mnie?

- Tak, ja ciebie.

Traper przymrużył jedno oko, a drugim zmierzył rotmistrza od stóp do głów, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

- Człowieku, co cię tak śmieszy? - wrzeszczał rotmistrz. - Czyś ty oszalał?

Sam Hawkens odwrócił się do dryblasów.

- Dick, jestem aresztowany - powiedział po angielsku. - Słyszałeś?

- Well.

- Will, co o tym sądzisz?

- To cudowne!

- I to przez tego tu! - zawołał mały Traper pokazując palcem na rotmistrza.

- Przez tego tu! - powtórzył jak echo Dick.

- Przez tego tu! - wtórował mu Will.

I tak stali wszyscy trzej pokazując palcami na rotmistrza i śmiejąc się przy tym tak serdecznie, że nawet gruby tejsz zaraził się ich śmiechem, a następnie jego jeszcze grubsza żona. Wszyscy razem tworzyli tak zabawny obraz, że i Karpala nie wytrzymała i musiała się roześmiać.

W otwartych drzwiach stali kozacy z bronią przy nodze. Kiedy ujrzeli roześmianego księcia Buriatów, którego wszyscy bardzo lubili i jego małżonkę, której ze śmiechu ciekły łzy po policzkach, najpierw ' jeden poszedł za ich przykładem, potem drugi, trzeci, czwarty i piąty i w końcu dziesięciu kozaków ryczało na całe gardło.

Rotmistrz stał, jakby trafiony piorunem. W ogóle nie wiedział, o co tu chodzi. Był błądy jak ściana.

- To obraza władzy państwowej! - wrzasnął w końcu małemu traperowi w twarz. - Każę was za to wychlostać! Wyprowadzić go stąd!

Rozkaz ten skierowany był do kozaków, ale żaden nie śpieszył się z jego wykonaniem. Sam był przecież tym człowiekiem, który ujął się za ich kolegą, Numerem Dziesiątym i wziął go w obronę przed rotmistrzem, a teraz mają go aresztować?

- Ruszać się! - ryczał rotmistrz. ze śmiechu. A oni ciągle jeszcze skręcali się 2 - ze nie jest tak łatwo aresztować

- Widzisz, synku - kpił Sam, -fć ciebie samego? Hihihih! ludzi, którzy przybyli tu, aby pojmadfzać, panie rotmistrzu! - zabrzmiał

- Proszę się imJuż nie naprzykrzcie są intruzami. Przyszli tutaj na ostry głos komisarza. - Ci ludzę n

moje wyraźne życzenie.                      pzrokiem na mówiącego. Czyżby

Rotmistrz patrzył osłupiałym W dudka? Przecież mógł go uprze-komisarz także wystrychnął go na ^sensownego nakazu aresztowania dzić nie wydawałby wtedy tego bezgo upokorzenia, i oszczędziłby sobie tego straszliwej11"5 P°wiedział tego od razu... -

- Dlaczego pan, ekscelencjo, i

jąkał się zbity z tropu.                      żadnych wyjaśnień. Zostawmy to

- Nie jestem zobowiązany do ieś krzesła dla moich gości!

już! Niech pan lepiej przyniesie jak/ i wolno im było siedzieć, podczas Jeszcze i to! Nazywał ich gościmp stać na straży jak pies. Ale prze-gdy on, komendant tego miasta, mi|Mz kozakom. Wkrótce całe towa-łknął jakoś swój gniew i wydał rozf rzystwo rozsiadło się wygodnie.      ipliwości! - zwrócił się komisarz



- Proszę jeszcze o chwilkę cichy i zajmę się waszą sprawą.. do obcych. - Wkrótce będę gotowy do przedstawienia w naczelniku, który podNastępnie utkwiał przenikliwie Biernego obserwatora, czas całego zajścia odgrywał rolę na pańskie księgi i muszę przyznać,

- Panie naczelniku, przejrzałej swoje obowiązki. Pozostaje mi jeszcze niezbyt starannie wypełniał pan/mi. Mam nadzieję, że ta inspekcja służy tylko obejrzeniu magazynu bielizny. wypadnie dla pana znacznie korzyśny aż dusił się z wściekłości.

Naczelnik odetchnął z ulgą. wśród tych ludziach! Po cichu dzięki-Mówić mu coś takiego przy wszyscy tego komisarza teraz, a nie kilka kawał dobremu losowi, że przysłał przynajmniej mniemał - broń jest dni później, ponieważ teraz - tak jeszcze na swoim miejscu. lencjo, pójść za mną? Skład broni

- Zechce pan łaskawie, ekscesy, mógł go zawsze osobiście doglą-znajduje się obok mieszkania, żeby dać.

Komisarz podniósł się z miejsca i obaj wyszli.

Sam trącił łokciem Dicka, który siedział obok niego i szepnął mu coś cicho do ucha. Nie chciał zbyt wcześnie niepokoić rotmistrza, który nie opuszczał posterunku przy drzwiach.

- No, teraz się zacznie - zachichotał, - jeśli się nie mylę. Nie mają więc jeszcze pojęcia o naszych odwiedzinach w magazynie. Oddałbym gruby pęk bobrzych futer za przyjemność oglądania miny naczelnika, kiedy zobaczy nasz prezent, hihihih!

Sam nie został tak całkiem pozbawiony tej przyjemności, ponieważ wkrótce drzwi otwały się i obaj panowie wrócili do kancelarii. Komisarz z twarzą nieprzeniknioną, naczelnik trupio blady, pokryty zimnym potem.

- Panie rotmistrzu - zaczął komisarz, skoro tylko ponownie zajął miejsce za stołem, - chciałbym panu zadać pytanie.

Rotmistrz posłusznie podszedł do stołu.

- Gdzie pan ukrył zapasy broni i amunicji? Ale proszę wyznać prawdę!

Oczy rotmistrza wędrowały z niezmiernym, zdumieniem od komisarza do ojca i z powrotem

- Proszę o wybaczenie, ekscelencjo, nie zrozumiałem pańskiego pytania.

- W takim razie wyrażę się jaśniej, komu sprzedał pan zapasy? Rotmistrz stał jak rażony gromem.

- W dalszym ciągu nie rozumiem. Czyżby zapasy zniknęły? Komisarz uśmiechnął się lekceważąco.

- Chyba pan wie to najlepiej. Niech pan nie udaje! Na nic się to panu nie zda.

Rotmistrz zbaraniał na dobre.

- Ojcie! Na miłość boską, co się stało?  
- Broni nie ma! - zaszlochał załamany isprawnik.  
- Niech to diabli! Mówisz poważnie? Wczoraj wszystko było jeszcze na swoim miejscu. Wiem to na pewno!

- Ktoś musiał to ukraść, a ekscelencja podejrzewa nas obu, że my...  
- Na mój honor oficera! - zawołał rotmistrz. - Nie mamy pojęcia, jak ta broń mogła zniknąć!

- Nie zamydli mi pan oczu - powiedział Urzędnik pogardliwie, - a jeżeli chodzi o pański oficerski honor, to zaraz dokładniej mu się przyjrzę i niewiele z niego pozostanie.

Rotmistrza swędziała ręka, żeby dać komisarzowi nauczkę i natychmiast zemścić się za tę zniewagę. Ale strach zdawał się sparaliżować jego rozum i członki. Co się działo? Czyżby wszystko sprzysięgło się naraz przeciwko niemu i jego ojcu?

- Ekscelencja raczej żartować - wyjąkał drżącym z wściekłości głosem. - Absolutnie nie podejrzewam, że pan mówi poważnie, w przeciwnym razie...

- ... w przeciwnym razie co?  
- ... w przeciwnym razie musiałbym pana prosić o danie mi satysfakcji!  
- Mogę pana zapewnić, że dostanie pan to, na co pan zasłużył! - odrzekł komisarz dwuznacznie. - Proszę tylko poczekać jeszcze chwilkę! Muszę tylko jeszcze coś załatwić i zaraz wracam.

Opuścił pokój, a Sam podszedł do okna i widział, jak przechodził przez plac w stronę koszar i wkrótce wyszedł z nich w towarzystwie porucznika. Sam wiedział już, o co chodzi i uśmiechając się usiadł znowu na swoim miejscu.

Rotmistrz zdziwił się ujrzawszy wchodzącego porucznika, swojego podwładnego. A czego ten tutaj szuka? Komisarz usiadł i zwrócił się do naczelnika.

- A więc twierdzi pan, że nic panu nie wiadomo na temat zniknięcia broni z magazynu?

- Nie, nie mamy pojęcia. Jakiś bezczelny złodziej...  
- Już ja znam tego złodzieja! Czy uważa mnie pan za tak ograniczonego, że nie porafię przejrzeć pańskich sprawek? Potrzebował pan pieniędzy, a ponieważ z wyzyskiwanych mieszkańców Wierch-neudinska nic pan już nie mógł wycisnąć, sprzedał pan za bezcen własność państwa. Tak, czy nie?

- To haniebne! Nie pozwolę się obrażać! Niech pan, ekscelencjo, nie zapomina, z kim pan rozmawia! Jestem Wasyl Rapnm, naczelnik powiatu Wierchnieudinsk!

Komisarz pokiwał głową.

- Wasyl Rapnin? Pod warunkiem, że jest pan nim naprawdę! A naczelnikiem pan był, do dzisiaj. Ale Rapninem...? Pańskie nazwisko brzmi, o ile się nie mylę, Sałtykow.

Naczelnik wydał okrzyk przerażenia, rotmistrz odskoczył jak ugryziony przez węża.

- Sałtykow? - wykrztusił naczelnik - Nie rozumiem pana, ekscelencjo.

- Czy chcecie zaprzeczyć, że obaj jesteście od dawna poszukiwanymi przestępcami o nazwisku Sałtykow - ojcem i synem?

Naczelnikowi udało się jakoś z wielkim trudem opanować, po czym zrobił obrażoną minę. Syn starał się iść za jego przykładem. Po pierwszym zaskoczeniu powiedzieli sobie obaj, że nic im się przecież nie może stać, ponieważ brakowało dowodów.

- Przestępcy? Sałtykow? - pytał naczelnik dotknięty do żywego. - Jak pan mógł, ekscelencjo, pomylić mnie i mojego syna z tymi nędznikami, którzy już przed laty zostali skazani i trafili pomiędzy zesłańców?

- Chyba chciał pan raczej powiedzieć, których ścigano i których dzięki łajdackiemu podstępowi pomyłono z dwoma niewinnymi? Nie trudźcie się! Opowiem wam pewną historię, chociaż właściwie zupełnie niepotrzebnie, ponieważ znacie ją od dawna. Pewien hrabia o nazwisku Polikow chciał koniecznie dziedziczyć po swoich bogatych krewnych. Dlatego\*też krewni musieli zniknąć. Wtedy właśnie ścigano dwóch wielkich przestępców, ojca i syna, którzy nazywali się Sałtykow. Podstępny hrabia doprowadził do tego, że jego dwaj krewni zostali uznani za Sałtyków i zamiast nich do końca życia zesłani w syberyjską tajgę. Natomiast prawdziwi panowie Sałtykow otrzymali od hrabiego papiery na nazwisko Rapnin. Zgadza się, panie naczelniku? Zgadza się, panie rotmistrzu?

Ojciec i syn słuchali ze zdumieniem i przerażeniem opowieści komisarza. W jaki sposób ich tajemnica trafiła do rąk tego człowieka? Albo raczej, dlaczego nabrał tak groźnego dla nich podejrzenia? Bo prawdopodobnie chodziło jedynie o podejrzenia, jako że w ich przekonaniu władze nie mogły posiadać żadnych dowodów. W związku z tym należało po prostu wszystkiemu zaprzeczać.

Rotmistrz odzyskał już mniej więcej równowagę ducha.

- Czy chce pan, ekscelencjo, zasugerować, że mój ojciec i ja jesteśmy owymi przestępcami?

- Nie ma mowy o żadnej sugestii. Chodzi o stwierdzenie faktu, który mogę udowodnić, zarówno pisemnie jak i ustnie.

Teraz naczelnik poderwał się z miejsca.

- Ekscelencja ma dowód na piśmie? To niemożliwe, ponieważ wiem na pewno, że w tej sprawie nie istnieje żadne pismo...!

Komisarz przyjrzał mu się chytrze.

- Tak? W tej sprawie nie istnieje żadne pismo? Teraz się pan zdradził, mój drogi! Jeśli pan tak dokładnie wie, że nie ma pisemnych dowodów na ten temat, to znaczy, że ta sprawa musi być panu dobrze znana!

- Do diabła!

Naczelnik tupnął ze złością, a jego syn mełł w ustach przekleństwo.

- Nie musicie się tak unosić. I bez tego wyznania nie zaszlibyście daleko. Wiem, że podpisaliście coś hrabiemu Polikow.

- Niech to pokaże!

- Pismo jest już w moich rękach.

Mówiąc to komisarz wyjął z kieszeni papier, który Sam Hawkens zabrał naczelnikowi w piwnicy i podsunął staremu pod nos. Temu o mało oczy nie wyskoczyły z orbit, kiedy ujrzał to zdradzieckie, dobrze znane pismo, a kolana drżały mu tak, że musiał oprzeć się rękami o stół. Także rotmistrz stanowił obraz bezgranicznego przerażenia.

Do tej pory komisarz zachowywał pogodny spokój. Teraz jednak nie wytrzymał.

- Wy psy, ciągle chcecie się wypierać? - grzmiał na nich. - Wybiła wasza godzina! Panie poruczniku, proszę czynić swą powinność i -umieścić tych przestępców w bezpiecznym miejscu! Jest pan odpowiedzialny za to, żeby te lotry nie uciekły!

Oficer śledził przebieg rozprawy z bezgranicznym zdumieniem. Jemu, który nawykł do okazywania swoim przełożonym prawie niewolniczego posłuszeństwa, wydawało się to niemalże śmiertelnym grzechem, że musi wystąpić przeciwko nim. Jednak to samo niewolnicze posłuszeństwo sprawiło, że ślepo wykonał rozkaz komisarza. Podszedł więc do rotmistrza i powiedział:

- Braciszku, oddaj mi swą szablę!

Zagadnięty rozejrzał się dookoła. Na jego twarzy malował się strach, wstyd i wściekłość. Najchętniej utorowałby sobie drogę przy użyciu broni, jednak powiedział sobie, że próba ucieczki pogorszyłaby jeszcze jego sytuację. Ale poddać się tak od razu? Jego wzrok padł na Karpalę i w głowie zaświtała mu zbawienna myśl.

- Ekszelencjo, jestem niewinny. I nawet jeżeli wszyscy w to wątpią, to przecież istnieje jedna osoba, która się za mną wstawi.

- Kim miałyby być ta osoba? - spytał komisarz.

- Karpala, moja narzeczona! Mój teść, książę Buriatów nie dopuści do tego, żeby mnie traktowano jak przestępcę. Karpala, żądam, żebyś broniła mnie przeciwko samowoli, na której pastwę zostałem wydany! To twój obowiązek!

Rotmistrz podbiegł przy tym kilka kroków, w stronę Karpali, jednak dziewczyna odsunęła się od niego pogardliwie.

- Idź precz! Nigdy cię nie znosiłam! Nigdy przez moje usta nie przeszła obietnica, że zostanę twoją żoną i nie dałabym się zmusić do małżeństwa z tobą! Zasłużyłeś sobie na takie traktowanie! Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia!

Karpala mówiła całkiem inaczej, niż to leżało w jej zwyczaju. Jej oczy błyszczały, na policzkach żarzyła się ciemna czerwień gniewu. Jej rysy zdawały się nabrać jakichś zupełnie nowych cech i jeszcze mniej niż zwykle była podobna do swoich dobrodusznym, spokojnym rodziców.

Herman von Adlerhorst nie spuszczał oka z dziewczyny i najdziwniejsze myśli leżały się w jego głowie. Rozbłyskiwały w nim jakieś niezwykle pszypuszczenia, które jednak zatrzymał dla siebie.

- A więc, Iwanie Sałtykow - odezwał się komisarz, - to zostało chyba dość wyraźnie powiedziane. I żebyś nie miał żadnych złudzeń co do twojego obecnego położenia, ty i twój ojciec dostaniecie na podwórzu po dwadzieścia batów. Wasza rola tutaj została odegrana już do końca. Wyprowadzić ich!

Jedno skinienie i porucznik zawołał kozaków czekających na zewnątrz. Rozprawa przebiegała dość głośno, tak że żołnierze wiedzieli już, co się święci.

Wystarczyło jedno słowo porucznika i natychmiast wyrwali rotmistrzowi szablę. W następnej chwili związali jemu i jego ojcu ręce na plecach.

Następnie przyprowadzono naczelnikową. Jako współniczka miała podzielić los męża i syna. Wprawdzie chciała się jakoś od tego uchronić i rozpływała się w głośnych skargach, ale jedno surowe słowo komisarza sprawiło, że zamilkła.

Ponieważ miasto Wierchnieudinsk nie dysponowało więzieniem z prawdziwego zdarzenia, porucznik otrzymał rozkaz odtransportowania więźniów, związanych i pod odpowiednią eskortą do Irkucka. On sam "sprawować" miał funkcję komendanta miasta i został zobowiązany do pilnowania mienia aresztowanych do chwili, dopóki definitywnie nie rozstrzygnie się ich los.

Upadek miejscowych notabli wzbudził w Wierchnieudinsku ogromne zainteresowanie. Wśród mieszkańców miasta nie znalazł się chyba nikt, kto po usłyszeniu tej wiadomości nie odetchnąłby z ulgą. Tak "mocno" nienawidzono Rapninów - Sałtykowów, że kto żyw pobiegł do budynku rządowego, aby ujrzeć pojmanych. I kiedy Herman von Adlerhorst i jego towarzysze wyszli z budynku, musieli przeciskać się przez sporą ciżbę.

Obok namiotu tejsza podszedł do Buli jakiś Buriat, który czekał tu na swego pana.

- O co chodzi? - spytał księżę.

Buriat stropił się nieco i potrząsnął głową.

- Ojczulku, tylko tobie wolno mi to powiedzieć, mateczce i Kar-pali, księżniczce Buriatów.

Ale Karpala sprzeciwiła się.

- Ci panowie mogą usłyszeć wszystko, co jest przeznaczone dla moich uszu. To moi bracia.

- W takim razie mogę już mówić. Wczoraj nadeszła wiadomość, że sporej liczbie biednych ludzi udało się uciec z kopalni w Gzicie. Jak mi przekazano, są to wyłącznie mężczyźni i wśród nich prawdopodobnie jedna kobieta. Zawiadomili Milę Dobronicz. a ta wysłała mnie natychmiast do ciebie z prośbą o pomoc.

- Jeżeli posyła cię Mila Dobronicz, to muszę pomóc. Ojczy, daj natychmiast rozkaz do wymarszu! Nie wolno nam zwlekać!

- Córeczko, co to za pomysł! Musimy tu jeszcze zostać. Czyżbyś zapomniała, że mamy gości?

- Właśnie z ich powodu musimy wyruszyć jak najszybciej, ponieważ osoby, których szukają, znajdują się u ujścia Salengi, akurat tani, dokąd my musimy dojechać, jeśli chcemy pomóc uciekinierom!

- Co ja słyszę? - zawołał Herman. - Udajecie się do ujścia Se-lengi?

- Tak. I to możliwie szybko.

- Wszyscy? Całe plemię?

- Wszyscy Buriaci, którymi rządzi mój ojciec.

- To dobrze.

- Pojedziesz z nami?

- Tak, o ile do waszego wymarszu zdążę zaopatrzyć się w niezbędne papiery, abym mógł wystąpić przeciwko hrabiemu Polikow.

Kiedy jednak Herman von Adlerhorst odwiedził komisarza, okazało się, iż ten nie może już dzisiaj poświęcić więcej czasu jego sprawie i chcąc nie chcąc Herman musiał cierpliwie czekać do następnego dnia.

Natomiast pozostała trójka nie miała powodu, aby czekać do jutra, mogli więc przyłączyć się do Buriatów. Herman obawiał się o swojego brata Gotfryda i uspokajał się na myśl, że przyjaciele podążają już tropem Polikowa i derwisza.

Podczas składania namiotów Hermanowi przyszło na myśl coś nowego. Poprosił Sama Hawkensa, aby poszedł do Karpali i poprosił ją

O krótką rozmowę bez świadków.

Trapera zdziwiło nieco to zlecenie, jednak oddalił się i po krótkiej chwili wrócił z księżniczką.

- Czy coś tajemniczego masz mi do powiedzenia? - zaczęła.

- Nie, ale coś, czego nie musi słyszeć nikt inny. To dotyczy tylko ciebie i kozaka Numer Dziesięć. Słyszałem, że go kochasz. Pozwolisz mi o tym porozmawiać? - dopytywał się Herman.

- Jesteś jego bratem i naszym gościem. Możesz z nami rozmawiać o wszystkim, co ci się podoba.

- Dziękuję ci. Mogę cię zapewnić, że nie wyłącznie z czystej ciekawości wypytuję cię o sprawy, do których obcy nie ma żadnego prawa. Przejmuję się bardzo losem mojego brata i chciałbym, żeby był szczęśliwy.

Karpala, która wyrosła na rosyjskim stepie, znała wprawdzie prawdziwe porywy serca, ale nie nawykła do wyrażania ich słowami.

- To także i moje życzenie - odparła. - Dlatego mam nadzieję, że bez przeszkód przedostanie się przez granicę. Jeśli chodzi o mnie

1 moich ludzi, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Herman zdziwił się, kiedy usłyszał, że dziewczyna nawet nie wspomniała o własnych życzeniach. Kochała jego brata. Co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. A więc nie powinno zależeć jej jedynie na tym, żeby Gotfryd nie nagabywany przez nikogo uciekł zagranicę. Powinna raczej przemyśliwać nad zajęciem miejsca u jego boku.

- Jesteś dzielną dziewczyną - powiedział, - iż pewnością uczynisz wszystko dla uratowania mojego brata. Ale może to wszystko nie jest potrzebne. Jestem przekonany, że uda mi się otrzymać dla niego ułaskawienie. Komisarz obiecał mi to. Czy to nie lepsze od uciezki?

- Dla niego, na pewno.

- Co ma znaczyć to, dla niego?

- To znaczy, że wolałabym uciezkę. Przynajmniej miałabym poczucie, że mogłam przyczynić się do jego szczęścia.

Tak mówiło dziecko stepów, wychowane wśród Buriatów. Herman uśmiechnął się.

- Czy nie wolałabyś raczej w inny sposób zatroszczyć się o szczęście mojego brata? Ty kochasz jego, on kocha ciebie, a więc...

- Nie - odparła Karpala z mocą. - Nie wolno mi o tym myśleć. Należę do mojej rodziny, przywiązanej do mnie całym sercem., a jego obowiązek wzywa do ojczyzny. Już rozmawialiśmy ze sobą o tych sprawach.

Hermana głęboko dotknęły słowa Karpali.

- W takim razie nic więcej nie mogę uczynić - oświadczył. - Czy zechciałabyś mnie teraz zameldować u twoich rodziców? Chcę się z nimi pożegnać, zanim stąd wyruszą.

Karpala odeszła.

Herman pośpieszył do namiotu przyjaciół po Sama, ponieważ tak naprawdę chodziło mu o coś zupełnie innego niż o pożegnanie. Zamierzał zaskoczyć księcia wraz z jego małżonką i wolał mieć świadka podczas czekającej go rozmowy.

Od chwili, w której po raz pierwszy ujrzał Karpalę, nie mógł się oprzeć myśli, że ta piękna dziewczyna, nie będąca ani trochę podobna do swoich rodziców, wcale nie jest córką księcia Buriatow. Na drodze związku jego brata z Karpalą jako buriacką księżniczką stałyby z pewnością przeszkody nie do pokonania. Jeżeli by się natomiast okazało, a na to wskazywały niezbitnie rysy twarzy dziewczyny, że Karpala jest pochodzenia europejskiego, wtedy widoki jego brata nie byłyby już takie beznadziejne. Jako rzecznik swojego brata uznał za swój obowiązek utorować mu drogę do szczęścia. Przyznawał też otwarcie sam przed sobą, że przy okazji, chociaż na dalszym planie, zwiększa swoje szansę na zdobycie Cykimy.

Rodzinny namiot księcia Buriatow składano jak zwykle na końcu x i Herman zastał w nim jeszcze grubych małżonków czekających na jego wizytę. Karpali nie było. Usiedli więc i bez większych wstępów Herman rozpoczął rozmowę.

- Ojczulku, czy naprawdę jesteś zdecydowany udać się z twoimi Buriatami nad Komarzą Rzekę?

- Tak, muszę, ponieważ Mila Dobronicz wzywała mnie, a kiedy ona mnie wzywa, sprawa jest naprawdę pilna

- Kim jest ta kobieta?

- To nie kobieta, lecz dziewczyna, przyjaciółka Karpali, która pomaga jej przeprowadzać uciekinierów przez granicę.

- W takim razie jest tak samo godna podziwu, jak Karpala.

- Tak, oczywiście. To dziewczę umie radzić sobie w życiu.

- Kim jest jej ojciec? Nazwisko wskazywałoby, że jest Rosjaninem.

- Jest bogatym właścicielem stad bydła nad Bajkałem, u ujścia Selengi, sto wiorst na zachód od Wierchnieudinska. To mój stary znajomy i ucieszy się, gdy go odwiedzę.

- W jaki sposób przyczynia się do uwalniania więźniów?



- To tajemnica, której właściwie nie wolno mi zdradzić. Ale ponieważ dotyczy to także twojego brata, powiem ci: Dobronicz ma na brzegu jeziora w stromych skałach świetną kryjówkę, gdzie chowa uciknierów, dopóki nie nadarzy się okazja przejścia przez granicę. Niestety stracę go. Przybył na Syberię jako biedny człowiek, wzbogacił się tutaj i teraz chce powrócić w okolice Warszawy, skąd pochodzi. Być może nigdy go już nie zobaczę - dodał Bulą smutno.

- To los wszystkich ludzi. Przychodzą i odchodzą. Często trzeba się rozstać z najukochańszą istotą. Kto wie, może i ty będziesz musiał się z tym pogodzić?

- Ja? Jak to? Mówisz o Dobroniczu?

- Nie, myślę, że kiedyś przyjdzie ci się rozstać z Karpala.

- Nigdy!

- A może jednak. Przeznaczeniem kobiety jest należeć do mężczyzny, którego sobie wybrała.

- Jeżeli Karpala wyjdzie kiedyś za mąż, to i tak pozostanie z nami.

- Słyszałem, że kocha tego zbiegłego kozaka, mojego brata. Jeżeli będzie chciała należeć do niego, będzie musiała podążyć za nim do jego ojczyzny.

Herman von Adlerhorst zamilkł i utkwiał badawczo wzrok w twarzy księcia, po czym spytał z naciskiem.

- Czy ona rzeczywiście należy do was?

- Jak możesz o to pytać? Oczywiście należy do nas, ponieważ jest naszą córką.

- Tak? Czy jest nią naprawdę? Wymawiał każde słowo powoli i dobitnie.

Księżę wydawał się być przestraszony. Długo patrzył na pytającego, w końcu powiedział:

- Dlaczego zadajesz takie dziwne pytania?

- Ponieważ wiem, że to nie jest wasza córka - rzucił Herman na chybił trafił.

Mimo tuszy, księcia aż poderwało z siedzenia. Księżna wydała okrzyk i złapała Hermana za ramię.

- Panie, zamilknij! - wołała. - Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Ona jest mimo wszystko naszym dzieckiem, chociaż jej nie urodziłam!

Adlerhorst czuł głębokie współczucie dla tych dwojga niewinnych ludzi, jednak przez wzgląd na Gotfryda wypytywał dalej o pochodzenie Karpali

- Czego się boicie? - zaczął ponownie. - Nikt nie chce odebrać wam waszej córki.

- O tak! - zawołał książę. - Skoro tak mówisz, na pewno chcesz nam ją ukraść. Zawsze była do nas przywiązana, chociaż wiedziała o swoim pochodzeniu. Ale teraz będzie chciała pójść za tym kozakiem do jego ojczyzny, bo jest to i jej ojczyzna.

- Co^ Karpala jest Niemką?

- Tak.

- Nie, to nieprawda! - wtrącił się książę. - Ona jest Rosjanką.

- Ale jej ojciec pochodził z Niemiec - odparła Kalyna.

- Ale jej matka była Rosjanką, a poza tym urodziła się w Rosji. W taki oto sposób potwierdziły się przypuszczenia Hermana. Postanowił wykorzystać wzburzenie małżonków.

- Uspokójcie się! - prosił. - Nie zamierzam pozbawić was córki. Ale jestem bratem człowieka, którego kocha i zrozumcie, że żywię wobec niej jak najserdeczniejsze uczucia. Dlatego też powiedzcie mi, pros/ę, jak to się stało, że Karpala znalazła się u was.

Tejsz spojrział pytająco na Kalynę, a ta z natury jeszcze bardziej dobroduszna niż Bułą skinęła do niego zachęcająco.

- Opowiadaj! Pan na pewno nie rozpowie nikomu.

- Nie powiem nic, dopóki z mojego milczenia nie wyniknie dla Karpali jakaś szkoda - zapewnił ich Herman.

- To dobrze! Wierzę ci. Powiem ci wszystko. Była ciężka, sroga zim#. Zamarzały nawet renifery, ponieważ utworzyła się tak gruba warstwa lodu, że nie mogły dostać się do mchu, który służy im za pożywienie. Rozbiliśmy nasz obóz przy szlaku, którym pędzono zesłańców na wschód. Szalała burza śnieżna i wiatr nawiewał tumany śniegu. Wtem nadciągnęła grupa więźniów i przystanęła u nas dla odpoczynku.

- W saniach?

- Nie. Wtedy nie korzystali jeszcze z takich ułatwień. Musieli iść piechotą. Było ich ponad sześćdziesiąt osób, zesłańców i członków ich rodzin, którzy dobrowolnie udali się z nimi na zesłanie. Nieśli z sobą swój dobytek. Jeden z mężczyzn trzymał w objęciach chłopczyka, którego nie był w stanie ochronić przed straszliwym zimnem. Jego żona niosła małą, zaledwie kilkumiesięczną dziewczynkę. Kobieta rozpięła ubranie na piersiach i przyciskała dziecko do nagiego ciała, żeby je ogrzać. Ale wszystko napróżno. Ulitowałem się nad tą kobietą i wpuściłem ją do namiotu, ona odjęła dziecko od piersi, ale już nie żyło!

- Tak, było całkiem sztywne i martwe! - potwierdziła Kalyna płacząc na wspomnienie tamtej chwili.

- Serce mnie boli, gdy myślę o tej biednej kobiecie, - kontynuował tejsz swe opowiadanie. - Długo stała całkiem niemo ze wzrokiem utkwionym w małe ciało. Potem

strasznie krzyknęła i osunęła się na ziemię. Nieboga straciła niemalże rozum od tego nieszczęścia i pozwoliła robić ze sobą wszystko. Grupa nie mogła dłużej zostać, ponieważ mieli dokładnie określony czas i miejsce postoju, a kozacy popędzali do wymarszu. Mężczyzna chciał zabrać ze sobą ciało dziecka, ale dowódca pozwolił jedynie na pogrzebanie go. Niedaleko od naszego namiotu próbowano wykopać dół, ale ziemia była tak zmarznięta, że narazie nie pogrzebano małego ciała, tylko przykryto lekko śniegiem. Później ja sam miałem je oddać ziemi. Kozacy odmówili jeszcze z zesłańcami modlitwę i ruszyli dalej.

- A matka?

- Stała się cicha, cały czas trzymała ręce tak, jak gdyby niosła swoje maleństwo i śpiewała, jak to robią matki, kiedy chcą uspić dziecko.

- Mój Boże! To straszne.

- Tak, my też byliśmy wstrząśnięci do głębi, ale nic nie mogliśmy zrobić. Zesłańcy odeszli w burzę śnieżną i wkrótce nastał wieczór. Siedzieliśmy dookoła ognia, piliśmy gorącą herbatę i rozmawialiśmy

o „biednych ludziach”, których żalowaliśmy z całego serca. Wtem usłyszeliśmy jakieś dziwne dźwięki. Najpierw myślałem, że gdzieś w oddali wyje zabłąkany pies. Wkrótce jednak zauważyliśmy, że te płaczliwe dźwięki dochodzą skądś z bliska. Wyszedłem więc przed namiot jak myślisz, skąd one dobiegały? Z miejsca, gdzie leżało dziecko! Pobiegłem tam, rękami rozgrzebałem śnieg i zobaczyłem, że dziecko żyje. Naprawdę żyje! Machało rączkami i nóżkami i krzyczało ze wszystkich sił. Czy coś takiego można uznać za możliwe? To był prawdziwy cud!

- Nie, to nie był cud - zaprzeczył Herman. - Można to nawet łatwo wyjaśnić, ponieważ kiedy dziecko zostało zagrzebane w śniegu, śnieg ogrzał je i dziecko się obudziło. Podobnie wy ogrzewacie swoje nosy, nacierając je śniegiem. Opowiadaj dalej!

- Nie ma już nic do opowiadania. To dzieciątko to... - ... Karpala!

- Tak. Nasza Karpala. To wszystko.

- Jeszcze nie. Co zrobiłeś, kiedy przyniosłeś dziecko do namiotu?

- Dałem je mojej żonie. Zajął się tym małym robaczkiem z miłością, napoiła i nakarmiła. Całe ciało maleństwa było najpierw sino-czerwone, ale powoli skóra mu zbielała. A kiedy później dziewczynce wyrosły piękne, połyskujące, jasne włosy, nazwaliśmy ją Karpala. Jaśniejąca jak śnieg.

- Ale jej rodzice! Przecież o nich trzeba było myśleć! Byliście zobowiązani odesłać im dziecko!

- Jak mieliśmy tego dokonać? W ciągu nocy wiatr przemienił się w orkan szalejący przez wiele dni. Kiedy się-wreszcie uspokoił, na wiele wiorst wokół leżał tak głęboki śnieg, że uniemożliwiał wszelką jazdę. Całymi tygodniami tkwiliśmy zasypani w śniegu. Dopiero później mogliśmy udać się na poszukiwanie tamtej grupy zesłańców, ale nadaremnie. Tak więc zatrzymaliśmy dziecko i wychowywaliśmy jak nasze własne.

- A czy później nie próbowaliście odnaleźć rodziców? Każdy urząd pomógłby wam w tym.

- Myśleliśmy o tym, ale co obchodzi urzędników jacyś zesłańcy!

- Jak nazywał się jej ojciec?

- Nie wiem.

- Ale wiesz, że był Niemcem?

- Słyszałem to od "kozaków, którzy o nim rozmawiali. Skazano go, a żona z dziećmi dobrowolnie towarzyszyła mu na zesłaniu.

- Czy był jeszcze młody?

- Tak.

- Ile lat miał chłopczyk?

- Mógł sobie liczyć trzy lub cztery latka.

- A gdzie się to wszystko wydarzyło?

- W tundrze płózających brzoź. To miejsce znane jest szeroko wśród plemion tego kraju.

- Trzeba zapamiętać to miejsce.

- Czyżbyś chciał szukać rodziców Karpali?

- Nie, ale lubię zabezpieczać się na wszelki wypadek. To zwyczaj moich przyjaciół, który już nie raz okazał się zbawienny w skutkach.

Mamy przed sobą długą podróż przez Syberię i nie wykluczone, że natkniemy się na kogoś, kto będzie wiedział coś o miejscu pobytu krewnych Karpah. Jeżeli rzeczywiście kochacie tę dziewczynę, musicie przede wszystkim pomyśleć o niej, nie o sobie i razem ze mną mieć nadzieję, że wola nieba jest połączenie jej z tymi, którzy są jej najbliżsi na Ziemi.

